

Krzysztof Lipiński



Vademecum tłumacza



IDEA

Krzysztof Lipiński

Vademecum **TŁUMACZA**

IDEA
wydawnictwo idea
Kraków 2000

Korekta: Iwona Żurek
Projekt okładki: Joanna Wypiór
Zdjęcie na okładce: Sabine Lipińska
Rysunki: Artur Przebindowski
Skład: Radosław Zając
Drukarnia: Zakład Graficzny „Colonel” s. c.

Powstanie niniejszej publikacji stało się możliwe dzięki stypendium przyznanemu przez Fundację Alexandra von Humboldta, które autor spędził pod gościnną opieką profesora Hansa Joachima Kreutzera na Uniwersytecie w Ratybonie.

W tym miejscu chciałbym złożyć Fundacji i Profesorowi bardzo serdeczne podziękowania za pomoc w realizacji tego projektu.

ISBN 83-88181-50-5

Wydawca:

Wydawnictwo IDEA sp. z o. o.
ul. Rakowicka 1, 31-511 Kraków
tel. (012) 421 86 86
fax (012) 422 72 69
e-mail: ideeyes@demo.pl

© Wydawnictwo IDEA sp. z o. o.
Kraków, sierpień 2000

I		
	Kilka słów do czytelnika	5
II		
	Cel	7
	O co chodzi, czyli próba definicji	10
	Tłumaczenie jako proces komunikacji międzyjęzykowej	20
III		
	Kilka refleksji na temat znaczenia	29
	Znaczenia referencyjne a proces przekładu	39
	Znaczenia pragmatyczne	54
	Znaczenia pragmatyczne a proces przekładu	65
	Znaczenia intralingwalne	72
	Znaczenia intralingwalne a proces przekładu	80
	Hierarchia rodzajów znaczenia a typ komunikatu	86
IV		
	Kolokacje	89
	Idiomy	91
	Neologizmy	95
	Gramatykalność <i>versus</i> akceptabilność	99
	Wulgaryzmy i obscena	102
	Archaizmy	105
	Fałszywi przyjaciele tłumacza	107
	Interferencja	109
	Sytuacje	111
	Środowiskowość	114



V

Poziomy ekwiwalencji	117
„Transformacje” w procesie przekładu	123
Rodzaje tłumaczenia	128
Tłumaczenie pisemne	136
Tłumaczenie ustne	143
Typy mieszane tłumaczenia	152
Wybrane typy tekstów a proces przekładu	153

VI

Kompetencja tłumacza	169
Nieprzetłumaczalność	170
Teoria i praktyka tłumaczenia	174
Relatywność	175

VII

Uwagi końcowe	181
Bibliografia	183
Indeks	185

kilka słów...

Kilka słów do Czytelnika

Obcowanie z książką jest rodzajem dialogu, nie tylko z jej tekstem, ale pośrednio również z autorem, tym bardziej, że nosi ona tytuł *Vademecum*, czyli „chodź ze mną”. Ale – jak powiedziała pewna dobrze wychowana panienka – z nieznanymi, a zwłaszcza z obcymi mężczyznami, lepiej nie wypuszczać się na nieznaną ścieżki. Wypada się zatem przedstawić.

Wydawcy zamieszczają co prawda zazwyczaj jakiś biogram, opatrzony niewyraźnym zdjęciem autora (na którym wygląda on na ogół jak postać wyjęta z podręcznika Lombrosa *Przestępca urodzony*), datę urodzenia oraz tytuły opublikowanych prac, taka notka jest jednak bezosobowa i najczęściej tak stereotypowa, że oko czytelnika prześlizguje się po niej bez zainteresowania.

Czytelnik może poczuć się lekko zdziwiony żartobliwym tonem tego wstępu, bądź co bądź wprowadzenia do książki mającej charakter poradnika czy nawet – w pewnym sensie – podręcznika. Moim zdaniem jednak żartobliwy czy nawet anegdotyczny ton wypowiedzi bynajmniej nie musi ujmować jej merytorycznej wartości – wręcz przeciwnie – zabawne przykłady lepiej zapadają w pamięć, śmiech zaś sprawia, że mózg zostaje dotleniony i lepiej pracuje.

Wróćmy jednak do osoby autora.

Jestem germanistą, profesorem historii literatury niemieckiej w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od dwudziestu bez mała lat zajmuję się również teorią i praktyką tłumaczenia. Ten właśnie fakt ośmiela mnie do zaproszenia czytelnika we wspólną podróż. Chciałbym podzielić się moimi doświadczeniami i przemyśleniami. Jeśli chodzi o teorię, zajmowałem się problematyką przekładu literackiego (➤ **BIBLIOGRAFIA**). Nie oznacza to jednak, że moje rozważania dotyczyły wyłącznie tekstów literac-

kich. Podział teoretyczny na tłumaczenie literackie i nieliterackie wydaje się z pozoru oczywisty, nie zawsze jednak można go jednoznacznie przeprowadzić. Teksty literackie – zwłaszcza powieści – zawierają często sformułowania fachowe, publicystyka i reklama zaś posługują się środkami typowymi dla literatury. Rzeczywistość jest po prostu bardziej wyrafinowana niż teoria. (Ale tak właśnie musi być, każda teoria jest bowiem uproszczeniem, którym posługujemy się w celu zrozumienia rzeczywistości.)

Jako praktyk zmagam się z różnymi rodzajami tekstów i sytuacji. Przetłumaczyłem *Fausta* Goethego (Kraków 1996), utwory poetyckie Georga Trakla, dzieła Hessego, Hölderlina, Novalisa, Kurta Klingera i wielu innych. Na niemiecki tłumaczyłem m.in. polską poezję obozową, sztuki teatralne i opowiadania oraz bardzo ciekawe wiersze pacjentów polskich szpitali psychiatrycznych.

Teksty nieliterackie obejmowały bardzo szeroki wachlarz zagadnień. Wymienię jedynie kilka z nich: polska sztuka plakatu, sztuka szkła, krajobrazy lasu, zaczarowany Kraków, a także wiele tekstów drobniejszych, dotyczących np. renowacji Wawelu, produkcji betonu, asfaltu czy naturalnego barwnika z buraków, statutów stowarzyszenia religijnego oraz firmy ochroniarskiej. Dokonywałem również tłumaczeń ustnych, symultanicznych i konsekwentnych w różnych sytuacjach, w których poczyniłem wiele niezwykle interesujących obserwacji.

Czytelnik zechce, mam nadzieję, wybaczyć mi tę nieco przydługą autoprezentację. Chciałem jednak unaocznic, na jakich doświadczeniach (oprócz oczywiście pozycji literatury fachowej wymienionych w bibliografii) opierają się moje wywody.

Rozdział I

cel Cel

Każde działanie zmierza ku jakiemuś celowi, pomijając zajęcia bezsensowne, podejmowane „dla zabicia czasu”, a które przecież również mają swój cel – odprężenie i eliminację nudy.

Jaki zatem cel przyświecał tworzeniu niniejszej książki? Istnieje niezmiernie wprost liczba publikacji zajmujących się teorią przekładu oraz równie wiele, jeśli nie więcej, poradników i zbiorów tekstów typu „Korespondencja handlowa w języku...”, „Wzory listów...”, „Teksty...iczne/yczne/icze w języku...” itd. Liczba i różnorodność tych publikacji świadczy o dużym zapotrzebowaniu translatorów na wszelakie pomoce naukowe i praktyczne. Mimo to tłumacze praktycy odczuwają brak uniwersalnego poradnika, który mógłby „poratować” ich w sytuacji bez wyjścia (albo w przypadku braku konceptu!). Teoretyczne prace rozczarowują ich zwykle ogólnością i abstrakcyjnością sformułowań, praktyczne poradniki zawierają natomiast jedynie przykłady konkretnych rozwiązań, często nieprzydatne właśnie w tym jedynym problematycznym przypadku.

W tym miejscu muszę rozczarować wszystkich, którzy sądzą, że można napisać poradnik, który zawierałby rozwiązania wszystkich potencjalnych problemów translatorskich, nawet dla konkretnej pary języków albo określonego typu tekstów. Matematycznie rzecz ujmując, tzw. moc zbioru wszystkich ewentualnych rozwiązań jest tak wielka, że niemożliwe jest skonstruowanie teorii opisującej i przewidującej je wszystkie. Oznaczałoby to po trosze skonstruowanie jakiegось „ogólnej teorii wszystkiego”, metateorii przewidującej wszystkie zdarzenia i konteksty, czegoś w rodzaju intelektualnego *perpetuum mobile*.

Można więc zadać pytanie, jaki sens ma pisanie jakiegokolwiek *vademecum* tłumacza, skoro niemożliwe jest teoretyczne ujęcie wszystkich praktycznych problemów i sformułowanie zawsze

obowiązujących reguł. Jak stwierdziliśmy na wstępie, **wszystkich problemów rozwiązać z góry się nie da**, twierdzenia teorii przekładoznawczych zaś zawsze obarczone są pewnym relatywizmem. Niektóre **problemy** i **zjawiska** mają jednak charakter uniwersalny, niezależny od konkretnej pary języków. Każdy tłumacz praktyk, który nawet „nie liźnął” teorii, konstruuje na własne potrzeby często nawet nie w pełni uświadomione strategie rozwiązywania takich problemów. Karl Dedecius podzielił nawet teoretyków przekładu na dwie grupy: wyznających zasadę *a priori*, tzn. formułujących ogólną teorię bez uprzednich zmaganiań praktycznych z uporczywą materią tłumaczonych tekstów, oraz wyznających zasadę *a posteriori*, czyli takich, którzy sumie swoich wieloletnich doświadczeń próbują nadać kształt spójnej teorii. Sam Dedecius – autor nie tylko znakomitych przekładów, lecz także wielu prac teoretycznych – należy niewątpliwie do drugiej grupy.

Niniejsze *Vademecum* zwraca się przede wszystkim do tłumaczy praktyków – owej grupy, którą Dedecius zaliczył do wyznawców zasady *a posteriori*. Jako autor chciałbym ową wielość problemów i konkretnych przypadków usystematyzować w taki sposób, by nie musieli oni **odkrywać kolejnych Ameryk po raz drugi**. Okazuje się bowiem, że znakomita większość tekstów teoretycznych napisanych przez tłumaczy praktyków intuicyjnie obraca się wokół uniwersalnych problemów przekładoznawstwa. Ponieważ brak im na ogół podstaw teoretycznych, opisują każdorazowo te same zjawiska za pomocą wymyślonych *ad hoc* określeń. Ci właśnie – żartobliwie mówiąc – **Kolumbowie słowa** potrzebują swego rodzaju „książki nawigacyjnej”, która oczywiście nie będzie zawierała gotowych recept na wszystko, bo takich sformułować nie można.

W granicach tego, co możliwe, leży jednak **uwrażliwienie** na trudności i pułapki, których w procesie przekładu czyha wiele. Zamiarzeniem moim, jako autora, jest przede wszystkim zwrócenie uwagi czytelnika-tłumacza na trudne do rozwikłania problemy. Pragnąłbym, by po lekturze mojej książki w przypadku pojawienia się określonych trudności przekładoznawczych w czujnej świadomości tłumacza zapalało się **czerwone światło** nieufności, dotyczące zarówno samego procesu przekładu, jak i własnych umiejętności. Kolejnym zadaniem *Vademecum* jest jeśli nie obalenie, to przynaj-

mniej relatywizacja **mitów** wiążących się w powszechnej świadomości z tłumaczeniem, np. **mitu dosłowności** czy **mitu wierności**, oraz **kompleksu Brzydkiego Kaczątka**, który redukuje tłumacza do pozycji odtwórcy, a jego pracę sprowadza do mało wartościowego zajęcia. Chciałbym również zwrócić uwagę na ➤ **KREATYWNOŚĆ** tłumacza, konieczną nie tylko w przypadku tłumaczenia literackiego. To kolejny z mitów, zgodnie z którym przypisana jest ona jedynie tekstom literackim. Teoretycy dzielą wprawdzie teksty na „informacyjne”, „fachowe”, „literackie” itp., w rzeczywistości jednak – zwłaszcza we współczesnej rzeczywistości medialnej – granice te się zacierają. ➤ **REKLAMA** korzysta ze środków typowych dla literatury, takich jak gra słów, aluzja, rym, metafora itp.; teksty publicystyczne zawierają informacje i apele, posługują się wielorakimi środkami stylistycznymi. Nawet instrukcje obsługi maszyn czy sprzętu gospodarstwa domowego, foldery firm i inne teksty użytkowe przestały być jedynie suchymi informacjami i wykorzystują szereg środków zarezerwowanych – zdawałoby się – wyłącznie dla wypowiedzi typu literackiego.

Innym ważnym aspektem tłumaczenia jest fakt, że znajomość języków jest wprawdzie warunkiem koniecznym, ale bynajmniej nie wystarczającym. **Uwarunkowania pozajęzykowe** procesu przekładu sprawiają, że jest to czynność nie tylko filologiczna. Wobec wielości koniecznych do uwzględnienia czynników wpływających na ów proces jawi się on jako przedsięwzięcie niezwykle skomplikowane, wymagające równoczesnego uwzględnienia wielu parametrów, jedynym słowem – jako **zajęcie dla ludzi inteligentnych**.

Ponieważ swoje *Vademecum* adresuję do praktyków, starałem się ograniczyć do minimum rozważania ściśle teoretyczne. Nie znaczy to oczywiście, że książka nie ma rozległej teoretycznej podbudowy – tam, gdzie to było możliwe, starałem się jednak pominąć trudno zrozumiałą terminologię, a zagadnienia przedstawić w sposób możliwie przystępny. **Proszę więc uczonych kolegów o wyrozumiałość:** nie formułuję tutaj kolejnej teorii przekładu, staram się natomiast przedstawić skomplikowane zagadnienia w sposób jak najprostszy. O rzeczach trudnych należy bowiem mówić możliwie jasno, rzeczy zaś (pozornie) proste można komplikować dla intelektualnej zabawy.

Pytanie, czym w zasadzie jest przekład, jest z pozoru proste. Od ponad dwóch tysięcy lat tłumacze, pisarze i aforyści, a także – *last but not least* – lingwiści i teoretycy literatury, próbują ująć jego istotę za pomocą definicji bądź maksym i obrazowych porównań. O istocie tego fascynującego procesu wypowiedzieli się klasyki starożytności, literaci i filozofowie. Niewielką cząstkę ich refleksji przedstawia poniższe zestawienie maksym.

1

Tłumaczenia są jak kobiety – albo piękne, albo wierne.
..... (Voltaire)

2

Tłumaczenie przypomina flamandzkie arrasy, gdy oglądamy je z lewej strony, bo chociaż ukazują postacie, to jednak pełne ściągów i nitek, o wiele brzydsze niż z właściwej strony.
..... (Cervantes)

3

Wielkie oryginały prześwitują także przez nieudane reprodukcje.
..... (Christian Morgenstern)

4

Wielkie dzieło, które da się przełożyć, nie jest tego warte.
(Jean Paul)

5

Traduttore – traditore
.....
Une musique composée pour un instrument n'est point exécutée avec succès sur un instrument d'un autre genre.
..... (Madame de Staël)

6

Tłumaczenie powinno przypominać szybę, całkowicie przezroczystą, tak aby czytelnik nie zauważał jej istnienia.

■ **(Gogol)**

7

Duch danego języka wyraża się w jego nieprzetłumaczalnych słowach.

■ **(Marie von Ebner-Eschenbach)**

8

Przyznaję, że w trakcie tłumaczenia tekstów greckich – abstrahując od świętych pism, gdzie nawet szyk stanowi misterium – oddawałem nie słowo przez słowo, lecz sens przez sens.

■ **(św. Hieronim)**

9

In quibus non verbum pro verbo necesse habui reddere, sed omnium verborum vimque servavi.

■ **(Cyceron)**

10

Nec verbo verbum curabis reddere fidus interpres.

■ **(Horacy)**

11

Tłumacz powinien być poetą poety.

■ **(Novalis)**

12

Albo tłumacz zostawia pisarza w spokoju i przenosi ku niemu czytelnika, albo zostawia, o ile to możliwe, czytelnika w spokoju i porusza ku niemu autora.

■ **(Schleiermacher)**

13

Można nawet powiedzieć, że tłumaczenie tym bardziej odbiega od oryginału, im bardziej dąży do wierności.

■ **(Wilhelm von Humboldt)**

14

Prawdziwe tłumaczenie jest wędrówką dusz.

■ **(Ulrich von Wilamowitz-Moellendorf)**

15

Tłumaczenie oznacza służbę dwóm panom. A tego nie potrafi nikt.

■ **(Franz Rosenzweig)**

16

Tłumaczenie nie jest kopią, lecz aktem twórczym.

■ **(José Ortega y Gasset)**

17

Z konieczności przełożenia danego tekstu wynika konieczność dokonywania wyborów. I tutaj tkwi odpowiedzialność tłumacza.

■ **(Edmond Cary)**

18

Każdy tłumacz jest interpretatorem.

■ **(Hans-Georg Gadamer)**

19

Jako alternatywę niemożliwości każde tłumaczenie należy powitać z uznaniem.

■ **(Anthony Gervin Oettinger)**

Nawet pobieżna lektura powyższych maksym ilustruje ciekawe zjawisko – sformułowane w nich tezy zawierają szereg sprzeczności. Obok pochwały tłumaczenia, jego kreatywności, roli tłumacza jako aktywnego, świadomego i odpowiedzialnego interpretatora, pojawiają się postulaty redukcji przekładającego do roli anonimowego wyrobnika, niewidocznej szyby; obok uznania pojawiają się oceny skrajnie pejoratywne (tłumacz-zdrajca), sam zaś efekt pracy określany jest jako produkt mniej wartościowy, coś w rodzaju nieporadnej łątaniny. Przypomina się wityryna sklepu z socjalistycznej przeszłości z napisem: „Sprzedaż mięsa końskiego i mniej wartościowego”. Jest więc zatem tłumaczenie istotnie „mięsem mniej wartościowym”? Pojawiają się też dylematy: tłumacz ma być wierny, ale komu? Autorowi tekstu oryginalnego czy czytelnikowi przekła-

du? (Temat do rozważenia.) Sformułowane zostają również pytania o to, czy tłumaczymy słowa, czy treści i sensy – pytania o przekładalność oraz wzajemną relację oryginału i przekładu.

Sprzecznociami tymi nie należy się jednak zbytnio przejmować. Swojego rodzaju pociechę zawiera następujący aforyzm: „Przysłowia ludowe sobie przeczą. I to jest właśnie mądrością narodu” (Lec).

Przysłowia ludowe istotnie sobie przeczą, a to dlatego, że odnoszą się do niezliczonej wprost ilości sytuacji występujących w życiu, muszą zatem zawierać mądrości wzajemnie się wykluczające. Podobnie jest z postulatami kierowanymi pod adresem tłumaczy – one również wzajemnie się wykluczają.

Theodore Savory sformułował dwanaście takich sprzecznych recept, łącząc je w negujące się pary.

Tłumaczenie musi oddawać wyrazy oryginału.

Tłumaczenie musi oddawać myśli oryginału.

Tłumaczenie powinno się czytać jak dzieło oryginalne.

Tłumaczenie powinno się czytać jak tłumaczenie.

Tłumaczenie powinno odzwierciedlać styl oryginału.

Tłumaczenie powinno być pisane w stylu tłumaczenia.

*Tłumaczenie powinno się czytać
jak utwór współczesny oryginałowi.*

*Tłumaczenie powinno się czytać
jak utwór współczesny tłumaczowi.*

*W tłumaczeniu wolno robić uzupełnienia
i opuszczenia w stosunku do oryginału.*

*W tłumaczeniu nie wolno niczego dodawać
ani zmieniać w stosunku do oryginału.*

Wiersz powinien być tłumaczony prozą.

Wiersz należy tłumaczyć wierszem.

(Savory 1957:54)

Być może – ku pewnemu zaskoczeniu czytelnika – wszystkie te postulaty **mogą** być słuszne. Czy grozi nam zatem schizofrenia? Niekoniecznie. Postulaty Savory'ego zawierają typowe dla procesu tłumaczenia **DYLEMATY**, takie jak:

- sens czy forma?
- archaizacja czy modernizacja?
- granice wolności tłumacza
- przetłumaczalność poezji.

Nie wyczerpują one bynajmniej listy **ROZSTRZYGNIEĆ**, których każdy tłumacz musi dokonać w trakcie procesu przekładu. Ilustrują jedynie fakt, że mamy do czynienia ze zjawiskiem złożonym, którego nie da się sprowadzić do oczywistych i zawsze ważnych formuł. Każdorazowe rozstrzygnięcie, decyzja podjęta przez tłumacza, zależeć będzie od wielu – często a *priori* nieprzewidywalnych – czynników, determinujących proces przekładu.

Niektórzy sądzą, że tzw. zdrowy rozsądek (*common sense*) jest drogą poznania prawdy. Rozważania na temat definicji procesu przekładu rozpoczniemy zatem od spontanicznych prób zdefiniowania istoty tego zjawiska, podjętych przez studentów WSJOiE w Częstochowie.

Oto kilka przykładów.

1. Tłumaczenie: przekładanie z jednego języka na drugi tekstu ze zrozumieniem intencji autora według odpowiedniej struktury gramatycznej funkcjonującej w danym języku
2. ...próba przekładu, przekazanie treści danego tekstu z jednego języka na inny, oddając jego sens
3. ...przekładanie z języka obcego na rodzimy z uwzględnieniem kontekstu kulturowego danego kraju
4. ...najbardziej wierny, adekwatny przekład z języka na język, możliwie dokładnie oddający treści określonego tekstu
5. ...próba przekładu tekstu z języka ojczystego na język obcy lub odwrotnie
6. ...sensowny przekład z języka x na y, z zachowaniem struktur gramatycznych, treści kulturowych i poprawnym zastosowaniem słownictwa

7. ...przekład z jednego języka na drugi (...). Przekład ten musi być jak najbardziej wierny oryginałowi; tekst często tłumaczony jest w kontekście – w zależności od sytuacji
8. ...przekład z języka obcego mówionego lub pisanego na inny język, z uwzględnieniem wszelkich czynników pozajęzykowych
9. ...przekład tekstu z języka obcego na ojczysty lub odwrotnie, przy bardzo dobrej znajomości obu języków, kultury i obyczajów danego kraju
10. ...przełożenie tekstu z języka obcego na język rodzimy (i odwrotnie) z zachowaniem intencji autora. Aby tłumaczenie było prawidłowe, musimy pamiętać o kulturze, tradycjach kraju, na którego język chcemy tekst przełożyć. Wrażenie (efekt) po przeczytaniu tekstu tłumaczonego powinno być podobne (niemal takie samo) do wrażenia po przeczytaniu tekstu tłumaczonego
11. ...przekład komunikatu z języka obcego na język ojczysty i *vice versa*, z uwzględnieniem tła kulturowego i społecznego danego komunikatu, a także w zgodzie z oczekiwaniami odbiorcy oraz kontekstem, w jakim jest umieszczony. Praktyczne wykorzystanie znajomości języka w zależności od kompetencji nadawcy
12. ...sposób przekładu danego tekstu z języka nadawcy na język odbiorcy, tak by wywołać u odbiorcy właściwe reakcje związane z tym tekstem, zrozumienie i zaakceptowanie
13. ...sposób przekazania danej treści tak, by wywołać u odbiorcy podobne wrażenie, podobne uczucia
14. ...przekład z jednego języka na drugi, przełożenie sensu, treści, a także formy
15. ...przekład z jednego języka na drugi, nie dosłowny, jak oryginał, ale jemu wierny. Jest to sztuka decydowania. Przekaz wierny myśli autora oryginału, ale nie dosłowny tekstowi.

Tych kilkanaście przytoczonych definicji umożliwia wyłowienie charakterystycznych tendencji. Po pierwsze, niemal każda z definicji posługuje się tautologią typu „tłumaczenie, czyli przekład”. Jest to zjawisko określane w starej łacińskiej maksymie jako *ignotum per ignotum*, czyli „nieznane przez nieznane”. Zastąpienie bowiem jednego terminu innym, właściwie synonimicznym określeniem ni-

czego nie wyjaśnia. Ułomnością tą obarczone są jednak również definicje tłumaczenia zamieszczone w słownikach i leksykonach, gdzie przeczytać możemy: „Tłumaczenie,... czyli translacja...” Niektóre definicje określają interesujące nas zjawisko jako „przekodowanie” bądź „zmianę kodu językowego”. To słuszne stwierdzenie, samo przekodowanie nie wyczerpuje jednak istoty zagadnienia, na proces przekładu wpływa bowiem szereg zjawisk pozajęzykowych. Niektóre z zacytowanych powyżej definicji sformułowanych przez studentów kładą nacisk na ten właśnie aspekt zagadnienia: kulturę, obyczaje i zjawiska pozajęzykowe. W definicjach pojawia się też zagadnienie sytuacji i kontekstu, poprawności językowej, tożsamości przekładu z oryginałem, a także tożsamości efektu wywieieranego przez oba teksty, aspekt komunikacji językowej (nadawca, odbiorca, komunikat, intencje nadawcy, oczekiwania odbiorcy). Większość definicji akcentuje prymat oddawania sensów (treści). Zwraca się również uwagę na czynniki, takie jak forma i styl, oraz konieczność podejmowania przez tłumacza różnorodnych decyzji. Już samo to zestawienie spontanicznie sformułowanych definicji ukazuje **WIELOASPEKTOWOŚĆ** zjawiska zwanego tłumaczeniem i trudności z wyjaśnieniem go za pomocą jednozdaniowej definicji.

Czym jest zatem tłumaczenie?

Zanim podejmiemy próbę całościowego opisu zjawiska, chciałbym sformułować kilka istotnych uwag wstępnych.

Tłumaczenie jest **procesem komunikacji międzyjęzykowej**. Aspekt komunikacyjny jest tu niezwykle istotny. Tłumaczony tekst nie jest bowiem oderwany od sytuacji – stanowi komunikat. Wynika z tego szereg ważnych rzeczy: tekst pojmowany jako komunikat ma **nadawcę**. Nadawca komunikatu ma określony **cel**, intencje, kieruje wypowiedź do określonego **odbiorcy**, chce wywołać u niego odpowiednie **reakcje**. Aby ten cel osiągnąć, posługuje się nie tylko różnymi **strategiami** komunikacji językowej, ale także niewerbalnej (np. ➤ **MOWA CIAŁA**, mimika, gesty). Tworząc komunikat, stara się dopasować swój tekst do potrzeb, wyobrażeń, oczekiwań i wiedzy odbiorcy. Może to być odbiorca znany nadawcy (konkretna osoba), ale także odbiorca hipotetyczny, członek określonej grupy docelowej. Dzieje się tak zarówno w przypadku krótkich i prostych komunikatów, jak i całych powieści. Koncepcję hipotetycznego odbiorcy wbudowanego

w tekst przedstawia znana książka Umberto Eco – *Lector in fabula*. Przykładem tekstów apelatywnych, skierowanych do określonych odbiorców i nastawionych na wywołanie określonego efektu, jest reklama. Operuje wielorakimi strategiami komunikacyjnymi i różnorodnymi środkami stylistycznymi (➤ **PRZEKŁAD REKLAM**).

Nadawca i odbiorca należą zazwyczaj do tej samej **WSPÓLNOTY KOMUNIKACYJNEJ**, posługują się nie tylko wspólnym kodem językowym – mają także podobną wiedzę, doświadczenia, są członkami tej samej wspólnoty kulturowej. Wspólnota komunikacyjna nie musi być tożsama z językową. W obrębie jednego języka istnieje wiele wspólnot komunikacyjnych. Mogą to być różne państwa (np. na obszarach: anglojęzycznym, francuskojęzycznym czy niemieckojęzycznym), ale także grupy zawodowe, wiekowe czy środowiskowe. Wspólnotę komunikacyjną tworzą uczniowie tej samej szkoły, mieszkańcy miasta czy regionu, a także – aby podać przykład skrajny – para starych przyjaciół albo kochanków. Właśnie fakt, że tworzą oni taką miniwspólnotę, umożliwia im prowadzenie rozmów często niezrozumiałych dla otoczenia.

Dochodzimy tu do bardzo istotnego zagadnienia. Informacje zawarte w tekście (komunikacie) dzielą się na **eksplicytne i impli-cytne**. Pierwsze to informacje bezpośrednio wyrażone w tekście, drugie to różnego rodzaju aluzje, niedomówienia, niedopowiedzenia, skojarzenia, odniesienia (➤ **INTERTEKSTUALNOŚĆ**, ➤ **KONOTACJE**), które – choć nie pojawiają się bezpośrednio w tekście – uczestniczą jednak w procesie komunikacji. Polega to na wspomnianym już zjawisku, że partnerzy komunikacji odwołują się do wspólnego horyzontu, a także do **SYTUACJI**, w której odbywa się akt komunikacji, nie wszystkie zatem informacje muszą pojawić się bezpośrednio w tekście. Skrajnym przypadkiem jest następująca rozmowa telefoniczna:

- Cześć! Są?
- Tak.
- Po ile?
- Po dwadzieścia.
- Biorę dziesięć. Zapłacę u Szweda.
- OK. Cześć.

Na poziomie werbalnie wyrażonej informacji (*expressis verbis*) pojawiają się tu jedynie absolutnie konieczne **nowe** treści. Reszta jest uczestnikom rozmowy wiadoma. Ktoś z zewnątrz, próbujący zrozumieć ten dialog, napotka szereg trudności. Nie wiadomo, kto mówi i do kogo. Nie wiadomo, o jakie przedmioty chodzi (w przypadku handlu żywym towarem mogą to być ludzie), w jakiej walucie odbędzie się transakcja, wreszcie niejasne jest, czy Szwed to Szwed etniczny, pseudonim środowiskowy, czy może nazwa lokalu. Czyżby „głuchy telefon”? A jednak akt komunikacji dokonał się, co potwierdzone zostało przez adresata (OK). Można zatem żartobliwie powiedzieć, że tekst jest nie tylko nośnikiem, ale także odnośnikiem informacji.

Innym zabawnym przykładem informacji uczestniczącej w procesie komunikacji, a jednak nie przekazanej bezpośrednio, jest następujący dowcip śląski (> **ŚRODOWISKOWOŚĆ, REALIA**).

Trzech górników, Ludwik, Gustlik i Hanys postanowiło wybrać się do Francji jako „gastarbeiterzy” (> **BRAK EKWIWALENTU**). Ludwik, który jest prowodyrem, proponuje następującą zmianę imion: – Cho-py, my jedziemy do ta Francja, to my się musimy przezwać po ichniy-mu. Jo się nazywom Ludwik, to wy mnie bedziecie wołać „Lui”, Gustli-ka bedziemy wołać „Gui”. A Hanys na to: – To ja z wama nie jada!

Na wstępie przepraszam znawców problematyki śląskiej, jeżeli ten dowcip (i kilka innych, które zamierzam zacytować dalej) zo-stał opowiedziany „nie tak”. Ale to właśnie sprawa wspomnianej wyżej dość hermetycznej „wspólnoty komunikacyjnej”.

Powyższy przykład zawiera implicytną informację, odnoszącą się do pewnego polskiego obscenum, pisanego – nawiasem mówiąc – poprawnie przez „ch” (> **OBSCENA**). Dlatego Hanys nie chce jechać. *Nota bene*: zacytowaniem powyższego dowcipu może się poczuć urażona jedynie osoba znająca owo słowo. Ale tekst dowcipu zawiera również inne bezpośrednio niezwerbalizowane od-niesienia – do francuskich imion Louis i Guy oraz do tego, że w ta-kich dowcipach Hanys zawsze zostaje ośmieszony.

Problem nie ogranicza się jedynie do rozmów telefonicznych i dowcipów.

W *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego liczba informacji implicyt-nych jest wprost ogromna. Bez znajomości historii Polski i sytuacji

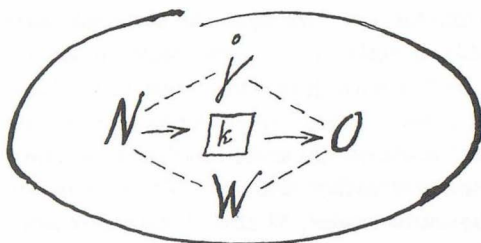
naszego kraju na przełomie wieków nie można zrozumieć dramatu. W tekście pojawia się np. jedynie określenie „ta Włoszka”, ale każdy Polak wie, że chodzi o Bonę. Zdanie: „Mego dziadka piłą rżnęli, myśmy wszystko zapomnieli” odwołuje się do rabacji galicyjskiej (1846).

Informacjami **implicitnie** zawartymi w tekście operują także teksty publicystyczne i teksty **reklam**, mowy polityczne i teksty kabaretowe, krótko mówiąc: wszystkie rodzaje komunikatów, które budują napięcie pomiędzy informacją bezpośrednio wyrażoną i tą jedynie zasugerowaną. O aktualizacji znaczenia tekstu jako komunikatu decyduje również konkretna sytuacja. Może się okazać, że w zdaniu: „Połóż nóż na stole” określenie „stół” oznacza skrzynkę po bananach lub pień drzewa (jeśli dane towarzystwo przy takim zaimprovizowanym stole ucztuje). W tym przypadku o przypisaniu mu znaczenia „stół” decyduje aktualnie spełniana **funkcja**, a nie cechy przedmiotu. Bez znajomości sytuacji niejasne jest również zdanie typu: „Zając będzie w środę”. W sklepie z dziczyzną oznacza to, że następną dostawa zajęcy nastąpi w środę. Jeżeli wypowiedziane zostanie ono w urzędzie, oznaczać będzie zapewne tyle, że kolega Zając w środę wróci z urlopu. (Ponieważ zdanie zaczyna się od dużej litery, nie sposób rozstrzygnąć, czy zając to „zając”, czy „Zając”.)

SYTUACJA determinuje także wiele innych aspektów komunikacji. Zależnie od tego, z kim, gdzie, kiedy i z jakiego powodu rozmawiamy, używać będziemy różnych strategii językowych (➤ **PRAGMATYKA**, ➤ **ZNACZENIA PRAGMATYCZNE**, ➤ **STEREOTYPIA JĘZYKOWA**, ➤ **ASPEKT SOCJOLINGWISTYCZNY**, ➤ **TŁUMACZENIE INTRALINGWALNE**). Inaczej (nawet o tym samym zdarzeniu) będziemy rozmawiać z szefem, inaczej z kolegą, inaczej zaś z dziewczyną. Składając kondolencje osobie raczej obcej, posłużymy się zdawkową formułą: „Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia”. Serdeczny przyjaciel natomiast mógłby się taką suchą formą kondolencji poczuć cokolwiek obrażony (➤ **TŁUMACZENIE INTRALINGWALNE**). W sklepie, na poczcie, u szewca posłużymy się gotowymi, stereotypowymi sformułowaniami. (Inaczej w przypadku, gdy dziewczyna na poczcie nam się podoba. Wtedy zamiast: „Lotniczy do Anglii”, powiemy na przykład: „Dzień dobry, Księżniczko. Niestety, nie mam skrzydeł ani prywatnego samolotu i stać mnie tylko na list lotniczy. Codziennie jednak marzę o tym, aby z taką dziewczyną

ną, jak pani, przespacerować się nad Tamizą”, nie będzie to jednak zachowanie sytuacyjnie konwencjonalne.)

A zatem tekst jako komunikat nie istnieje w oderwaniu od konkretnej sytuacji komunikacyjnej, jest on – wraz z odbiorcą i nadawcą – niejako „zanurzony” w swoistym **MAKROKONTEKŚCIE** aktualnych relacji i odniesień. Bardzo schematycznie można tę sytuację przedstawić następująco:



*N - nadawca, O - odbiorca, K - komunikat,
J - język, W - wiedza porajęzykowa*

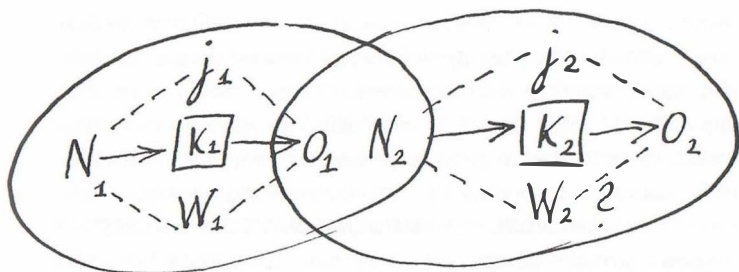
tłumaczenie...

Tłumaczenie jako proces komunikacji międzyjęzykowej

W procesie tłumaczenia pojmowanego jako akt komunikacji sytuacja powyższa ulega daleko idącemu skomplikowaniu. Istnieją tu bowiem zasadniczo **dwie** sytuacje komunikacyjne, oddzielone od siebie w czasie i przestrzeni. (Wyjątek stanowi ► **TŁUMACZENIE USTNE**, w przypadku którego tłumacz uczestniczy w tej samej sytuacji komunikacyjnej, często nie posiada jednak tych samych presupozycji, wiedzy, skojarzeń itp., co jego rozmówca.)

Tłumacz staje się pośrednikiem między dwiema sytuacjami komunikacyjnymi, przyjmując w pierwszej (dotyczącej oryginału) rolę

odbiorcy, **adresata**, w drugiej zaś – sferze przekładu – rolę **nadawcy**. W procesie tłumaczenia obie te sytuacje zachodzą niejako na siebie, co ilustruje poniższy schemat.



Uwzględniając to wszystko, co powiedzieliśmy o samym procesie komunikacji, zauważyć musimy, że rodzi się tu szereg poważnych trudności. Po pierwsze, tłumacz – jeśli przekłada z języka obcego na ojczysty – nie należy do tej samej wspólnoty komunikacyjnej, co autor oryginału. Zdarzyć się więc może, że wiele **impli-cytnych** informacji pozostanie dla niego nieczytelnych, nawet jeśli jego kompetencji językowej nie można nic zarzucić (> **ŁATWOŚĆ TŁUMACZENIA NA JĘZYK OJCZYSTY?**). Zjawisko to spotęguje się, jeśli tłumaczymy tekst historyczny albo specjalistyczny. Nawet jeśli tłumacz to *native speaker* (rodzimy użytkownik języka), > **BRAK EKWIWALENTU**), może się zdarzyć, że nie dysponuje istotnymi informacjami na temat faktów historycznych czy merytorycznych, koniecznymi do zrozumienia tekstu. Tłumacz nie-Polak, nieznający *obscenum* występującego w śląskim dowcipie, nie zrozumie tego żartu w ogóle, tłumacz Polak, który nie uważał na lekcjach historii, nie będzie wiedział, dlaczego czyjś dziadka różnili piłą. Cytat ten pojawić się może zresztą i poza tekstem *Wesela*, np. w artykule publicystycznym, eseju czy reklamie, a więc niezależnie od pierwowzoru literackiego. Tak właśnie stało się w reklamie radiowej, w której cytat z dramatu Szekspira w tłumaczeniu Paszkowskiego pojawił się w zmodyfikowanej formie: „Niech się zaśmieje ranny los” (> **INTERTEKSTUALNOŚĆ**, > **CYTATY**). Istotna zatem jest tu

nie tylko abstrakcyjnie pojęta kompetencja językowa, lecz także wiedza o czynnikach determinujących dany proces przekładu, a tych może być *ex definitione* nieskończenie wiele. Rola tłumacza jako odbiorcy (**adresata**) jest zatem niełatwa, polega bowiem na wyinterpretowaniu intencji autora, przesłaniu komunikatu i zrekonstruowaniu implicytnych znaczeń zawartych pośrednio w tekście.

Trudności te potęgują się z przejściem do drugiej sytuacji komunikacyjnej, której cel stanowi adresat. Tłumacz zamienia się w **nadawcę** komunikatu. Jeżeli dokonuje przekładu na język ojczysty, ma o tyle ułatwione zadanie, że **produkcja komunikatu** nie sprawia mu zbyt wielu trudności, dysponuje bowiem kompetencją rodzimego użytkownika języka (> **ŁATWOŚĆ TŁUMACZENIA NA JĘZYK OJCZYSTY?**). Podstawowy problem polega jednak na tym, że **adresat** komunikatu **nie dysponuje** znaczną częścią (jeśli nie większością) presupozycji, tj. założeń wspólnych dla nadawcy i odbiorcy pierwszej sytuacji komunikacyjnej. Jeżeli zatem jakaś informacja nie pojawia się w oryginale w sposób bezpośrednio wyeksplikowany, a adresat przekładu nie posiada wiedzy koniecznej do jej rekonstrukcji, nawet najbardziej dosłowne przełożenie tekstu tej informacji mu nie przekaże.

Operacja tłumaczenia jest zatem nie tylko zmianą kodu językowego, lecz także procesem zmierzającym do **uzupełnienia** bądź **modyfikacji** komunikatu w taki sposób, aby wywoływał on **tożsamy efekt komunikacyjny**. Tożsamość efektu komunikacyjnego oznaczają jednak często **różnorodność środków**. Po prostu „wiernie” (lepiej powiedzieć: adekwatnie, **dobrze!**) wcale nie oznacza **tak samo** (> **IDENTYCZNOŚĆ ORYGINAŁU I PRZEKŁADU, > DOSŁOWNOŚĆ**). Ten sam efekt osiąga się bowiem często różnymi środkami.

Tłumacz musi uwzględnić różnice między horyzontem poznawczym potencjalnego odbiorcy oryginału i przekładu. Prowadzi to czasem do rozstrzygnięć dość zaskakujących. LEBIEDZIŃSKI (1981:67) podaje znany w teorii przekładu spektakularny przykład dotyczący sekwencji z „Ojczyzna nasza” – *panem nostrum quotidianum* („chleba naszego powszedniego”). Otóż dla Eskimosów sekwencja ta przetłumaczona została (podobno) jako „ryby naszej powszedniej”. Nawet jeśli nie jest to prawda (nie znam eskimoskiego), przykład jest dobrze dobrany. Dla Eskimosów chleb jest pożywieniem dość egzotycznym, dosłowne przetłumaczenie „chleba naszego...” mogłoby

więc brzmieć jak „kawioru naszego etc.”, ryba jest natomiast **funkcjonalnym** odpowiednikiem chleba, oznacza codzienne pożywienie, podobnie jak dla Chińczyków ryż (> **EKWIWALENCJA FUNKCJONALNA**, > **KONOTACJA**). Ryba jest także o tyle szczęśliwym ekwiwalentem, że stanowi symbol chrześcijaństwa (por. Ligia rysująca rybę na piasku w *Quo vadis*).

Podobną ukierunkowaną na specyficznego **adresata** decyzję translatorską podjęła Irena Tuwim, tłumacząc *Kubusia Puchatka* (> **INTERTEKSTUALNOŚĆ**, > **CZY PRZEKŁAD MOŻE BYĆ LEPSZY OD ORYGINAŁU?**). *Winnie-the-Pooh* stała się dzięki temu znakomitemu przekładowi książką obecną nie tylko w świecie dzieci, ale także dorosłych. Wszyscy, którzy przeczytali ten przekład, należą do pewnej **wspólnoty**, która bez trudu rozumie sens pytania o to, „co Tygrysy lubią najbardziej”. W wyemitowanej niedawno reklamie radiowej zostali oni określani jako „Puchatkowcy”. W *The House at Pooh Corner* (*Chatka Puchatka*) znajduje się scena, w której Maleństwo zażywa *Extract of Malt* (wyciąg ze słodu). Jest to Wzmacniające Lekarstwo, którego bardzo nie lubi. Irena Tuwim przetłumaczyła *Extract of Malt* jako **Tran**, kierując się horyzontem oczekiwań adresata (dziecka). W Polsce w okresie międzywojennym podawano dzieciom tran jako substancję zawierającą witaminy. Oczywiście, dzieci nie lubiły oleistej cieczy, podobnie jak Maleństwo wyciągu ze słodu. **Tran** jest w tym przypadku **ekwiwalentem funkcjonalnym**. U dzisiejszego dziecięcego czytelnika *Chatki* tran nie budzi już tych skojarzeń, jest raczej czymś nieznanym. We współczesnym tłumaczeniu ekwiwalentem funkcjonalnym mógłby być np. **szpinak** (którego dzieci nadal nie lubią) albo nawet **ovomaltina**, mają one bowiem jakiś związek ze słodem i ze środkiem odżywczym typu „lekarstwa”.

Jak widać, ekwiwalent funkcjonalny to często słowo lub określenie, którego nie podpowie nam żaden słownik, nigdzie bowiem nie znajdziemy propozycji „ryba” = „chleb”, *extract of malt* = „tran”. Ekwiwalent taki trzeba odnaleźć na podstawie analizy wszystkich czynników uczestniczących w **danym** procesie przekładu. Tłumaczenie tego samego tekstu dokonane w różnym czasie i dla różnych adresatów może mieć odbiegające od siebie wersje (tran, szpinak...).

Mit **DOSŁOWNOŚCI** sugeruje, że w procesie tłumaczenia odwzorowujemy oryginał. Oczywiście, tłumacz może dążyć do swo-

istego skopiowania oryginału, efekt będzie jednak niezbyt pociągający (jak w maksymie przypisywanej Wolterowi). Dosłowność pociągnie bowiem za sobą zlekceważenie bądź naruszenie ► **NORMY JĘZYKA DOCELOWEGO**, nie uwzględni też koniecznych zmian i modyfikacji wynikających z konkretnej sytuacji komunikacyjnej.

Aby osiągnąć **tożsamy efekt komunikacyjny**, tekst przekładu **musi** się zwykle różnić od oryginału. Nawet z pozoru identycznie, dosłownie odwzorowane słowa czy sformułowania nie zawsze są tożsame pod względem wywołanego efektu. Wydawać by się mogło, że w przypadku słów *der Tod* = „śmierć” zachodzi pełna odpowiedniość. W większości tłumaczonych tekstów istotnie tak jest. Zwróćmy jednak uwagę na to, że *der Tod* jest rodzaju męskiego, „śmierć” zaś to dziewczyna. Ma to znaczenie np. dla poetyckiego obrazowania, konstrukcji metafor itp. (np. starzec-śmierć, śmierć-kochanica). Różna jest także fonetyczna postać obu słów – *Tod* zawiera długą samogłoskę „o”. Wyobraźmy sobie teraz, że słowo to znajduje się w tekście libretta i na tej właśnie samogłosce opiera się długa koloratura. Tłumacząc libretto, należy znaleźć ekwiwalent z „o”, np. „zgon”. Całe szczęście, że w polszczyźnie istnieje jednosylabowy wyraz bliskoznaczny z owym „o” w środku. (W czeskim sprawa jest jeszcze trudniejsza, wyraz *smrt* bowiem w ogóle samogłoski nie zawiera. Z kolei etymolog, spoglądający uczynym okiem na oba słowa, dostrzeże istotne różnice między „śmiercią” i „zgonem”).

W tym miejscu pojawia się kolejny problem. Tekst analizowany w oderwaniu od sytuacji komunikacyjnej zawiera równocześnie **nadmiar** i **niedomiar** informacji. Nie wszystkie potencjalnie ważne jego cechy zaistnieją w konkretnym akcie komunikacji. To nadmiar. Równocześnie tekst nie zawiera wielu **implicitnych** informacji, które mogą (ale nie muszą) być istotne dla jego prawidłowego odbioru. To swego rodzaju niedomiar. O tym, co ważne w tekście w danym procesie przekładu, decyduje *a priori* nieograniczona liczba czynników. Każdy jednak konkretny akt tłumaczenia poprzez szereg obiektywnie zdeterminowanych i subiektywnych **rozstrzygnięć** wyłania z tego **morza możliwości** ostateczną postać przekładu.

Texty oryginału i tłumaczenia zawsze różnią się zatem od siebie w **swej postaci**, nie są identyczne. Nie oznacza to jednak,

że nie mają pewnych cech wspólnych, tego, co nie uległo zmianie. Można tu zacytować tytuł książki Stanisława Barańczaka *Ocalone w tłumaczeniu*. W procesie nieuchronnych zmian i modyfikacji coś jednak pozostaje niezmiennie. To – mówiąc językiem teorii – **INWARIANT**, „niezmiennik”, ta część przenoszonych (implicytnie i eksplicytnie) informacji, która **bezwzględnie** musi pozostać niezmienna, aby akt komunikacji się powiódł.

Dla zilustrowania koncepcji **inwariantu** przytoczę następujący dowcip polityczny, opowiadany w NRD w latach 70.:

In einem Papierwarenladen spazieren zwei Reißzwecken. Sie unterhalten sich über Politik. Plötzlich warnt die eine: „Vorsicht! Hinter uns läuft eine Sicherheitsnadel!”

Przełożony dosłownie, tekst powyższy nie wywołuje właściwie żadnej wesołości – czyli akt komunikacji się powiódł:

W sklepie papierniczym spacerują dwie pinezki. Rozmawiają o polityce. Nagle jedna z nich ostrzega: „Uwaga! Za nami idzie agrafka!”

Znając realia NRD (Stasi), powyższy dowcip można jedynie zinterpretować jako aluzję do tego, że każdy śledził każdego, nawet agrafka pinezki. Nie chodzi tu jednak tylko o kwestię językową, lecz o fakt przynależności do określonej wspólnoty komunikacyjnej. Pewna Austriaczka, nieorientująca się (wówczas) w realiach NRD, również nie uznała tego dowcipu za śmieszny. Powyższy tekst można jednak przełożyć na język polski inaczej (i to na wiele sposobów) – tak, by budził wesołość. Trzeba jednak ustalić, które z informacji zawartych w tekście należą do **inwariantu**, a które są **wymienne**, tzn. można je bez szkody (a nawet z korzyścią!) dla procesu komunikacji zmodyfikować. Istnieje tu zatem określona **hierarchia**, pewne informacje i cechy tekstu są ważniejsze, inne mniej – można by powtórzyć za Orwellem, że istnieją zwierzęta równe i równiejsze. Co zatem jest w naszym tekście najistotniejsze? Odpowiedź: **GRA SŁÓW**, polegająca na podobieństwie leksemów *Sicherheitsnadel*

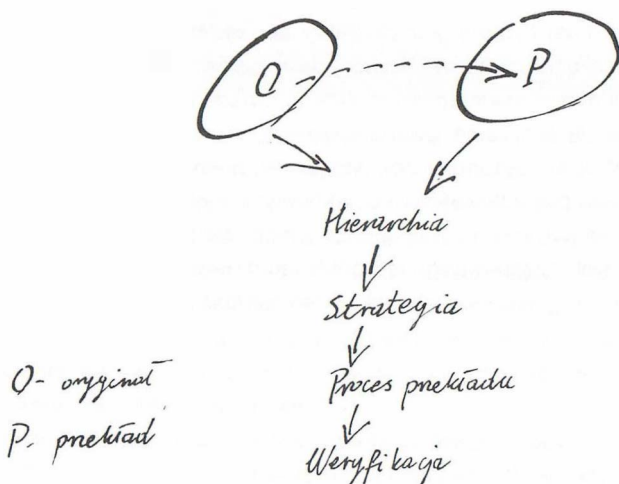
(agrafka) i *Sicherheitsdienst* (policja polityczna, Stasi). Wszystko inne, a zatem rodzaj sklepu i spacerujące przedmioty, jest nieistotne. Jeżeli wymienimy te elementy, przetłumaczenie powyższego tekstu stanie się możliwe. W tym celu należy jednak opracować odpowiednią **strategię**. Poszukiwać zatem będziemy takich zwykłych przedmiotów (mogących pojawić się w kiosku lub jakimś sklepie), które kojarzą się z policją polityczną, podsłuchem, szpiegostwem itp. Znamienne jest, że szereg możliwości stwarza sklep elektryczny. Mogą więc w nim spacerować np. dwie żarówki (to zresztą nieistotne, równie dobrze mogą to być baterie), za nimi podąża zaś: **bezpiecznik, kabel, wtyczka**. W sklepie muzycznym za parą np. saksofonów skradać się może **klawisz**. W czasie afery związanej z agentem o pseudonimie **Zapalniczka** byłby to wdzięczny ekwiwalent (np. w kiosku z gazetami). Obecnie jednak większość Polaków nie pamięta już tej sprawy, ekwiwalent stracił zatem swą funkcjonalną tożsamość (➤ **INWARIANT**, ➤ **NIEPRZETŁUMACZALNOŚĆ**, ➤ **GRA SŁÓW**). W przypadku powyższego żartu do inwariantu należy jedynie skojarzenie ze sferą służb specjalnych.

Ze wszystkiego, co dotychczas powiedziano, wynika, że tłumaczenie jest **procesem**, w wyniku którego **powstaje nowy tekst**. Proces ten uwarunkowany jest szeregiem czynników obiektywnych i subiektywnych, powtarzających się i występujących okazjonalnie. Ze względu na wielość i różnorodność determinujących czynników nie sposób sformułować gotowych recept czy wskazówek dla tłumacza, ważnych w każdej możliwej sytuacji.

Powstający tekst tłumaczenia powinien z zasady odpowiadać **normie** języka docelowego. (Od tej reguły mogą jednak istnieć wyjątki.) Już to wymusza pewne zmiany, te same zjawiska, sytuacje czy procesy różne języki opisują bowiem często w różny sposób (por. maksuma Jakobsona). Tworząc tekst, tłumacz musi nie tylko uwzględnić intencje autora oryginału, ale także horyzont poznawczy odbiorcy przekładu i całą sytuację komunikacyjną, w którą „wpasować się” musi powstający przekład. Z tej wstępnej analizy wyłonić powinien hipotetyczne granice **inwariantu**, a co za tym idzie – dokonać **hierarchizacji** w obrębie tłumaczonego tekstu, tzn. wybrać priorytety przekładu. Na podstawie tych priorytetów (mogą one ulegać zmianie wraz ze zmianami czynników uczestni-

czących w procesie przekładu) należy sformułować odpowiednie **strategie**.

Postępowanie to można przedstawić za pomocą następującego **MODELU**:



Nawet z tego bardzo uproszczonego schematu jasno wynika, że proces tłumaczenia zależy do wielu zmieniających się czynników i że faza wstępna, obejmująca interpretację oryginału jako komunikatu i cel samego aktu translacji, sformułowanie priorytetów oraz strategii, jest niezwykle istotna i przebiega jeszcze **przed** rozpoczęciem właściwego aktu tłumaczenia. (Dotyczy to oczywiście tłumaczenia tekstów pisanych. W tłumaczeniu ustnym faza wstępna zredukowana jest do minimum, choć tutaj tłumacz również interpretuje i podejmuje decyzje. Ma jednak na to o wiele mniej czasu ➤ **TŁUMACZENIE USTNE**). Bardzo istotny jest procesualny aspekt tłumaczenia. Proces przekładu to **tworzenie nowego tekstu**, a nie – jak się często przyjmuje – **transformacja**. Tekst oryginału nie ulega bowiem żadnej przemianie, pozostaje w postaci niezmienionej. Ponieważ jednak przekład różni się od oryginału, dzięki porównaniu można wykazać różnice. I te właśnie różnice często nazywa się transformacjami. **Nowy tekst** (przekład) nie jest całkowicie samodzielny, znajduje

się bowiem (i powstaje) w relacji do oryginału. Samo porównanie obu tekstów, bez uwzględnienia wszystkich czynników determinujących dany akt przekładu, jest jednak niewystarczające. Tłumaczenia powstają zresztą nie po to, by je porównywać z oryginałami, jest to bowiem zajęcie dla wąskiej grupy odbiorców, którzy w danym wypadku tłumaczenia nie potrzebują! Mimo całej swej inności, która nie zawsze musi być ułomnością (**inny nie znaczy gorszy**), tłumaczenia przeznaczone są dla adresatów nieznających danego języka.

Tłumacz powinien mieć zatem świadomość, że w konkretnym procesie tłumaczenia uwarunkowanym szeregiem czynników tworzy wprawdzie nie autonomiczny, ale jednak **nowy tekst**. Proces podlega co prawda prawdom i regułom obiektywnym, wiele zależy jednak od przyjętych priorytetów i wynikających z nich **decyzji**. Większość decyzji, nawet tych cząstkowych, powoduje automatycznie konsekwencje dla dalszej pracy tłumacza. Wynika stąd wielość możliwych rozwiązań.

Rozdział II

Kilka refleksji...

Kilka refleksji na temat znaczenia

Istnieją pojęcia pozornie proste, należące do codziennego słownika, których używamy bezrefleksyjnie i niejako automatycznie, w przekonaniu, że wiemy, o czym mówimy. Używamy takich słów, jak „prawda”, „piękno”, „Bóg”, i wielu innych, nie zdając sobie sprawy, że generacje filozofów spierały się o mniej lub bardziej precyzyjne definicje tych pojęć. Należy do nich m.in. samo **ZNACZENIE**, również wymykające się jednoznacznej definicji, aczkolwiek lingwistyka poczyniła na tym polu znaczne postępy, porządkując naturalne wyobrażenia typu *common sense*.

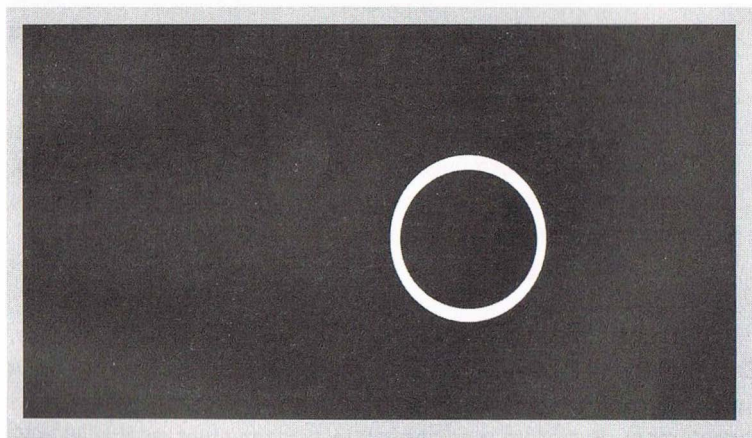
Spróbujmy prześledzić kilka spontanicznych wypowiedzi studentów filologii na temat znaczenia, podobnie jak w przypadku definicji tłumaczenia.

1. Znak (symbol) wskazuje na coś, co jest poza nim.
2. Znaczenie: rzeczywistość (pozajęzykowa), na którą wskazuje znak.
3. Znak – symbol. Znaki naturalne, znaki umowne, czasami mogą to być gesty, ruchy ciała.
4. Znaczenie – wytłumaczenie sensu znaku i nie tylko znaku, co niesie ze sobą dany znak, np. chmury na niebie (jest to jakiś znak) znaczą brzydką pogodę; biała flaga, czerwone światło itp. są to znaki umowne, jednak powszechnie znane i rozumiane.
5. Znaczenie – prawdziwa wartość znaku. Wskazanie na coś, co istnieje poza znakiem.

Przyznać trzeba, że studentów nie całkiem zawiodła intuicja. Znak rzeczywiście wskazuje na coś, co jest poza nim. Ale znak i symbol to nie to samo, a chmury burzowe nie są znakiem, lecz symptomem. Symptom nierozdzielnie związany jest ze zjawiskiem,

które sygnalizuje: wysypka z uczuleniem, chmury z burzą. Powiązanie znaku z tym, co oznacza, jest zazwyczaj całkowicie dowolne, pomijając onomatopeje typu „hau hau” czy „kukuryku”, *nota bene* też w pewnym sensie dowolne, bo po niemiecku „hau hau” to *wau wau*, a „kukuryku” – *kikeriki*. Ruchy ciała mogą być nie tylko znakami, ale i symptomami. Jeśli ktoś trzęsie się ze strachu, jest to psychosomatyczny symptom będący dowodem przeżywanego stresu. Podobnie jest z czerwienieniem się policzków u zakłopotanych dziewcząt. Ale człowiek stukający się w czoło używa znaku całkowicie umownego. Wskazujący palec pukający w czoło oznacza w Polsce (i Niemczech) głupotę (w Niemczech można tę czynność ścigać sędownie jako gest obraźliwy), zakrzywiony palec pukający w czaszkę z boku sugeruje w wielu krajach inteligencję. Powyższa kwestia znacznie się komplikuje w przypadku flirtu, gdzie symptomy i znaki zamieniają się miejscami – umalowane na czerwono wargi pozorują symptom podniecenia i funkcjonują jako znak. Podobnie bywa z innymi atrybutami zalotności. Niebieski cień (szminka), pod dolną powieką sugeruje zmęczenie po miłosnej nocy. Przyrodzona mowa ciała zostaje wprzęgnięta w specyficzny system „języka miłości”.

Zastanówmy się zatem, co może być znakiem? Zanim odpowiemy na to pytanie, wyobraźmy sobie narysowane na szkolnej tablicy zwyczajne kółko:



Czy to jest znak? Doświadczenie podpowie nam od razu odpowiedź pozytywną: tak. Gdy jednak zapytamy, co on oznacza, zaczy-
nąją się piętrzyć niebagatelne trudności. Litera „o”. O...czywiście!
Ale w języku niemieckim na przykład graf ten ma dwie podstawowe
różniące się od siebie realizacje fonetyczne – samogłoska długa
napięta i krótka nienapięta, nie licząc innych możliwości. W angielskim
słowie *women* znak ten wymawiany jest jako krótkie „i”, w języku
rosyjskim zaś w pozycjach nieakcentowanych jako „a”. W czeskim i
szwedzkim umieszczone nad literą kóteczko funkcjonuje jako
znak diakrytyczny. A więc nie całkiem i nie zawsze „o” (OK).

Małe kóteczko może oznaczać także wiele innych rzeczy. W ma-
tematyce na przykład **zero**, genialny wynalazek Arabów. Jeżeli do
dzisiaj ludzie sprzecząją się, czy drugie tysiąclecie skończy się
w roku 1999, czy 2000, zapominają, że genialni skądinąd Rzymianie
nie wprowadzili w swoim kalendarzu roku zerowego i stąd całe
nieporozumienie. Kóteczko oznaczać może również stopień Celsju-
sza, Fahrenheita itd., moc alkoholu zamkniętego w butelce, wresz-
cie i toaletę damską w dwuelementowym systemie kółka i trójkąci-
ka. A zatem znak bardzo często nie istnieje jako rzecz sama w so-
bie, tylko funkcjonuje w ramach określonego systemu.

Zapytajmy jeszcze, co może być znakiem (nie symptomem!).
Najbardziej ogólna odpowiedź brzmi: każda rzecz, każde zjawisko.
Zielony sznur, przysłany przez sułtana poddanemu, nie oznaczał
nic dobrego – adresat powinien się na nim powiesić. Jego kolor



oznaczał jednak dodatkowo śmierć szlachetną,
zwykły powróż natomiast dodatkowe upokorze-
nie. Czytelnicy powieści kryminalnych dosko-
nale wiedzą, że pozornie nic nieznacząca
czynność, np. zamknięcie czytanej książki,
powstanie z miejsca itp., może być umówio-
nym sygnałem do podjęcia akcji. Istota tego
typu znaków polega na tym, że dla osób
postronnych, niewtajemniczonych „udają”
one, że nie są znakami – znaczek przy-
klejony do rynny, porzucona nakrętka od
butelki, zagwizdana melodia, leżący pod
ścianą guzik, kraciasty szalik...

Każdy z tych codziennych elementów rzeczywistości **może** coś oznaczać, aby jednak dowiedzieć się, CO, musielibyśmy skontaktować się ze **WSPÓLNOTĄ KOMUNIKACYJNĄ** używającą tych znaków, a więc z bandą, mafią, wywiadem...

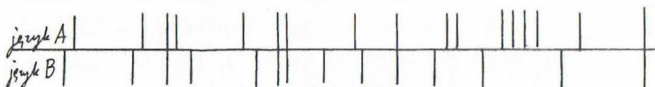
Istotna okazuje się więc obowiązująca użytkowników znaków **umowa**. Umówiliśmy się w obrębie pewnej grupy, że np. niebieska piłeczka pingpongowa oznacza niebezpieczeństwo. Powstała więc para: **piłeczka – wyobrażenie istniejące w mózgach użytkowników znaku**, w bardziej precyzyjnej terminologii określana jako *signifiant:signifie*, po polsku „znaczące” i „znaczone”. Powiedzieć więc można, że istotą znaczenia jest przyporządkowanie sobie dwóch elementów: **znaku** oraz tego, co on **oznacza**.

W przypadku znaku typu „niebieska piłeczka pingpongowa” przyporządkowanie to jest całkowicie dowolne, wynika z umowy między użytkownikami. W językach naturalnych sprawa nieco się komplikuje. Co prawda stół mógłby się nazywać zupełnie inaczej (i w innych językach rzeczywiście nazywa się inaczej), niesłuchanie trudne byłoby jednak wprowadzenie od jutra innego określenia, np. tłóst. Użytkowników języka wiąże konwencja, którą zastali, ucząc się w dzieciństwie języka ojczystego. Wszelkie próby wprowadzania „od góry” zmian w tym zakresie kończą się zazwyczaj fiaskiem. Jak nieudany przeszczep odrzucone zostało słowo „publikatory” (zamiast „mass media”; kto to jeszcze pamięta?), w ustach normalnego człowieka „doręczyciel” nadal jest listonoszem. A więc mimo faktu, że relacja między ciągiem dźwięków „stół” i pewną klasą mebli nie jest niczym uzasadniona, użytkownicy polszczyzny uważają ją za obowiązującą. (Pewien wyjątek, jeśli chodzi o dowolność [arbitralność] powiązania znaku z oznaczanym zjawiskiem, stanowią różne onomatopeje. Nieprzypadkowo kogut pieje „kukuryku”, a pies szczeka „hau hau”. Język naśladuje tu dźwięki wydawane przez zwierzęta. Różne języki czynią to jednak w różny sposób. Jak już wspomnieliśmy, niemiecki kogut pieje *kikeriki*, a pies szczeka *wau wau*.)

Znaczenie przyporządkowujące znak pewnej klasie przedmiotów, zjawisk, wyobrażeń itp. bywa nazywane znaczeniem **referencyjnym** albo denotatywnym. W naszym postrzeganiu rzeczywistości, w którym istotną (> **SAPIR, WHORF**) rolę odgrywa język, do-

konujemy podziału (segmentacji) otaczających nas zjawisk. Otaczający nas świat tworzy kontinuum wypełnione nieskończoną wprost ilością przedmiotów, zjawisk, procesów itp. Każdy z tych fenomenów jest bytem niepowtarzalnym – tak naprawdę nie ma dwóch identycznych krzesel ani dwóch identycznych psów, nawet jeśli należą do tej samej rasy. To my, ludzie, użytkownicy języka, tworzymy kategorie porządkujące otaczający nas świat. Taka klasa przedmiotów czy zjawisk nazywana bywa **referentem znaku**. Dlatego właśnie relacja pomiędzy znakiem a jego referentem określana jest jako znaczenie referencyjne. Okazuje się jednak, że istnieje wiele możliwości posegmentowania danej rzeczywistości pozajęzykowej i różne języki na różne sposoby radzą sobie z tym zadaniem. Wydawać by się mogło, że wszyscy ludzie opisują swoje ciała w podobny sposób. Tak jednak nie jest. Po polsku na przykład palce u rąk i nóg należą do tej samej ogólnej kategorii **palców**, po niemiecku natomiast są to dwa zupełnie różne rodzaje kończyn – *Finger* i *Zehen*. Język niemiecki dokładniej, bardziej szczegółowo opisuje zatem ten wycinek rzeczywistości. Czasem bywa jednak odwrotnie i to właśnie polski jest dokładniejszy. Polskim określeniom, takim jak kieliszek, szklanka, słoik, odpowiada w języku niemieckim jedno – *Glas*. Porównując dowolną parę języków A i B, zaoberwujemy sytuację, którą można schematycznie przedstawić w następujący sposób:

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak



się dzieje. Widocznie dla pewnych wspólnot używających danego języka pewne obszary rzeczywistości były ważniejsze i wymagały bardziej precyzyjnego opisu. Tłumaczyłoby to znany fakt, że Eskimosi mają kilkanaście określeń na rodzaje śniegu i odcienie jego bieli. W warunkach arktycznych, podczas polowań, szybkie i dokładne opisanie zachodzących procesów pogodowych było na wagę życia. W wielu wspólnotach rozbudowane tradycje rodzinne wymagały z kolei do-

kładnego przedstawienia relacji pokrewieństwa. Język polski zachował rozróżnienie między „wujem” i „stryjem”, chociaż to ostatnie określenie powoli wychodzi z użycia. Kto pamięta, co oznaczało słowo „świekra”? W języku węgierskim inaczej określa się starszą siostrę, inaczej młodszą. Tego typu różnice w opisie danego wycinka rzeczywistości przez rozmaite języki dotyczą wielu zjawisk.

Niezwykle interesująco przedstawia się zagadnienie podziału spektrum światła widzialnego na różne kolory w obrębie różnych języków. Niby wszyscy mamy takie same oczy i widzimy to samo. Ale – jak mawiał Goethe – widzimy to, co wiemy. Zilustrujmy to najpierw na przykładzie spoza sfery zagadnień kolorystycznych. Obserwujący łąkę na skraju zagajnika mieszczuch na pytanie: „Co widzisz?”, odpowie: „Trawę, drzewa, ptaki”. Mieszkaniec wsi powie natomiast: „Tu rośnie konicz, tu rzeżucha, tam olchy i graby, i właśnie przeleciała makolągwa, a za nią zimorodek”. Jego spojrzenie na łąkę jest znacznie bardziej zróżnicowane, podobnie jak spojrzenie Eskimosa na śnieg. Wróćmy jednak do kwestii kolorów.

Jak mieszczuch i mieszkaniec wsi w różny sposób postrzegają łąkę, tak samo zwykły zjadacz chleba i zawodowy malarz inaczej widzą kolory. Malarz spostrzega błękit paryski, ugier jasny, sjenę paloną, zieleń Veronesa, my zaś niebieski, dwa odcienie żółtego i brązu oraz zielony. System znaków opisujących kolory w malarstwie jest znacznie bardziej precyzyjny od używanego na co dzień. Nie znaczy to, że niemalarze nie dostrzegają różnic w odcieniach barw. Nie dysponują jednak gotowym zbiorem precyzyjnych określeń, opisujących dany wycinek rzeczywistości. Chcąc opisać dokładnie dany odcień, muszą uciec się do porównań lub omówień, np. kolor sierści wielbłąda, ciemnozielony jak rzęsa na stawie, kolor farbki do bielizny itp. Są więc w stanie wyrazić w języku to, co widzą, wymaga to jednak pewnego trudu, muszą bowiem *ad hoc* konstruować porównania bądź opisy.

Jeżeli spojrzymy pod tym kątem na dowolną parę języków, od razu dostrzeżemy mniejsze lub większe różnice. Uczący się języka rosyjskiego dobrze wiedzą, że polskiemu „niebieski” odpowiadają dwa określenia – синий (jasnoniebieski) i голубой (ciemnoniebieski). Jeszcze inaczej wygląda to w języku niemieckim, gdzie określenie *blau* – potencjalnie odpowiadające polskiemu „niebieski” –

rozciąga się jednak także na obszar spektrum, na który w języku polskim istnieje odrębne określenie, mianowicie „granatowy”. Jak dalece ta z pozoru nieistotna różnica wpływać może na percepcję rzeczywistości i zachowania użytkowników języka, ilustrują dwa przytoczone poniżej przykłady.

Zwracam się zatem do audytorium studentów polskojęzycznych, aby wstały wszystkie osoby mające w ubraniu **niebieski** szczegół (sweterek, bluzkę, broszkę itp.). Studenci mający na sobie elementy **granatowe**, a zwłaszcza **ciemnogramatowe**, graniczące z czernią, niemal na pewno nie powstaną. Inaczej zachowają się studenci niemieckojęzyczni – powstaną również ci z ciemnogramatowymi elementami stroju. Ten przykład stanowi jedynie ilustrację wspomnianego zjawiska. Może się jednak zdarzyć, że rozróżnienie pomiędzy granatowym i niebieskim zadecyduje np. o schwytaniu bądź uwolnieniu mordercy. Wyobraźmy sobie, że w polskim sądzie niemieckojęzyczny świadek zeznaje (przez tłumacza) – *er hatte einen blauen Anzug an* (myśląc o ubraniu ciemnogramatowym, ale nie sygnalizując tego jednoznacznie – *sehr dunkelblau*), co zostanie naturalnie przetłumaczone jako niebieski. I polscy policjanci, sugerując się określeniem „niebieski”, wypuszczą zapewne wszystkich podejrzanych w ciemnogramatowych garniturach...



Języki z naszej perspektywy egzotyczne dzielą czasem spektrum barw w sposób rzeczywiście zaskakujący. *Gazeta Wyborcza* z 30 marca 1999 r. opisała piórem Małgorzaty Załogi badania brytyjskie, dotyczące papuaskiego plemienia Berinmo. „*Mehi, kel, wor, nol, wap* – tak w swoim języku nazywają pięć podstawowych kolorów członkowie plemienia Berinmo. Granice między poszczególnymi kolorami (...) stawią oni w zupełnie innych miejscach niż Europejczycy. Na przykład ich kolor *nol* obejmuje aż trzy nasze barwy – niebieską, fioletową i zieloną”. W tym samym artykule przeczytać można, że Japończycy, niemający wcześniej określenia na włosy koloru blond, opisywali je za pomocą porównania – „kolor średnio przysmażonej cebuli”.

Innym interesującym przykładem jest segmentacja dnia i nocy (doby) przez różne języki. Poniższy przykład przytaczam za Barchudarowem (BARCHUDAROW 1979:95 nn.). W każdym słowniku angielsko-polskim znajdziemy następujące odpowiedniki:

morning – rano

day – dzień

evening – wieczór

night – noc.

Wydawać by się mogło, że istnieje tu zupełna odpowiedniość. Tymczasem w tekstach angielskich napotkać można wypowiedzi określające godzinę 1.15 a.m. jako *early morning*, a godzinę 9 p.m. jako *nine o'clock at night*. Po polsku powiemy „pierwsza piętnaście w nocy” (a nie rano) oraz „dziewięta wieczór” (a nie w nocy). Okazuje się, że język angielski dzieli dwudziestoczegodzinnny cykl dobowy inaczej niż polski, niemiecki i rosyjski. *Morning* trwa od północy do południa, potem następuje *afternoon* (mniej więcej do 18.00), a następnie *evening* (do północy). Niezależnie od tego podziału funkcjonuje rozróżnienie *night-day*, a więc jasna i ciemna część doby.

Widzimy więc, że nawet w tak wydawałoby się jednoznacznych dziedzinach, jak struktura ludzkiego ciała, kolory czy pory dnia, istnieją w opisie językowym znaczne różnice. Problem dodatkowo komplikuje fakt, że ten sam konkretny przedmiot (denotat, desygnat) zaszeregowany może być do wielu różnych kategorii (odniesiony do kilku referentów). Konkretnie krzesło więc to nie tylko krzesło, ale także

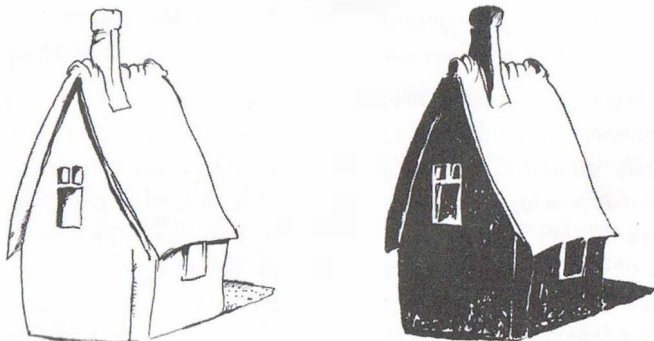
mebel, przedmiot, rzecz. Z drugiej strony istnieje wiele krzesła, które ze względu na swą formę naszemu wyobrażeniu o krześle zupełnie nie odpowiadają, na przykład pniałki przy ognisku albo siodła w wiejskim zajęździe, nie mówiąc już o twórcach artystów projektujących meble. O tym, że są one postrzegane jako krzesła, decyduje jedynie spełniana przez nie funkcja. Architekci wewnątrz radzą sobie z tym problemem, nazywając każdy element służący do siedzenia **siedziskiem**. Określenie to redukuje dany element wyposażenia jedynie do funkcji. Innym tego typu określeniem jest **leżysko**. Nietrudno zgadnąć, do czego służy, nie bardzo jednak wiadomo, jak wygląda. Taki przedmiot musi jednak mieć pewne charakterystyczne cechy; w przypadku leżyska są to: określona wielkość, płaskość i względna miękkość. Czy jednak bardzo typowe krzesło, w którego płaszczyźnie do siedzenia artysta zaprojektował duży, ostry bolec, nadal zasługuje na to miano? W takim żartobliwym projekcie wyraża się konflikt między prototypową formą a funkcją.



Języki opisują rzeczywistość w sposób niejako przybliżony, aproksymatywny, nie pokrywają całości zjawisk, jedynie sugerują pewne wartości graniczne, ułatwiając orientację w świecie. Proponuję prześledzenie pewnego eksperymentu, który wielokrotnie przeprowadzałem ze swoimi studentami. Zajęcia odbywały się zazwyczaj w typowych salach wykładowych, łatwo je więc sobie wyobrazić. Prosiłem jedną z osób uczestniczących w zajęciach, aby usiadła na stole stojącym przed audytorium. Zadanie reszty słuchaczy polegało na opi-

saniu tego, co widzą. Można by sądzić, że wszystkie opisy będą do siebie dość podobne, jeśli nie identyczne. Nic bardziej błędnego. Różniły się od siebie w istotny sposób. Pierwszą z przyczyn było to, że dany element rzeczywistości – w tym przypadku opisywaną osobę na tle sali wykładowej – przypisać można do wielu różnych referentów. Siedzący przed audytorium słuchacz określany był więc jako „student”, „chłopiec”, „młody mężczyzna” (tu często rozlegał się śmiech studentek), „kolega”, „Maciek” itp. Mebel, na którym siedział, nazywany był „stołem”, „biurkiem”, „katedrą”. To samo dotyczyło innych elementów wyposażenia sali – stojący w kącie rachityczny kwiatek był „rośliną”, „kwiatem”, „badylem”, umywalka okazywała się „zlewem”. Zróżnicowane były także opisy wyglądu i stroju osoby, kolor oczu, swetra itp. Drugą ważną przyczyną rozbieżności była wybiórczość opisu. Nie wszyscy zauważali umywalkę i wiszącą na niej szmatę, opisy ubrania i zachowania się osoby różniły się dokładnością. Niektórzy pomijali tablicę, inni godło, byli tacy, co „nie popuścili” gąbce i umieszczali ją w opisie.

Mimo wspomnianych różnic każdy z opisów mógł wywołać u potencjalnego czytelnika, niewidzącego opisywanej rzeczywistości, bardzo podobne wyobrażenia. Dzieje się tak dlatego, że – jak już wspomniano – język jedynie zarysowuje, sygnalizuje pewne elementy rzeczywistości pozajęzykowej, a odbiorca wypełnia je własną treścią. Tak samo rzecz się ma, jeśli porównamy dwa dowolne języki. Każdy z nich zbliżał się będzie do opisywanej rzeczywistości w nieco inny sposób. Ale nasze doświadczenie umożliwi uzupełnienie luk. Porównajmy dwa zamieszczone poniżej rysunki:



Oba rysunki bez wątpienia przedstawiaj domki, cho w gruncie rzeczy s niekompletne, wrywkowe (► **ENTYMATYCZNO TEKSTU**). Nie zakca to jednak procesu percepcji. I wownie dlatego moliwy jest rwnie przekad z jzyka na jzyk, mimo istniejcych rznic. Rzeczywisto, dowiadczenie, sytuacja (swego rodzaju *tertium*) pozwalaj zazwyczaj na uzupenienie luk i brakujcych informacji. Dla tumacza jest to konstatacja niezwykle pocieszajca.

znaczenia...

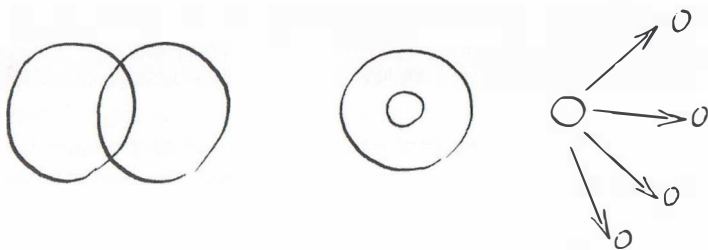
Znaczenia referencyjne a proces przekadu

Wszystko, co dotychczas powiedzielimy na temat znacze typu referencyjnego, w sposób oczywisty wpywa na proces przekadu. Z faktu, e rzne jzyki w rzny sposób opisuj i segmentuj rzeczywisto, wynika dla procesu tumaczenia szereg problemw praktycznych. Bardzo szybko okazuje si, e referenty znakw w rznych jzykach zazwyczaj nie odpowiadaj sobie w stu procentach. Owszem, *Glas* to szko, ale take soik, szklanka i kieliszek, *Kirsche* to winia albo czerenia, „palec” to *Finger* albo *Zeh*, nie mwic ju o *wol* i *nor*. W dziedzinie pojec abstrakcyjnych jest jeszcze gorzej. *Macht* to po polsku moc, ale te mocarstwo i wadza, jednak nie we wszystkich kontekstach. Moc w sensie fizycznym i technicznym to *Leistung*, ale czasem take *Kraft* lub *Strke*, Monteskiuszowski za podzia wadzy to *Gewaltenteilung*. Jeeli otworzymy dowolny sownik, na przykad angielsko-polski Jana Stanisawskiego, okae si, e sowo *power* ma wiele odpowiednikw:

power l. s 1. moc; monoc; moliwoci; (...) 2. sia; energia; (*u czowieka*) siy; (...) 3. *pl*-s zdolnoci 4. *fiz chem* zdolnoc <wasnoc> (promieniowania, czenia

się itd.) 5. władza (...) 6. (...) pełnomocnictwo; upoważnienie; moc prawna 7. *polit* mocarstwo; potęga (lotnicza, morska itd.); (...) 8. *pl* -s uprawnienia 9. *pl* -s moce (niebieskie, piekielne) 10. *mat* potęga; wykładnik potęgi <potęgowy> 11. *sl* kupa <moc, mnóstwo> (...) II. *vt* dostarcz-yc/ać energii elektrycznej (...)

Okazuje się więc, że pola znaczeniowe leksemów w różnych językach zachodzą na siebie, tworzą układy, sieci znaczeniowe, charakterystyczne tylko dla danego systemu. Schematycznie można to zjawisko przedstawić następująco:



Tłumacząc, musimy bardzo często wybierać spośród wielu możliwych odpowiedników (ekwiwalentów), zwłaszcza w sytuacji, gdy język docelowy, tzn. ten, na który tłumaczymy, opisuje rzeczywistość dokładniej niż język oryginału. Przypomnijmy sobie przykład ze szkłem. Mamy przetłumaczyć niemieckie zdanie *Sie hielt ein Glas in der Hand*. Trzymała w ręku... co, no właśnie, co? Szklanekę? Kieliszek? Słoik? Tłumacząc, musimy uściślić, **skonkretyzować** nasz opis, takiej precyzji wymaga od nas bowiem język docelowy. Wskazówek dotyczących takich konkretyzacji dostarcza nam zwykle kontekst. Jeżeli – w danym tekście – matka przynosi z piwnicy ogórki, był to zapewne słoik, jeżeli pito wodę mineralną, będzie to szklanka, jeśli płynem był alkohol – zapewne kieliszek. Cóż jednak począć, gdy tekst nie dostarcza **żadnej** informacji na temat wspomnianego szklanego naczynia? To trudne pytanie, wynikające z faktu, że język polski **musi** sprecyzować różnicę pomiędzy kielisz-

kiem, stoikiem, szklanką i tylko z wielkim trudem da się uniknąć tego rozróżnienia, używając właśnie – jak wyżej – określenia „szklane naczynie”. Brzmi to jednak nieco nienaturalnie.

Dotykamy tu do bardzo istotnego zjawiska, na które Roman JAKOBSON zwrócił uwagę w swoim eseju *On Linguistic Aspects of Translation*. Otóż, języki różnią się między sobą nie tym, co mogą wyrazić (bo mogą w zasadzie wyrazić wszystko – patrz niżej), ale właśnie tym, co **muszą** wyrazić. System danego języka zmusza często użytkownika do podania pewnych informacji. W przykładzie dotyczącym szkła był to przymus konkretyzacji. Zasada taka dotyczy jednak również innych informacji. Po angielsku i niemiecku osoba płci żeńskiej może powiedzieć *I was at the cinema*, *Ich war im Kino*, nie zdradzając faktu, że jest dziewczyną czy kobietą. Po polsku musi powiedzieć: **„Byłam w kinie”**. Nie jest to – wbrew pozorom – zagadnienie nieistotne. Wyobraźmy sobie powieść kryminalną, napisaną po niemiecku lub angielsku, w której sprawa płci przestępcy jest niezwykle ważna dla rozwiązania zagadki. Sprawca pisze listy w pierwszej osobie, w czasie przeszłym, nie wynika z nich jednak, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Tłumacz będzie miał nielichy orzech do zgryzienia, chcąc przetłumaczyć owe listy na język polski, nie zdradzając równocześnie płci ich autora. Podobnie rzecz się ma z niektórymi sonetami Szekspira, w których płeć opiewanej osoby nie jest jednoznaczna. Inny przykład: język polski w wielu sytuacjach niejako automatycznie różnicuje przedmioty zależnie od ich wielkości. Obok wielkości standardowej, np. **książki**, istnieje również **książeczka** i **księżga**. A więc książeczka czekowa, oszczędnościowa, mieszkaniowa (są to małe przedmioty), ale księżga pamiątkowa, księżga gości (w tych przypadkach chodzi nie tylko o wielkość, ale i wagę, znaczenie danego przedmiotu). Automatycznie jednak o oknie od piwnicy czy strychu powiemy **okienko**, o niewielkim zaś szyldzie z nazwiskiem i godzinami przyjęć lekarza – **tabliczka**. Odpowiedniki niemieckie na przykład tych wielkościowych sugestii nie zawierają – a więc *Sparbuch*, *Gästebuch*, *Kellerfenster*, *Informationstafel*. Tłumacząc z niemieckiego na polski, trzeba więc uważać, czy przypadkiem nie należy zdróbnić *Tafel* (tablica) na „tabliczka”. Stwierdziliśmy więc, że tłumacząc na dany język, niejednokrotnie zmuszeni jesteśmy do podania pewnych informacji, dokonania uściśleń (konkretyzacji) itp. Spójrz-

my jednak w odwrotnym kierunku. Синий i голубой przetłumaczmy jako niebieski, zarówno wiśnię, jak i czereśnię jako *Kirsche*, słoik, szklankę i kieliszek jako *Glas*. Dokonamy w ten sposób **GENERALIZACJI** (a więc procesu odwrotnego do **KONKRETYZACJI**), używając określenia odnoszącego się do szerszego referentu. Inne przykłady generalizacji (uogólnienia) to następujące substytucje – wróbel = ptak, krzesło = mebel, itp.

Nie znaczy to jednak, że język, który nie **musi** wyrażać różnicy pomiędzy słoikiem, szklanką i kieliszkiem, tej różnicy wyrazić nie może. Wręcz przeciwnie. Języki naturalne mogą wyrazić wszystko lub prawie wszystko. Na temat tego **prawie** toczy się zadawniony spór między literatami, filozofami języka, językoznawcami i tłumaczami. Skrajny punkt widzenia reprezentują WITTGENSTEIN („Granice mojego języka są granicami mojego świata”) oraz SAPIR i WHORF. Bez wątpienia języki wyrazić mogą bardzo wiele, aczkolwiek w **różny sposób**. Kilkanaście rodzajów śniegu rozróżnianych przez Eskimosów można opisać w każdym dowolnym języku, również po polsku. Polszczyzna nie dysponuje jednak gotowymi leksemami, w opisie uciec się więc musimy do definicji, porównań, a nawet metafor, np. „śnieg zbity”, „z granulkami lodu”, „śnieg ciężki i mokry”, „śnieg lekki”, „świeżo nawiany”, „śnieg jak puch”, „niebieskawcy”, „żółtawy”, „podbiegnięty wodą” itp. Założenie, że w naszym myśleniu, postrzeganiu świata jesteśmy więźniami języka, którego używamy, jest – moim zdaniem – zbyt daleko posunięte. Gdyby tak było rzeczywistość, odkrywanie i opisywanie nowych rzeczywistości byłoby niemożliwe. JAKOBSON pisze we wspomnianym eseju, co następuje:

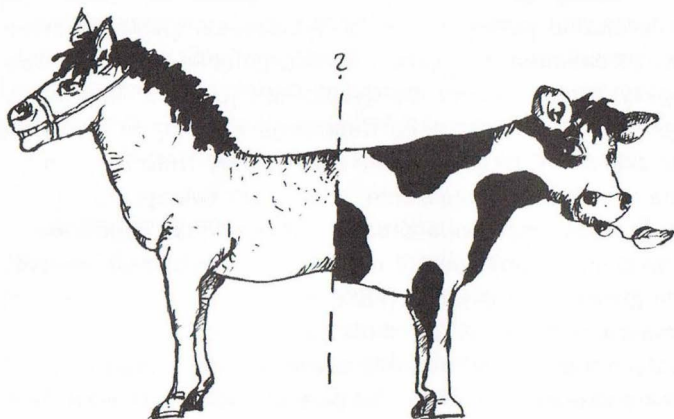
Wszelkie doświadczenia percepcyjne oraz ich klasyfikacje można wyrazić w istniejącym języku. Jeżeli język jest ubogi, terminologię można wyjaśniać i uzupełniać słowami lub wyrażeniami zapożyczonymi, neologizmami, zwrotami semantycznymi lub w ostateczności omówieniem. W nowo powstałym literackim języku północnosyberyjskich Czukczów „śruba” określona jest jako „obracający się gwóźdź”, stal jako „twarde żelazo”, puszką jako „cienkie żelazo”, kreda – „piszące mydło”, zegarek – „bijące serce”. Nawet pozornie tak sprzeczne omówienia, jak „elektryczny wóz konny” czy „latający parostatek” (*Jena paragot* – nazwa samolotu

w języku Koriaków), oznaczają po prostu elektryczny odpowiednik wozu konnego i latający odpowiednik statku, co w niczym nie utrudnia porozumiewania się, podobnie jak nie ma żadnego semantycznego „zgrzytu” w podwójnym oksymoronie: *cold beef-and-pork hot-dog*. (JAKOBSON 1975:111 n.)

Rzeczywiście, na co dzień nie dostrzegamy takich zgrzytów semantycznych, zapominamy bowiem o etymologii różnych nazw i o sposobie, w jaki zostały utworzone. **Kostka do gry** nazwana została po polsku kostką, ponieważ te najdawniejsze kostki sporządzano z kości. O określeniu nowego przedmiotu zadecydował materiał, z którego został wykonany. Po niemiecku natomiast kostka to *Würfel* – do określenia przedmiotu wykorzystano fakt, że podczas gry kostkami się rzuca (*werfen*). O tym pochodzeniu słowa nie pamiętamy, tworząc połączenia typu „plastikowa kostka”, „kostka cukru”, „kostka mydła” czy „kostka brukowa”. Szczęśliwa forma kostki okazała się w pewnym sensie dominująca, usuwając w cień inne aspekty. Innym interesującym przykładem jest **gąbka**. Któż z nas nie słyszał porzekadła: „Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki”? Słyszając taką sentencję, dziecko pyta, dlaczego gołębie mają lecieć do gąbki? Dla dziecka gąbka jest wyłącznie gąbką do mycia. Tymczasem gąbka to *deminutivum*, zdrobnienie od „gęby”, a więc gołąbki same nie wpadną do gęby/gąbki – należy się wysilić, aby je zjeść. Taki jest sens przysłowia. Ale co ma gęba wspólnego z gąbką do mycia, pomijając zalecenie, że gębę gąbką myć należy? *Nota bene* za absurdalne uznalibyśmy połączenie „myć twarz twarzyczką”. O pochodzeniu określenia gąbka zapomnieliśmy jednak całkowicie i taki zgrzyt semantyczny nas nie razi. A oto i wyjaśnienie. Kiedyś używano gąbek naturalnych, wykorzystując elastyczny szkielet stworzenia żyjącego w morzu i składającego się z kolonii osobników, z których każdy miał niewielki otwór gębowy. I stąd gąbka. Niemieckie określenie gąbki – *Schwamm* – wzięło się stąd, że kolonie gąbek pływają (*schwimmen*) w morskiej wodzie. Podobnie jak forma kostki, tak i natura gąbki uwolniła się od swego pierwowzoru. Istotna jest konsystencja, stąd przymiotnik „gąbczasty”, odnoszący się do wszelkich przedmiotów o miękkiej, sprężystej

konsystencji. Austriacy i Bawarczycy nazywają grzyby *Schwam-merl*, ze względu na ich gąbczastość. A więc rozważania nad językiem przeniosły nas z głębin oceanu do lasu, chociaż wcale nie musieliśmy tego zauważyć. Podobne przykłady można dowolnie mnożyć. Polskie określenie **żarówka** odwołuje się do jej konstrukcji (w środku żarzy się drucik), niemieckie również do gruszkowatej formy *Glühbirne*. Obecnie po niemiecku każdą żarówkę określić można skrótowo jako *Birne*, choćby z gruszkowatą formą nie miała nic wspólnego.

Na zakończenie serii przykładów specyficzny zgrzyt semantyczny zasłyszany przez autora w sklepie spożywczym. Klient, wskazujący swym wyglądem na zamiłowanie do napojów wysokowych, zażądał lakonicznie od ekspedientki: „**Poproszę krowę konika!**” Krowa konika? Cóż to za monopolowy centaur? Okazuje się jednak, że w pewnych środowiskach (► **WSPÓLNOTA KOMUNIKACYJNA**) „krowa” oznacza butelkę wódki o pojemności 0,75 litra. „Konik” natomiast to środowiskowe określenie wódki Krakus, której etykieta przedstawia krakusa na koniu. Tak więc „krowa konika” jest połączeniem najzupełniej logicznym.



Opisując rzeczywistość, posługujemy się – niczym poeci – metaforami, przenosząc cechy (metafora to nic innego, jak przeniesienie cech lub właściwości) z jednego określenia na inne (krowa

sugeruje wielkość). Na co dzień nie spostrzegamy jednak tej własnej poetyckiej działalności. Wydaje nam się oczywiste, że stół ma **nozę**, butelka **szyjkę**, a walizka **rączkę**. W kiosku prosimy o baterijki określane jako **paluszki**. Jak widać, nasze postrzeganie świata jest w dużej mierze antropomorficzne, odnoszące często segmentację rzeczywistości do ludzkiego ciała, jego ruchów czy wyprostowanej postawy. Czas **biegnie**, to, co **wysokie**, jest pozytywne, to, co **upadło** – negatywne (por. „niskie pobudki”, „upadek moralny”). Wzrost, postęp, w ogóle wertykalność jest pozytywna – „wznosić się”, „wysokie loty”, „wysoki stopień naukowy”, „wysokie odznaczenie”, „żyć na wysokiej stopie”. Z drugiej strony „upadek”, „dekadencja”, „spadek akcji”, „obniżenie koniunktury”, „dołowanie” itp. są to zjawiska wspólne dla wielu języków; w pewnym sensie mogą być postrzegane jako > **UNIwersalia**.

Z tej różnorodnej mozaiki odniesień wynika dla procesu przekładu szereg konsekwencji. Metaforyczna konkretność określonych porównań, niewyczuwalna w jednym języku, może się podczas procesu przekładu niespodziewanie **uaktywnić** w innym. Sformułowanie „żarówka gruszkowatego kształtu” jest po polsku dopuszczalne. Gdybyśmy jednak przetłumaczyli to na niemiecki jako *birnenförmige Glühbirne*, powstanie bezsens, bo niemieckie określenie żarówki zawiera tak czy owak odniesienie do formy. Używając słów, takich jak „sklep” czy „piwnica”, nie myślimy o tym, że sklep etymologicznie powiązany jest ze sklepieniem, a piwnica z piwem. Niemieckie zdania *Er hatte Bier im Keller* albo *Das Gewölbe des Geschäfts war schön* nabierają po przetłumaczeniu na polski zupełnie niespodziewanie charakteru żartu językowego – „Miał piwo w piwnicy” czy też „Sklepienie sklepu było piękne” (> **Znaczenie intralingwalne**). Na zakończenie tych rozważań powróćmy do wspomnianej już tzw. hipotezy **SAPIRA** i **WHORFA**. Nie sposób omówić tutaj całej koncepcji obu autorów i powstałej wokół niej polemiki – czytelnika odsyłam do wymienionych w bibliografii opublikowanych po polsku tekstów. W dużym uproszczeniu chodzi o to, jak dalece **język mówi nam**, jak bardzo nieuświadomione przez użytkownika prawidłowości jego systemu wpływają na zachowania, reakcje społeczne, sposób postrzegania świata. W odleglejszej perspektywie mają determinować także myślenie. Jest to zadawiony spór, w pewnym sensie spór

o słowa. Jeżeli myślenie zdefiniujemy jako myślenie werbalne, formułowanie wypowiedzi w myśli, to rzeczywiście istnieją tu pewne ograniczenia. Jeśli jednak myślenie pojmować będziemy jako dynamiczny kompleks procesów zachodzących w świadomości i podświadomości, to oprócz myślenia czysto językowego pojawią się obrazy i odczucia niewątpliwie w naszej *psyche* istniejące, ale językowo trudne (choć nie niemożliwe do opisanie). Wewnętrzna, psychiczna rzeczywistość człowieka jest o wiele bogatsza niż język, którym mówi. Być może istnieją tu jednak indywidualne różnice pomiędzy ludźmi, polegające na tym, że na przykład tzw. słuchowcy w swoim sposobie myślenia kierują się raczej wyobrażeniami akustycznymi (słowami), inni natomiast (wzrokowcy) myślą obrazami. Jak słusznie zauważa ZIMMER (1986:119n.), przed uznaniem hipotezy, że język w sposób istotny determinuje nas i nasze postrzeganie świata, bronią się przede wszystkim tłumacze i pisarze. Ci ostatni dążą często do wyrażenia tego, co **odczuwalne** i intuicyjnie **wyobrażalne**, a jednak nieistniejące w danym języku w postaci gotowych kategorii. Podobnie tłumacze, zdomowieni w dwóch lub nawet kilku językach i kulturach, dostrzegają fakt, że język nie może determinować użytkownika w sposób ostateczny, że aby wyrazić (już uświadomione!) treści przejęte z języka oryginału, trzeba często w języku docelowym przełamać pewne konwencje i „otworzyć” nowe światy. Odbiorcy taki zabieg na ogół dobrze rozumieją. WHORF, badający język Indian Hopi, pod wieloma względami bardzo różny od języków indoeuropejskich, przyjął milcząco założenie, że to, co nie istnieje w języku, nie istnieje także w świadomości jego użytkowników. Wysunął tezę, że obraz świata Indian Hopi, także w zakresie takich podstawowych wyobrażeń, jak czas i przestrzeń, różni się znacznie od istniejących np. w angielskim czy niemieckim kręgu kulturowym. Jest to mimo wszystkich argumentów wysuwanych przez zwolenników teorii – przynajmniej moim zdaniem – twierdzenie zbyt radykalne. Zdecydowanie przychyliam się do poglądu JAKOBSONA, że wszelkie doświadczenia percepcyjne są w każdym języku zasadniczo wyrażalne, aczkolwiek na **wiele różnych sposobów**. Ten właśnie fakt umożliwia przekraczanie granic i kultur, którego motorem i sprawcą jest tłumaczenie. *Nota bene*, polskie słowo „tłumacz” sugeruje istotną prawdę, że proces przekładu polega nie tylko na odnajdywaniu ekwiwalentów w języku

(docelowym (których czasem może w ogóle nie być ➤ **BRAK EKWIWALENTU**), ale także na wytłumaczeniu, opisaniu istoty zjawiska. Inaczej byłibyśmy więźniami języków. Tak jednak nie jest. Wystarczy spojrzeć na **proces chrystianizacji**, który wymagał **transferu kulturowego**, opartego w przeważającej mierze na tłumaczeniu, chrześcijaństwo jest bowiem religią Słowa. U chrystianizowanych ludów (Germanów i Słowian, a więc nie tylko – znacznie później – u Eskimosów) brakowało nie tylko pojęć związanych z nową religią, ale także językowych określeń. Dla *purgatorium* stworzono termin „czyściec”, dla *conscientia* (a więc współ-wiedza o własnych występkach) – termin „sumienie”, który w rzeczywistości jest analogiczną zbitką – „s-umienie”, gdzie „s”(z) odpowiada „con”, „umienie” zaś wiedzy, ym to zresztą po rosyjsku rozum, co – nawiasem mówiąc – wskazuje na etymologię słowa „umieć”.

Dochodzimy tu do bardzo istotnego zagadnienia, które określić można jako **BRAK EKWIWALENTU**. Zjawisko to jest tak stare, jak kontakty kultur i cywilizacji, jak zderzenie z Nowym i Nieznany, i konieczność opisanie tych zjawisk we własnym języku, w którym brakuje gotowych odpowiedników. Większość tego typu przypadków dotyczyła w przeszłości tzw. **REALIÓW**, to znaczy zjawisk typowych dla danej kultury, subkultury czy kultury regionalnej. Są to zazwyczaj potrawy, stroje, określenia zachowań, instytucji i urządzeń, funkcjonujące w danej społeczności czy wspólnocie komunikacyjnej. A więc na przykład „bigos”, „sejm”, „barszcz”, „ciupałga”, „pierogi”, „kierpce”, „oscypek”, „wycug”, „gołąbki”, „uszka”, „kutia”, „siermięga”, „parapetowa”, „osiemnastka”, „parzenica”, ale także „Kortezy”, „garota”, *paella*, *whisky*, „tartan”, *Bundestag*, *Lord Privy Seal*, *the Garter* itp.

Rozwój techniki i cywilizacji sprawił, że z niespotykaną dotychczas intensywnością pojawiać się zaczęły innowacje techniczne i produkty, na które większość języków nie ma zazwyczaj gotowego ekwiwalentu. Wystarczy przyrzeć się takiej dziedzinie, jak komputeryzacja, aby przekonać się, jak bardzo poszerzył się w ostatnich latach zasób słownictwa dotyczący tej branży. Polecenie: „Przejeżdż kursorem myszy na ikonę pliku na pasku narzędzi i kliknij dwa razy” byłoby kilkanaście lat temu zupełnie niezrozumiałe, tak samo, jak żartobliwa uwaga pewnego młodzieńca: „Laska mnie zdilitowała”,

co oczywiście oznacza, że porzuciła go dziewczyna. Nawiasem mówiąc, program komputerowy pochodzący z roku 1997, za pomocą którego piszę niniejszy tekst, podkreślił jako błędne słówko „kliknij”. W międzyczasie (też już poprawnie!) klikanie weszło na stałe do słownika osób pracujących z komputerem. Widać więc, jak szybko zmieniają się języki.

Z punktu widzenia tłumacza istotne jest utrudnienie polegające na tym, że w tekście oryginału pojawia się element niemający odpowiednika (**BRAK EKWIWALENTU**) w języku docelowym. Jest to problem tak stary, jak sam proces przekładu. Istnieje kilka sposobów jego przezwyciężenia. Pierwszym jest **ZAPOŻYCZENIE** (wydawałoby się najprostsze rozwiązanie). Polega na tym, że przejmujemy słowa, zwroty czy wyrażenia zawarte w oryginale do tłumaczonego tekstu, ewentualnie wyjaśniając je w nawiasie. Tłumacz może tak postąpić, jeśli wie na pewno (lub niemal na pewno), że w języku docelowym nie ma odpowiedników, a odbiorcy tłumaczenia nigdy się z danym leksemem nie zetknęli. Jeżeli w języku Indian X słowo *lobo* oznacza „fajkę o dwóch ustnikach i jednym cybuchu, wypalaną przez przyjaciół w rytualnym akcie o wschodzie słońca”, tłumaczowi nie pozostaje nic innego, jak przejść słowo *lobo* do tłumaczonego tekstu i podać wyjaśnienie. Element często przytaczany, pojawiający się w wielu tłumaczonych tekstach, powoli przenika do języka docelowego. Jeśli zatem Indianie X i ich zwyczaje staną się modni, *lobo* zaistnieje w języku docelowym jako słowo i jako pojęcie. Do języka docelowego przenikają również wszelkie obce określenia nowinek technicznych, społecznych, politycznych i obyczajowych (moda, sport, kulinaria). Ostatnio – zwłaszcza po 1989 roku – proces ów uległ nasileniu, przynosząc zalew terminów i określeń, przede wszystkim ze sfery anglosaskiej. „Leasing”, „serwer”, „kursor”, „marketing” to tylko nieliczne przykłady. Puryści protestują, twierdząc, że istnieją polskie odpowiedniki. Ale leasing to nie całkiem to samo, co dzierżawa.

Myli się jednak ten, kto uważa, że zalew zapożyczeń to cecha charakterystyczna ostatnich dziesięcioleci. Jest to zjawisko – jak wspomniano – o wiele starsze. Zmieniały się jednak języki i kierunki, z których zapożyczenia napływały. Polszczyzna przejęła w związku z procesem chrystianizacji wiele słów łacińskich, które dzisiaj wydają się rdzenie polskie. Z łaciny pochodzi na przykład kościół (*castellum*) i pa-

cierz (*pater noster*). Czas na małą dygresję. Ponieważ „pacierze” od-
mawia się często „na różańcu”, jego peretki określa się mianem pa-
ciorków (zdrobienie od „pacierz”). Określenie „paciorek” z czasem
się usamodzielniało, mamy więc szklane paciorki. Gdyby sięgnąć do
etymologii, byłyby to szklane pacierzyki.

Następnym językiem zasilającym w sposób istotny polszczyznę
w „nową krew leksykalną” był niemiecki. W średniowieczu przejęliśmy
z tego języka dość spory zasób słownictwa związanego z rzemiosłem,
handlem, organizacją miast („zegar”, „ratusz”, „burmistrz”, „rynek”).
W renesansie uaktywnił się włoski, w okresie baroku łacina (sarmatyzm),
w dobie zaś dominacji kultury francuskiej – język tejże. Jeszcze
do II wojny światowej język francuski był w Polsce najpopularniejszy
wśród warstw wykształconych, jedynie sfery przemysłowe i naukowe
posługiwały się powszechniej niemieckim, angielski zaś uchodził za
coś w rodzaju arystokratycznego snobizmu. Triumfalny pochód angiel-
szczyzny to kilka ostatnich dziesięcioleci. Angielski zwycięża w tym współ-
zawodnictwie języków z dwóch powodów. Po pierwsze, świat anglosa-
ski dominuje obecnie w polityce i ekonomii, co niemal zawsze pocią-
ga za sobą dominację w sferze języka. Po drugie, angielski jest języ-
kiem analitycznym i początki nauki są stosunkowo łatwe.

Dla ilustracji podam jeszcze kilka przykładów zapożyczeń –
„mecz”, „dżem”, „sweter”, „dżokej”, „tużurek”, „żyrafa”, „kawaler”,
„plener”, „żongler”, „pomidor” (*pomme d'or*), „żyłotka”, „gilotyna”
(ta ostatnia wbrew tradycji niebędąca wynalazkiem pana Guillotina...)
Wszystkie te przykłady ilustrują zjawisko zwane **TRANSKRYPCJĄ**.
Nie jest to dokładna transkrypcja w sensie filologicznym – taka, jaką
spotykamy w słownikach. To raczej przybliżenie, uproszczenie pisowni
w taki sposób, aby zbliżyła się do reguł (fonetycznych i ortograficz-
nych) języka, który przyjmuje nowy element. Nie jest to wyłącznie
specjalność polska. Niemiecki również dopuszcza takie zasymilowa-
nie, np. *Frisör* zamiast *Friseur*. Język polski jest jednak pod tym
względem bardzo radykalny i toleruje nawet transkrypcję nazwisk.
Piszemy więc po polsku Wolter, Szekspir, Molier i Szopen, co z per-
spektywy zewnętrznej może nawet razić, nazwy własne zostały bo-
wiem w ramach tego samego alfabetu łacińskiego zmienione nie do
poznania. Usprawiedliwieniem takiej tendencji jest jednak fakt, że
polski jest językiem fleksyjnym i nazwiska obce podlegają odmianie.

Zachowanie oryginalnej pisowni bardzo utrudniłoby zapis – prościej zapisać „o Szekspirze” niż „o..., no właśnie, jak – „...o Shakespearze»rze”? Prawda, że wygląda makabrycznie? Od obcych nazwisk tworzy się też przymiotniki – szekspirowski, molierowski, szopenowski. Są to jednak nazwiska powszechnie znane. Co jednak zrobić, gdy np. w tłumaczonym artykule prasowym lub powieści występują nazwiska trudno poddające się odmianie i aż proszące się o transkrypcję czy dodanie końcówki fleksyjnej? No cóż, czasem trzeba będzie napisać „o Boulangerze”, „o Smithcie”, „ze Smithem”, „z Meyerem”. Sprawa komplikuje się jednak w przypadku oficjalnych dokumentów, w których pisownia nazwisk nie powinna ulegać żadnym zmianom. No cóż, trzeba się „gramatycznie pogimnastykować” i używać takich sformułowań, które nie wymagają odmiany, np. zamiast „o Boulangerze” – „o panu Boulanger”. Zdarzało się też, iż wchodzące na polski rynek firmy zagraniczne żądały, aby w reklamach podawać ich nazwy w formie nieodmiennej, nawet za cenę pogwałcenia reguł gramatycznych języka polskiego. A więc np. zamiast „lato z ALEXANDREM” – „lato z ALEXANDER” (przykład fikcyjny). Dopiero po wytłumaczeniu, że taka reklama byłaby raczej antyreklamą, zrezygnowano z pomysłu.

Inne problemy wiążą się z tłumaczeniem przebiegającym pomiędzy parą języków posługujących się dwoma różnymi alfabetami. W tym przypadku obok TRANSKRYPCJI stosowana bywa również **TRANSLITERACJA**. Najprostszym przykładem są tu tłumaczenia z udziałem języka rosyjskiego. Transliteracja polega na zastąpieniu konkretnego znaku (grafu lub grafemu) jednego alfabetu zawsze tym samym znakiem (grafem, grafemem) innego alfabetu, i to – w odróżnieniu od transkrypcji – niezależnie od wymowy. Dlatego Hitler to w rosyjskim zapisie Гитлер, Heine to Гейне. W rosyjskim używana bywa także transkrypcja – angielski filozof Hume to Юм. Transliteracja jest o tyle precyzyjniejsza od transkrypcji, że po wykonaniu odwrotnej operacji zawsze wiadomo, o kogo chodzi. Tymczasem dokonując transkrypcji nazwisk niemieckich, takich jak Mayer, Meyer, Maier, Meier, otrzymamy zawsze tę samą wartość fonetyczną – Маиер. Tłumacząc taki tekst z rosyjskiego, nie zawsze wiemy, kto za tym „Majerem” stoi. Transkrypcja (często pomieszana z transliteracją) bywa w języku rosyjskim używana nie tylko

w stosunku do nazwisk, ale także nazw własnych oraz przejętych z języków obcych wyrażań i zwrotów, a więc Шнигель, Штерн, ноу-хау (*know how*) (BARCHUDAROW 1979:103). Autorowi zdarzyło się nawet w jednym z krajów byłego ZSRR zaobserwować specyficzną gratkę transkrypcyjną – na zakurczonym boku autobusu czyjaś ręka napisała jednoznacznie факю. Transkrypcję (często pomieszaną z transliteracją) dotyczącą również wielu innych języków, także egzotycznych, dostrzec możemy w doniesieniach prasowych. Nie zawsze zastosowane rozwiązania są jednoznaczne. A więc Pekin czy Bijing albo Beijing, Remnin Ribao czy Żemnin Żypao, Mao Tse Tung czy Mao Ze Dong, Czou czy Zhou? Ściera się tu tradycyjna transkrypcja stosowana dawniej w Polsce i nowsza, popierana przez Chiny. Czytając prasę międzynarodową, konstatujemy, że ci sami politycy rosyjscy, bułgarscy, bliskowschodni czy chińscy, a więc tacy, których nazwiska wymagają transkrypcji bądź transliteracji, funkcjonują w różnych językach posługujących się alfabetem łacińskim pod różnymi „maskami transliteracyjno-transkrypcyjnymi”. Istnieją więc Husajn i Hussein, Shiwkow i Żiwkow, Chruszczow, Chruschtschow i Khrushchev..., Gorbaczow, Gorbatschow i Gorbačev, Jelzin, Jelcyn i Yeltsin..., Jurij Łużkow i Yuri Luzhkov.

Drugą po ZAPOŻYCZENIU metodą pozwalającą na uzupełnienie brakującej leksyki jest tzw. **KALKA JĘZYKOWA**. Metoda ta polega na możliwie dokładnym (stąd określenie kalka) przetłumaczeniu czy odwzorowaniu obcojęzycznego słowa, zwrotu lub wyrażenia w języku ojczystym, często nawet na poziomie morfemów (➤ **POZIOMY EKWIWALENCJI**). Taką kalką jest np. „światopogląd” (*Weltanschauung*), ale także bardzo swojsko brzmiący „samochód” – tłumaczenie określenia „automobil”, czyli czegoś, co samo (auto) się porusza (jest mobilne). W początkowym okresie motoryzacji proponowano również inne rozwiązania, takie jak „samojazd” i „samopęd”. Przykładem neosemantyzacji (nadania nowego znaczenia istniejącemu słowu) jest natomiast określenie „wóz” w odniesieniu do auta. Podobnie stało się w przypadku komputerowej myszy.

Innym sposobem uzupełnienia brakującego ekwiwalentu jest zabieg, który można określić mianem **TŁUMACZENIA WYJAŚNIAJĄCEGO**. *Type-writer* to maszyna do pisania, *Fleischwolf* to maszynka do mielenia mięsa, bigos to *Sauerkraut*, *gemischt mit Fleisch und*

Wurst. Tłumaczenie wyjaśniające korzysta z wielokrotnie podkreślonego faktu, że w zasadzie każdy język może opisać nową rzeczywistość. Przytoczone powyżej **REALIA** można wyjaśnić, dokonując na ogół generalizującego (uogólniającego) opisu, np. „ciupaga” – laska z rękojeścią w formie brzeszczotu siekiery, typowy element folkloru Tatr, „barszcz” – zupa z czerwonych buraków, „sejm” – izba niższa polskiego parlamentu, „osiemnastka” – uroczystość z okazji uzyskania pełnoletności, „parapetówka” – przyjęcie zorganizowane z okazji wprowadzenia się do nowego mieszkania.

Inną metodą jest znalezienie **ANALOGONU** – analogicznego, choć nie identycznego, elementu rzeczywistości występującego na obszarze języka docelowego. Takim analogicznym (choć nie identycznym) odpowiednikiem pierogów są *Maultaschen*, którymi można delectować się w Szwabii. Bardzo często na określenie zjawiska pozbawionego ekwiwalentu wykreowane zostaje nowe słowo, inaczej mówiąc – **NEOLOGIZM**. W ten właśnie sposób dokonano spolszczenia *aerodromu* na lotnisko. Słowo *train*, w znaczeniu ogona u sukni, zostało w polszczyźnie poddane transkrypcji jako „tren”. Gdy jednak pojawiła się kolej i *train* zyskał nowe znaczenie, stworzono odpowiednik „pociąg”. *Nota bene*, „tren” również ciągnie się po ziemi. Czesi ten sam element ciągnięcia czy wleczenia zilustrowali słowem *vlak*. Niemieckie słowo *Zug* również odnosi się do ciągnięcia. W innym kierunku poszli Rosjanie, akcentując aspekt jazdy – поезд.

Dla podkreślenia narodowej odrębności wiele nacji próbowało zastąpić zapożyczenia i internacjonalizmy określeniami pochodzącymi z własnego języka. Już w pierwszej połowie XVII wieku powstały w Niemczech towarzystwa zajmujące się pielęgnacją literatury i języka, m.in. Towarzystwo Owocodajne (*Fruchtbringende Gesellschaft*), które propagowały zastąpienie wyrazów obcego pochodzenia rodzimymi neologizmami. Propozycje szły tak daleko, że zamiast nosa (*die Nase*), pochodzącego z łaciny (*nasum*), utworzono dziwoląg – *Gesichtserker*, czyli „wykusz twarzy”. Niemal tyle samo fantazji wykazali polscy „czyściciele języka”. Ośławione „cichostępy” zamiast pantofli, „krytnia” zamiast dachu... Niektóre z tych propozycji nawet się przyjęły (choć nie we wszystkich środowiskach), np. „podomka” lub „porannik” zamiast szlafroka, „cedzak” zamiast

dlurszlaka, „strug” zamiast hebla. Szczególnie radykalni okazali się Czesi, którzy nawet słowo „teatr” zastąpili określeniem *divadlo* (polskim odpowiednikiem byłaby „patrzalnia” lub „patrzydło”). Narodowi socjaliści zgermanizowali *Telephon* na bardziej swojsko brzmiący *Fernsprecher*. Gdybyśmy poszli tym samym tropem, telefon nazywałby się po polsku „dalekomównik”.

Tłumacz rzadko ma okazję tworzenia takich neologizmów, czasem jednak zmusza go do tego konkretna sytuacja. W danym tekście czy rozmowie funkcjonują one w charakterze okazjonalnych tworów, tzw. ➤ **OKAZJONALIZMÓW**, jednorazowych określeń czy tworów językowych.

Reasumując, mimo znacznych niekiedy różnic w zakresie znaczeń referencyjnych pomiędzy różnymi językami, większość przekazywanych w komunikatach językowych treści można wyrazić w dowolnym języku. Często wymaga to jednak od tłumacza dużej elastyczności i **oderwania się** od konkretnej postaci językowej oryginału na rzecz przekazywanych treści i zamierzonych celów komunikacji, a nawet kreatywności językowej.

Najogólniej rzecz ujmując, **PRAGMATYKA** – będąca częścią semiotyki – zajmuje się relacją między znakami (językiem) i jego użytkownikami, sposobami posługiwania się językiem w różnych sytuacjach i w różnych celach. Nie jest bowiem obojętne, kto, do kogo i w jakiej sytuacji mówi (czy pisze), i co poprzez swój komunikat (tekst) chce osiągnąć. Dla każdego jest oczywiste – choć nie zawsze sobie to w pełni uświadamiamy – że inaczej rozmawiamy z szefem, inaczej z kolegą z pracy, a inaczej z członkami własnej rodziny. W zależności od celu użyjemy różnych sformułowań. Znakami języka posługują się bowiem nie bezduszne automaty, lecz żywi ludzie, obdarzeni emocjami, motywacjami i skojarzeniami, którzy często mają do pewnych znaków języka określony stosunek emocjonalny, pozytywny lub negatywny, nieobojętny dla funkcjonowania wypowiedzi. Na potrzeby naszego wywodu **ZNACZENIE PRAGMATYCZNE** zdefiniujemy **jako relację pomiędzy znakiem a jego użytkownikiem**. Posługiwanie się językiem, używanie go w określony sposób, jest bez uwzględnienia tej relacji niemożliwe. Nawet jeżeli dobrze orientujemy się w sferze znaczeń referencyjnych danego języka obcego, nie gwarantuje to bynajmniej, że jesteśmy w stanie zbudować wypowiedź poprawną w sensie pragmatycznym. Przyjrzyjmy się następującemu ciągowi sformułowań: „umrzeć”, „odwalić kite”, „strzelić kopytami w kalendarz”, „wykitować”, „wykorkować”, „wyciągnąć nogi (kopyta)”, „zdechnąć”, „wachać kwiatki od spodu”, „ubrać drewnianą jesionkę”, „przenieść się do parku sztywnych”, „odejść”, „zasnąć w Panu”, „odejść na wieczną wartę”, „odejść do krainy wiecznych łowów”, „odejść na łono Abrahama”, „wsiąść do łodzi Charona”, „zostać wyrwanym spośród (naszego) grona”, „pójść do nieba”, „zejść z tego świata (padółu)”... Lista ta bynajmniej nie jest kompletna. W sensie referencyjnym wszystkie powyższe zwroty oznaczają to samo – śmierć, czyli ustanę procesów życiowych. Nie są one jednak równoważne pod względem pragma-

tycznym. Użyć ich możemy jedynie w określonych sytuacjach. Nie można powiedzieć do szefa, z którym nie łączą nas przyjacielskie układy (lub w sytuacji oficjalnej): „Mój stary wykorkować”. Obowiązującą formułą jest: „Zmarł mój ojciec”. Ale do przyjaciela możemy w chwili zwątpienia powiedzieć: „Staruszek mi wyciągnął kopyta”. Prawnik lubujący się w urzędowym stylu napisze o „zejściu śmiertelnym krewnego zstępnego płci męskiej w linii prostej”, osoba wierząca powie do dziecka: „Tatuś poszedł do nieba”. Ktoś, kto nie lubił pana X, powie: „Wreszcie tę świnię szlag trafił”, koledzy harcerze zaś – „Odszedł na wieczną wartę”. Widać więc wyraźnie, że to samo wydarzenie, tzn. śmierć pana X, język naturalny opisać może na wiele sposobów, sygnalizujących równocześnie nasz stosunek do tej sprawy. Wynika to między innymi stąd, że zarówno do śmierci, jak i pana X mamy (lub mieć możemy) określony stosunek emocjonalny. Śmierć jako ostateczne i tragiczne wydarzenie nie jest obojętna, dlatego powstaje cały wachlarz określeń oficjalnych, żartobliwych, metaforycznych, eufemistycznych, a nawet świadomie wulgarnych. Służy to w pewnym sensie językowemu „oswojeniu” śmierci, stworzeniu dystansu.

Podobnie jak polski, inne języki również dysponują bardzo szerokim wachlarzem określeń procesu zejścia z tego świata. *Krepieren, verrecken, ins Gras beißen, sich die Radieschen von unten ansehen, abnippeln, den Löffel abgeben, abkratzen, sterben, heimgehen, entschlafen, verscheiden* – to zaledwie kilka przykładów zaczerpniętych z języka niemieckiego. Znamienne jest to, że proces przyścia na świat opisywany jest znacznie skromniej: „narodzić się”, „przyjść na świat”, „ujrzeć światło dzienne” – daleko tu do stylistycznego bogactwa opisów śmierci. Analogiczną tendencję zauważymy (w wielu różnych językach), porównując bogactwo określeń dotyczących głupoty i mądrości. Głupota zwycięży na całej linii. Znaczy to, że nasz emocjonalny stosunek do śmierci i głupoty jest znacznie bardziej zróżnicowany, niż do narodzin i mądrości. Temat wart przemyślenia.

Analizując słownictwo danego języka pod względem pragmatycznym, możemy wyróżnić **charakterystyczne cechy stylistyczne** konkretnego słowa czy sformułowania. Większość z nich jest nie-nacechowana, **neutralna**, co oznacza, że relacja między znakiem

i użytkownikiem ogranicza się jedynie do sygnalizowania znaczenia referencyjnego, np. „lokomotywa”, „pisać”, „kostka brukowa”, „gotować obiad”. W gronie rodziny czy przyjaciół używamy często sformułowań zabarwionych familiarnie, **potocznych**. O lokomotywie powiemy na przykład „ciuchcia”, pisanie przemieni się w „bazgranie”, kostka brukowa w „kocie łby”, a gotowanie obiadu w „pitraszenie”. Wiele słów i sformułowań spotykamy jednak jedynie w **języku pisanym**, w sytuacjach **oficjalnych**, urzędowych. Zamiast określenia „ślub” użyjemy sformułowania „zawarcie związku małżeńskiego”, nie odwiedzimy kogoś, lecz „złożymy mu wizytę”, nie będziemy kogoś żałować, lecz „wyrazimy współczucie”. W okolicznościach **podniosłych** zastosujemy wyrażenia typu „w kwiecie wieku”, „w siedemnastej wiośnie życia”, chcąc kogoś obrazić posłużymy się natomiast ➤ **WULGARYZMAMI** lub sformułowaniami obscenicznymi.

Posługując się językiem, zależnie od sytuacji – niejako automatycznie – dobieramy słownictwo z odpowiednich stylistycznych **rejestrów**, zasobów czy też „banków” słów i zwrotów. BARCHUDAROW (1979:118) wyróżnia pięć takich podstawowych rejestrów: **familiarny**, **niewymuszony**, **neutralny**, **formalny** i **podniosły**. Przytoczone kategorie mają jednak jedynie charakter przybliżony. Użytkownik języka orientuje się zazwyczaj, czy dane sformułowanie jest adekwatne do sytuacji, osoby rozmówcy i celu, który przyświeca aktowi komunikacji. Jeżeli jednak dobierze nietrafne wyrażenie, popełni gafę. Zdarza się to dość często. Zbyt uniżone przeprosiny mogą być odebrane jako drwina, tak samo jak wynoszenie pod niebiosa drobnego sukcesu. Zastosowanie w bardzo podniosłej sytuacji familiarnego zwrotu może być odczytane jako niestosowność, choć zdarza się także, że taka „wpadka” rozładowuje zbyt sztywną atmosferę, podobnie jak użycie wulgaryzmu w ekstremalnej sytuacji nie tylko nie jest naganne, ale przechodzi czasem do historii (jak choćby w przypadku Cambronne»a). Okazuje się więc, że nawet posługując się językiem ojczystym, narażeni jesteśmy na napotykanie stylistycznych raf – nie zawsze wiemy, jak nasze zachowania językowe zostaną odebrane przez otoczenie. Cóż zatem mają począć uczący się języka obcego cudzoziemcy oraz tłumacze? Generalna zasada mówi, że szybciej przyswajamy sobie (bądź też rozumiemy w kontekście) znaczenia referencyjne. Łatwiej bowiem domyślić się znaczenia referencyjnego

(często pomaga w tym sytuacja), niż zorientować się, czy dana jednostka leksykalna jest pod względem pragmatycznym neutralna, czy nacechowana. Słowniki zawierają wprawdzie kwalifikatory stylistyczne typu wulg(arny), książk(owy), pot(oczny), poet(yczny), dotyczą one jednak drobnej części materiału leksykalnego i są mało precyzyjne. Opanowanie znaczeń pragmatycznych wymaga długoletniego obcowania ze **wspólnotą komunikacyjną**, obserwowania użycia języka w sytuacjach wymagających stylistycznego zróżnicowania. Nawet bezpośredni kontakt ze wspólnotą posługującą się danym językiem nie gwarantuje jednak sukcesu. Świadczy o tym następujący anegdotyczny przykład.

Na jednej z prowincjonalnych polskich uczelni technicznych studiował w latach 60. przybysz z egzotycznego kraju, budującego socjalizm. Kandydaci na studia dobierani byli niezwykle starannie, a każde potknięcie w nauce traktowano niemal jak zdradę główną. Nasz student (mieszkający oczywiście w akademiku) uczył się pilnie, ale czy to bariera językowa była zbyt wysoka, czy życie studenckie zbyt absorbujące, dość, że na jednym z ważnych egzaminów powinęła mu się noga. Ze względu na swój specyficzny status został wezwany do pani dziekan na rozmowę wyjaśniającą. Zapytany o to, jak mu poszło na egzaminie, odpowiedział zgodnie z prawdą i znajomością polszczyzny. Reakcja pani dziekan była niespodziewana i niezwykle ostra. Dostała niemal ataku hysterii, po czym wyrzuciła studenta z gabinetu. Biedak sądził początkowo, że gwałtowność reprimendy związana była ze złymi wynikami w nauce. Gdy jednak wezwał go rektor i zarzucił mu, że obraził panią dziekan, nasz student przestał cokolwiek rozumieć. Od słowa do słowa, udało się jednak całą sprawę wyjaśnić. Cóż się stało? Otóż, zapytany o wyniki w nauce, przyszły inżynier odpowiedział tak, jak mówili wszyscy studenci wracający do akademika po nieudanym egzaminie – „ch...jowo”. Była to dla niego normalna reakcja językowa. I rzeczywiście, w sensie referencyjnym oznacza to „bardzo źle”. I to właśnie znaczenie student wyłowił bezbłędnie. Nie zorientował się jednak, że jest to **wulgaryzm**, którego w rozmowie z przedstawicielem władz uczelni, a zwłaszcza kobietą, użyć pod żadnym pozorem nie wolno. Widać więc wyraźnie, że przyswajanie znaczeń pragmatycznych może być niełatwe.

Dodatkową trudność stanowi fakt, że wiele sformułowań (słów, wyrażeń, zwrotów) nacechowanych jest **emocjonalnie**. Są więc określenia pozytywne, neutralne i negatywne. Najprostszy przypadek stanowią sformułowania neutralne. Pozytywne czy negatywne nacechowanie danego określenia może mieć natomiast różną intensywność, także w różnych językach. Francuskie *merde* czy niemieckie *Scheiße* są nieco łagodniejsze niż polskie „gówno”. Stylistycznym odpowiednikiem tego ostatniego byłaby raczej poczciwa „cholera” (► **WULGARYZMY**). O tym samym zjawisku możemy się wypowiedzieć w sposób mniej lub bardziej afektowany. Możemy powiedzieć „salon” fryzjerski albo „zakład”, „szpieg” albo „wywiadowca”, „wróg” albo „nieprzyjaciel”. Używając synonimów czy wyrazów i zwrotów bliskoznacznych, musimy zwracać uwagę nie tylko na występujące często różnice w zakresie znaczenia referencyjnego, ale także na ich przyporządkowanie stylistyczne.

Zjawiskiem niezwykle istotnym dla komunikacji językowej, rozumienia tekstu i procesu przekładu jest **KONOTACJA**. Już imć Zagłoba mówił: „Zakonotuj sobie Waść”. „Zakonotuj” albo – inaczej mówiąc – „zakarbujuj sobie w pamięci”. Termin KONOTACJA rozumieć tu będziemy jako rodzaj asocjacji, skojarzenia, które w sposób obligatoryjny (obowiązkowy) związane jest z danym słowem czy wyrażeniem, nie należy jednak do pola znaczeniowego w sensie referencyjnym. Dla określonej wspólnoty komunikacyjnej niektóre znaki językowe (i nie tylko językowe) mają oprócz podstawowego znaczenia właśnie takie „znaczenie poboczne”, „zabarwienie emocjonalne”, wywołują automatycznie określone skojarzenia. Specjalnie podkreślam tu fakt, że skojarzenia takie funkcjonują w obrębie wspólnoty komunikacyjnej, a nie jedynie wśród użytkowników danego języka. Może się bowiem zdarzyć – zwłaszcza w przypadku języków używanych w wielu krajach – że pewne skojarzenia nie wszędzie się pojawiają.

Istnienie konotacji jest szczególnie ważne w tekstach literatury pięknej, publicystyce, polityce i reklamie, gdzie umiejętne operowanie sferą skojarzeniową, a więc bezpośrednio niewyartykułowaną, implicytną, jest szczególnie istotne. Konotacja ma jednak duże znaczenie również w życiu codziennym – może dotyczyć zwyczajów, konwencji zachowań, niedomówień, może wreszcie przekazywać na zasadzie skojarzenia pewną dodatkową wiedzę dotyczącą danego zjawiska, itp.

Konotacje wiążą się nie tylko ze słowami czy zwrotami, ale także z innymi znakami. Wiele **liczb naturalnych** ma dodatkowe znaczenia, które nie obowiązują jednak we wszystkich wspólnotach używających liczb. Trójka zawiera odniesienie do Trójcy Świętej (u chrześcijan), od starożytności uważana jest za liczbę wyjątkową – *omne trinum perfectum*, w polszczyźnie funkcjonuje porzekadło „do trzech razy sztuka”, w niemieckim *Aller guten Dinge sind drei*. Siódemka to tajemnicza liczba kabalistyczna, trzynastka przynosić ma pecha, choć niektórzy twierdzą, że szczęście. Mówimy: „chłopak jak szóstka”, „zabawa na sto dwa”. Uprzywilejowane są również dwunastka (tuzin), dwudziestka jedynka („oczko”), sześćdziesiąt sześć (popularna gra w karty) i w ogóle wiele liczb „okrągłych”, mających często – zwłaszcza w odniesieniu do pieniędzy – swoje nieformalne, emocjonalnie i stylistycznie nacechowane określenia – „piacha”, „dycha”, „stówa”, „bańka”, ze starszych określeń – „patyk”, „melon”, „tauzen”. Nie jest to oczywiście specyfika języka polskiego, ponieważ – mówiąc żartobliwie – „stosunek użytkowników języka do biletów emitowanych przez bank centralny nie jest emocjonalnie obojętny”.

Z określonymi **liczbami** kojarzymy też automatycznie stałe fizyczne czy inne wartości spotykane w nauce i życiu codziennym. 273 (ze znakiem minus to zero absolutne, wyrażone w stopniach Celsjusza), 3,14... to liczba pi, 18 (stopni Celsjusza) to temperatura pokojowa, ale już w społecznościach posługujących się skalą Fahrenheita będzie to 94. Różne skojarzenia wiążą się z określonymi **datami**. W tym przypadku ważniejsza jest przynależność do określonej wspólnoty, a nie posługiwanie się danym językiem. Data 26 października ma dla Austriaka dodatkowe znaczenie „święta narodowego”, dla Niemca jednak świętem narodowym będzie (ale dopiero od czasu zjednoczenia) 3 października, dla Szwajcara zaś 1 sierpnia. Starsi mieszkańcy byłej NRD pamiętają jeszcze, że świętem „pierwszego na ziemi niemieckiej państwa robotników i chłopów” był 7 października. W Polsce powoli zapomina się o 22 lipca. Świadczy to o tym, że tego typu skojarzenia również mają charakter dynamiczny, zmienny, wraz ze zmianą daty poprzednia staje się powoli zwykłą datą. Bodaj setka narodów byłego ZSRR długo będzie pamiętać 22 czerwca 1941 roku. To data historyczna. Każda wspólnota mająca wspólną historię wyróżnia pewne daty jako szcze-

gólne. Funkcjonują one często na zasadzie sygnałów, niosących za sobą cały balast skojarzeń, wiedzy i wspólnych doświadczeń. Treści te pozostają zazwyczaj niewyeksplikowane. Aby zrozumieć (przetłumaczyć) zdanie: „Nigdy nie powtórzy się 13 grudnia!”, trzeba najpierw wiedzieć, co się wówczas stało. Takich dat jest mnóstwo i wielu autorów wypowiedzi korzysta z nich w celu szybkiego zilustrowania wywodu, licząc na zrozumienie u odbiorców. Dla tłumacza, zwłaszcza niezbyt dobrze znającego historię (w tym wypadku najnowszą historię Polski), jest to szczególnie trudne. A oto przykład z branży bynajmniej nie politycznej. Przed kilkoma laty pojawiła się w handlu polska brandy, opatrzona na etykiecie datą 1410. Napis stylizowany był na „gotycki” (szwabachę). Dla każdego klienta w Polsce intencja pomysłodawcy i implicytnie wyrażona sugestia była jasna – ten napój da ci siłę rycerzy spod Grunwaldu. Krój czcionki podkreślał dawność, rycerskość i średniowieczność. Bierący butelkę do ręki cudzoziemiec nie miał takich skojarzeń. Mógł co najwyżej pomyśleć o numerze wody kolońskiej 4711 albo zinterpretować podaną na etykiecie liczbę jako datę założenia firmy produkującej brandy. Otrzymując bowiem jakiś sygnał wyglądający na komunikat, automatycznie doszukujemy się w nim sensu.

Jeżeli tym cudzoziemcem był Niemiec, niemal na pewno **nie pomyślał** o bitwie pod Grunwaldem. Dla przeciętnego, nieinteresującego się historią Niemca jest to fakt zupełnie nieznan, w historiografii niemieckiej określany – nawiasem mówiąc – jako bitwa pod Tannenbergiem (*Schlacht bei Tannenberg*). I nawet jeżeli wspomnimy w Niemczech o bitwie pod Tannenbergiem, rozmówca pomyśli raczej o zwycięskim boju, który w Prusach Wschodnich stoczyli Niemcy z Rosjanami w 1914 roku. Inna rzecz, że została ona tak nazwana właśnie na pamiątkę tej pierwszej.

Specyficzne skojarzenia mogą dotyczyć dni tygodnia. Piątek – dzień postu, ale tylko u katolików, poza tym – dzień pechowy, dawniej w Anglii dzień wypłaty tzw. tygodniówki. Niedziela – dzień wolny od pracy, dla chrześcijan – dzień święty. Ale dla Żydów dzień święty to sobota (dokładniej: czas od piątku wieczór do soboty wieczór), dla muzułmanów zaś piątek. Burzliwa historia Polski sprawiła, że niemal żaden miesiąc nie oznacza dla nas jedynie danego miesiąca, ale wiąże się z dodatkowymi skojarzeniami. Niewiele

pozostało miesiący „nieobsadzonych” – spójrzmy na polski kalendarz przez pryzmat historii i polityki. A więc styczeń (powstanie styczniowe 1863), luty (dotychczas „nieobsadzony”, pozostaje tylko porzekadło o dobrych butach), marzec (konstytucja marcowa 1921, wydarzenia 1968 roku), kwiecień (ewentualnie konstytucja kwietniowa 1935, był też lansowany przez PZU jako miesiąc ubezpieczeń, prawdopodobnie ze względu na rym), maj (konstytucja 3 Maja, przewrót majowy 1926), czerwiec (poznański czerwiec 1956, czerwcowe wybory do sejmu i senatu w 1989), lipiec (22 lipca, zanikające), sierpień (strajki Solidarności 1980, podpisanie umów), październik (polski Październik 1956), listopad (powstanie listopadowe 1931, 11 listopada), grudzień (grudzień 1970, 13 grudnia 1981). Sformułowania „Polska posierpniowa”, „marcowy docent”, „lipcowe święto”, „grudniowa noc stanu wojennego” zawierają implicity odniesienia do tych właśnie skojarzeń.

Miesiące mają też – w różnych kulturach i rejonach geograficznych – inne konotacje. W naszej szerokości geograficznej maj kojarzony jest z miłością i wiosną, już we Włoszech jednak miesiącem miłości jest kwiecień, *avril*, bo w maju na intensywną gimnastykę jest po prostu za gorąco. Na półkuli południowej natomiast – w Australii – za zimno. Warunki klimatyczne powodują, że różne zjawiska pogodowe czy atmosferyczne wywołują w różnych rejonach różne skojarzenia. Dla nas deszcz i cień to zjawiska raczej negatywne. Długotrwały deszcz wywołuje melancholię (por. wiersz Staffa „O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny”), mówimy też „rzucić cień na czyjeś dobre imię”. Dla ludów pustyni natomiast „deszcz” i „cień” zabarwione są zdecydowanie pozytywnie. Śnieg jest dla nas czymś oczywistym, dla mieszkańców sawanny czymś obcym, pojęciem abstrakcyjnym, które należy wyjaśnić (np. biały lekki puch, spadający z nieba, pokrywający ziemię, zimny w dotyku, pod wpływem ciepła zamieniający się w wodę). Wiele innych słów, zwrotów, nazw, pojęć i znaków wywołuje w określonych wspólnotach komunikacyjnych automatyczne skojarzenia. Odpowiednikiem „Czerwonego Krzyża” był w czasie I wojny światowej dla oddziałów tureckich „Czerwony Półksiężyc”, imię cesarza Napoleona w Polsce i we Francji darzone jest estymą, we Włoszech, Anglii, Rosji, Niemczech i Hiszpanii to postać co najmniej ambiwalentna, rabuś

dzieł sztuki, okupant, napastnik. Jemięta to dla wielu tylko dziwaczna narośl na drzewach, dla Anglika zaś miła zachęta do pocątku. Dla Arabów i ortodoksyjnych Żydów wieprzowina jest niejadalna, dla Chińczyka z Kantonu obiektem kulinarnym może być pies. Pies to dla wielu „najlepszy przyjaciel człowieka”, ale również wyzwisko – „ty psie!” Lis kojarzy się z chytryścią (Lisek Chytrusek, Lis Przechera), orzeł ze szlachetnością („nie polecą orzeł w gówna”), lew z odwagą i siłą. Warszawski Belweder był przez długie lata miejscem, w którym wręczano nominacje profesorskie. Za czasów socjalizmu aktu tego dokonywał Przewodniczący Rady Państwa, później rezydujący w Belwederze Prezydent RP. Utało się zatem dla nominatów określenie „profesor belwederski”. Lech Wałęsa postanowił jednak przenieść swą siedzibę do pałacu Namiestnikowskiego, gdzie odtąd wręczane są rzeczony nominacje, również przez jego następcę. Na tę zmianę język jednak nie zareagował. Nadal funkcjonuje określenie „profesura belwederska” (choć nie wiadomo, jak długo jeszcze), „profesor namiestnikowski” natomiast – choć teoretycznie możliwy – w ogóle się nie przyjął.

Przy okazji brandy 1410 wspomniałem, że ta niepozbowiona znaczenia data napisana została na etykiecie tzw. szwabachą, popularnie zwaną gotykiem. Określony krój czcionki może zatem wiązać się z konkretnymi skojarzeniami. W tym przypadku była to bliżej nieokreślona „dawność”, średniowiecze. Szwabacha często kojarzona jest w Polsce z elementem niemieckim czy w ogóle germańskim. Stąd też tytuły książek czy plakaty filmowe o tematyce niemieckiej operują chętnie tą formą liternictwa. Zdarza się też, że łacińskie litery stylizowane są na „niby-chiński” czy „niby-hebrajski”. Można to zaobserwować np. na szyldach restauracji oferujących dania kuchni chińskiej czy żydowskiej (koszernej). Taka hebrajska stylizacja liternictwa widoczna była na etykietce wódki o nazwie Meczyja. Przykłady tego typu można mnożyć. Istnieje liternictwo „secesyjne”, „antyczne”, „techniczne”. Nawet poszczególne litery mogą przywoływać określone skojarzenia. W języku polskim D i G (pomijając inne) funkcjonują jako eufemizmy obscenów rozpoczynających się od tych właśnie liter – „g... mnie to obchodzi”, „siedź na d... i nie podskakuj”. Litery rzadko pojawiające się w języku polskim natomiast, takie jak X czy Q, sugerują kosmopoli-

tyzm, otwarcie na świat. Nie bez ukrytej intencji sklepy sieci dolarowej PEWEX zawierały w nazwie dumne i „zagraniczne” X, chociaż skrót pochodził od nazwy Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego, gdzie eksport pisany był przez „ks”. (Nawiasem mówiąc, eksport wewnętrzny to określenie samo w sobie sprzeczne, coś niby niska wysokość albo zimne ciepło, czyli oksymoron). Po 1989 wiele prywatnych firm włączyło do swoich nazw kosmopolityczne X – zgodnie z tą tendencją pan Marek zakładał firmę MAREX. Podobną, choć nie tak olśniewającą, karierę zrobiło Q. Na rynku wydawniczym pojawiło się czasopismo *QCHNIA* (KUCHNIA) – pisownia tytułu sugerować ma zapewne ekskluzywność potraw. Przy ulicy Szewskiej w Krakowie otwarto bar o nazwie **naleśniQi**. Jest to przykład o tyle interesujący, że litera Q może (przy pewnej dozie fantazji) przypominać zwinięty naleśnik. I jeszcze jedno. Ulotka wspomnianego zakładu powołuje się na certyfikat jakości wydany przez L»Institut International de Crepisme, co zostało spolszczone jako Międzynarodowy Instytut Naleśnictwa. Czy wobec tej urzekającej nazwy dyskusja nad nieprzekładalnością ma jakikolwiek sens? Na zakończenie rozważań na temat skojarzeń dotyczących liter mała dygresja antyczna. SPQR to oczywiście *Senatus Populusque Romanus*. W latach 80. Irena Dziedzic prowadziła w „TeleEchu” rozmowę z profesorem Krawczukiem, specjalistą od kultury antycznej, i powołała się na „antyczną” formułę VSOP. Profesor zmilczał i nie skomentował. Skądinąd miałem kolegę, który osoby rzadko używające mydła określał z pozoru tylko nobliwie wyglądającym skrótem: SQNX (skunks).

Może się też zdarzyć, że nieuświadomienie sobie określonych konotacji doprowadzi do poważnych nieporozumień, czasem nawet o wydźwięku politycznym. Jak pamiętamy, w 1980 roku odbyła się olimpiada w Moskwie. Z powodu inwazji ZSRR na Afganistan wiele krajów zbojkotowało igrzyska. Jeszcze przed ich rozpoczęciem atmosfera polityczna wokół olimpiady była gorąca. Jeden z niewielu (jeśli nie jedyny) w Polsce kryty basen pływakowski o wymiarach olimpijskich znajdował się wówczas przy Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu. Trenowali tam nasi olimpijczycy i dla dodania sobie animuszu wywiesili nad wejściem na basen transparent. Autor widział owo hasło na własne oczy, wspominała o nim również *Polity-*

ka. A oto i treść transparentu, wywieszonego przez kadrę pływaków z Oświęcimia:

DZIŚ W OŚWIĘCIMIU, JUTRO W MOSKWIE.

Niemal doprowadziło to do awantury politycznej. W całej sprawie istotna okazała się właśnie kwestia konotacji. Z nazwą miejscowości Oświęcim wiąże się na zasadzie obowiązkowego skojarzenia informacja „hitlerowski obóz koncentracyjny”, wraz ze wszystkimi asocjacjami. Konotacja ta nie występuje jednak z taką siłą we wspólnocie komunikacyjnej mieszkańców Oświęcimia, gdzie została w oczywisty sposób **wyparta** przez konotację „nasze miasto rodzinne”. O obozie mówi się w Oświęcimiu „Muzeum”, używając nazwy rodzinnego miasta na co dzień, nie sposób bowiem ustawicznie przypominać sobie, że było to miejsce zagłady. Również i nazwa geograficzna „Moskwa” opleciona jest siecią konotacji. Dla ówczesnego mieszkańca ZSRR były to przede wszystkim skojarzenia typu „stolica”, „siedziba władzy”, „miejsce, gdzie można wiele załatwić, prawie wszystko kupić czy też zrobić karierę”. Mieszkańcy tzw. obozu socjalistycznego Moskwę kojarzyli z centralą imperium, miejscem, skąd wychodziły ideologiczne i gospodarcze dyrektywy, symbolem zniewolenia. Dla pływaków trenujących przed olimpiadą w Moskwie te konotacje straciły na znaczeniu – zostały **wyparte** przez inną, aktualniejszą konotację – miejsce igrzysk olimpijskich, do których się przygotowujemy. Dla autorów transparentu (chyba że działali świadomie!) Oświęcim i Moskwa łączyły się na zasadzie ciągu myślowego – dziś trenujemy w naszym rodzinnym mieście, jutro będziemy na olimpiadzie. Jeżeli jednak autorzy hasła świadomie zabawili się w polityczną grę słów, należy pogratulować *l'esprit*, zwłaszcza w gorącym okresie poprzedzającym „wybuch Solidarności” w owym olimpijskim roku.

Znaczenia

Znaczenia pragmatyczne a proces przekładu

Rozważania na temat znaczeń referencyjnych w odniesieniu do procesu przekładu wykazały wyraźnie, że **języki opisujące kontinuum rzeczywistości pozajęzykowej czynią to w sposób charakterystyczny dla każdego z nich**. Dla tłumacza oznaczało to specyficzne trudności, polegające na konkretyzacji, różnicowaniu znaczenia, konieczności wprowadzania (zapożyczania) nowych, nieznanych terminów, wręcz kreatywności językowej, umożliwiającej przyswojenie nieznanych zjawisk przez odbiorcę przekładu.

W zakresie znaczeń **pragmatycznych** trudności te jeszcze bardziej się nawarstwiają. O ile w przypadku znaczeń referencyjnych istnieje *tertium* w postaci wielu doświadczeń, wspólnych dla wszystkich ludzi egzystujących na planecie Ziemia, o tyle znacznie bardziej dowolne są relacje typu pragmatycznego, wynikające z relacji emocjonalnych, socjologicznych i historycznych właściwych dla danej wspólnoty komunikacyjnej. Można przyjąć *a priori*, że chyba każdy język stworzył określenie na głowę (choć może istnieje gdzieś „głowotułów”), nie każdy jednak język musiał wykształcić synonimy o konkretnym nacechowaniu stylistycznym. I tak w niemieckim mamy określenie *Kopf* (neutralne) i *Haupt* (podniosłe). Polszczyzna nie dysponuje takim podniosłym odpowiednikiem, niemieckie złożenia typu *Staatsoberhaupt*, *Familienoberhaupt* tłumaczymy więc jako „głowa państwa”, „głowa rodziny”. My z kolei mamy w zasobie leksykalnym słowo „teb”, które w odniesieniu do zwierząt jest neutralne, przeniesione na ludzi może zaś być nacechowane pejoratywnie, np. w sformułowaniu „co ci do tła strzeliło”. Za jego pomocą można wyrazić również podziw – „Kowalski to ma teb”. Gdy porównamy oba języki, relacja okaże się niesymetryczna.

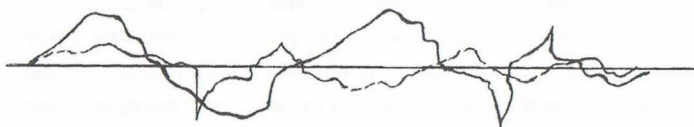
	<i>Haupt</i>
<i>głowa</i>	<i>Kopf</i>
<i>Teb</i>	

W obu językach istnieje oczywiście wiele synonimów, najczęściej o zabarwieniu żartobliwym, typu „baśka”, „czacha”, *Birne*, *Oberstübchen*. Porównując dowolną parę języków, dostrzeżemy więc w sferze znaczeń pragmatycznych bardzo istotne różnice, co oczywiście nie pozostaje bez wpływu na proces przekładu. Tłumacz powinien możliwie adekwatnie oddać nie tylko znaczenia referencyjne oryginału, ale także znaczenia pragmatyczne, zabarwienie stylistyczne i konotacje. Dotyczy to zwłaszcza tekstów z zakresu literatury pięknej, publicystyki i reklamy. Zadanie to jest niekiedy bardzo trudne. Nawet rodzimy użytkownik języka nie zawsze jest w stanie precyzyjnie określić zabarwienie stylistyczne danego leksemu. LEBIEDZIŃSKI (1981:97) podaje rezultaty **eksperymentu** polegającego na uszeregowaniu oznaczeń według nasilenia cechy:

Ponadto same w sobie oznaczenia emocjonalno-ekspresywne (...) są odbierane indywidualnie stanowczo niejednakowo. W Siedlcach przeprowadziłem test, gdzie takie oznaczenia z zestawów zapisanych w porządku alfabetycznym lub dowolnym trzeba było ustawić w ciągu od minimum cechy gradacji do maksimum. Np. (1) antypatyczny, nieestetyczny, nieapetyczny, brzydki, niegustowny, niemiły, nieprzyjemny, okropny, nieurodzivny, obmierzły, odrażający, odpychający, obskurny, nieładny... (2) bałwan, ciele, cymbał, ciemięga, gamoń, kretyn, debil, hebes, imbecyl, matoł, matolek, półgłówek, tępak, tuman, głupiec, głuptas, głupek, dureń, jołop, kiep, osioł, zakuty łeb, zakuta pała... (3) stukać, kołatać, tłuc, bębnić, walić, bić... Rozrzut między odpowiedziami był doprawdy znaczny. Niejednokrotnie wystąpiły różnice nawet o kilkanaście pozycji w szeregu.

Tłumacz, przekładający (zazwyczaj) z języka obcego na ojczysty, nie zawsze właściwie wychwytuje stylistyczne nacechowanie danego wyrażenia czy zwrotu, mimo iż w pełni rozumie jego znaczenie referencyjne. Niejako „na wszelki wypadek” daje odpowiednik neutralny, nienacechowany pod względem pragmatycznym. Powoduje to swoiste **splaszczanie** stylistycznego różnicowania tekstu. Czasami zdarza się też, że tłumacz błędnie interpretuje kwalifikację stylistyczną i na przykład zamiast żartobliwego daje odpowiednik podniosły (oczywiście zachowując znaczenie referencyjne).

Różnicę między oryginałem a przekładem można w takim przypadku przedstawić następująco:



Jest to – wbrew pozorom – zjawisko bardzo częste. Oczywiście, może się zdarzyć, że język docelowy nie dysponuje stylistycznie nacechowanym odpowiednikiem. Wtedy tłumacz jest niejako usprawiedliwiony, choć zawsze pozostaje w odwodzie tzw. > **KOMPENSACJA**. Zazwyczaj jednak w języku docelowym takie odpowiedniki istnieją. Przyczyny stylistycznego spłaszczenia przekładu w stosunku do oryginału są na ogół dwie: (1) tłumacz „nie wychycił” zabarwienia stylistycznego danego fragmentu tekstu i dał odpowiednik referencyjnie adekwatny, ale pragmatycznie neutralny; (2) tłumacz zorientował się, co prawda, że ma do czynienia z elementem stylistycznie nacechowanym, nie wysiłił się jednak dostatecznie, by odnaleźć właściwy odpowiednik i zadowolił się przybliżonym albo – co gorsza – niewłaściwie go zakwalifikował.

Jeszcze większe trudności sprawia konieczność oddania w przekładzie konotacji. Należą one – ogólnie rzecz biorąc – do informacji implicytnie zawartych w komunikacie. Dla danej wspólnoty komunikacyjnej są one oczywiste i nie wymagają dodatkowych wyjaśnień. Nie można ich jednak przenieść na teren innej wspólnoty komunikacyjnej i kulturowej li tylko za pomocą odniesień do sfery znaczeń referencyjnych. Nawet jeżeli *mistletoe* przetłumaczę całkiem poprawnie jako „jemiola”, nie przekażę równocześnie informacji, że pod tą dziwną drzewną naroślą można bezkarnie skraść dziewczynie pocałunek. Wynika stąd nierzadko konieczność **UZUPEŁNIENIA** translatu (tekstu tłumaczenia) dodatkowymi informacjami. Najłatwiejszą formą takiego uzupełnienia jest dokonany przez tłumacza **przypis**. Jest to jednak rozwiązanie mające szereg wad. Po pierwsze, jest mało estetyczne w odbiorze, odrywa czytelnika

od głównego wywodu, a w przypadku niektórych rodzajów tekstów (wiersz, dramat) jest w ogóle nie do pomyślenia. W tekstach naukowych i specjalistycznych staje się jednak ze względu na precyzję wypowiedzi dopuszczalny, a nawet pożądanym. W tekstach prasowych, publicystycznych czy informacyjnych, których postać nie ma charakteru „Nienaruszalnego Dzieła Sztuki”, następuje **wbudowanie informacji w tekst**, już to w postaci krótkiego komentarza, już to uzupełnienia podanego w nawiasie albo na zasadzie wtrącenia. Bez takich zabiegów nie sposób przetłumaczyć określeń typu „kuroniówka”, „wałęsówka” czy „sławojka”. Wymagają one wyjaśnień. Kuroniówka to „zupa dla bezrobotnych, wydawana pod auspicjami ówczesnego ministra pracy, Kuronia”, wałęsówka (dziś zapomniane) to „dodatek w wysokości 800 złotych, wypłacany po podpisaniu przez Wałęsę porozumień sierpniowych”, sławojka zaś to „model drewnianego szałetu, lansowanego przez Felicjana Sławoja-Składkowskiego, wówczas ministra spraw wewnętrznych, później premiera, a to dla podniesienia kultury sanitarnej ludu wiejskiego”. Wypada tu przypomnieć postawione już na wstępie pytanie, czy łatwiej tłumaczyć z języka obcego na ojczysty, czy odwrotnie. Wyobraźmy więc sobie Anglika skonfrontowanego z terminem „sławojka”... Polak potrafi.

Przytoczone przykłady nie są bynajmniej kuriozalnymi wyjątkami. Teksty typu eseistycznego, literackiego i publicystycznego oraz reklama obficie korzystają z takich implicytnych informacji. Dla ilustracji zacytuję kilkanaście wyrażen i zwrotów spotykanych na co dzień w tekstach z zakresu publicystyki, polityki, literatury i kultury. W procesie przekładu wymagają one komentarza bądź uzupełnienia (WILAMOWSKI 1998).

„Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej” (Edward Gierk na XI Plenum PZPR, obietnica dobrobytu po gomułkowskim zastrachu); „Aferzystów puścimy w skarpetkach” (Wałęsa 1992, chęć radykalnego rozliczenia nadużyć); „bananowa młodzież” (prasa lat 60.); „Cud nad Wisłą” (bitwa warszawska 14–17 sierpnia 1920); „falandyzacja prawa” (kontrowersyjne interpretacje prawa dokonywane przez min. Falandysza); „gest Kozakiewicza” (triumfalny, a zarazem wulgarny i skierowany pod adresem ZSRR gest polskiego sportowca po zwycięskim skoku na olimpiadzie w Moskwie w 1980); „gruba kre-

ska” (premier Mazowiecki w sejmie tzw. kontraktowym, obecnie symbol podziałów na „przed” i „po”); „Nie oddamy ani guzika” (hasło propagandowe II Rzeczypospolitej, ogłoszone po raz pierwszy przez Edwarda Rydza-Śmigłego na Zjeździe Legionistów Polskich w 1935); „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da” (min. Józef Beck w pamietnym przemówieniu w sejmie 5 maja 1939); „pokraczny bękart traktatu wersalskiego” (Mołotow o Polsce po realizacji czwartego rozbioru); „Pomożecie? Pomożemy!” (Gierek w styczniu 1971, skierowany do robotników apel o pomoc); „punkty za pochodzenie” (punkty faworyzujące młodzież robotniczo-chłopską przy egzaminach na studia); „Rząd się wyżywi” (arogancka wypowiedź Jerzego Urbana), „Silni, zwarci, gotowi” (hasło propagandowe z okresu przed wybuchem II wojny światowej).

Przytoczone powyżej „powiedzenia historyczne” istnieją w zbiorowej świadomości, mogą występować w różnych rodzajach tekstów, mogą być modyfikowane, zawsze jednak wymagać będą w procesie przekładu wyeksplikowania na poziomie tekstu, tzn. wprowadzenia dodatkowej informacji, uzupełnienia. O ile w tekście typu informacyjnego, publicystycznego czy eseistycznego tego rodzaju „wstawka” nie stwarza poważniejszych problemów, o tyle w tekstach artystycznych taka ingerencja tłumacza może budzić zastrzeżenia. A przecież właśnie teksty literackie operują często aluzjami, niedomówieniami, skojarzeniami. Czasem jednak i w przypadku tekstu literackiego tłumacz decyduje się na wprowadzenie dodatkowej informacji. Karl Dedecius, tłumacząc *Wesele*, miał z tym problemem do czynienia niezwykle często, jest to bowiem dramat szczególnie nasycony podtekstami. Zdanie „Z takich jak my był Głowacki” Dedecius przetłumaczył jako *Wir sind wie Bauernheld Głowacki*, dodając informację, że Głowacki był „chłopskim bohaterem”. Taka operacja nie zawsze jest jednak możliwa. W przypadku, gdy język docelowy nie stworzył odpowiednika budzącego analogiczne skojarzenia, można posłużyć się **zjawiskiem analogicznym**, występującym we wspólnocie języka docelowego (np. Janosik – „tatrzański Robin Hood”), pamiętając jednak, że taka analogia ma charakter przybliżony. Czasami tłumacz dokonuje **substytucji**, zwłaszcza w przypadku, gdy dany element tekstu wyjściowego jest dla odbiorcy przekładu niezrozumiały. Taką substytucją (zamianą) posłużył się

Dedecius, tłumacząc sformułowanie „w sokolskim dworze” jako *im Gasthaus zum Falken*. „Sokolski dwór” to siedziba „Sokoła”, organizacji patriotycznej działającej w Galicji przed I wojną światową. W cytowanej scenie opisana została bójka, do której doszło w związku z wyborami. Tych wszystkich informacji nie da się oczywiście wbudować w tekst sztuki. Dedecius zastąpił więc „sokolski dwór” „zajazdem pod Sokołem”, co do kontekstu bójki całkiem nieźle pasuje, gorzej jednak z wyborami. Ale taka jest cena substytucji. Widz nie ma trudności z wyobrażeniem sobie okoliczności bójki, choć nie całkiem odpowiada to oryginałowi. Należy jednak dodać, że w przypisach została podana informacja na temat dokonanej substytucji i działalności „Sokoła”.

Również i w sferze znaczeń pragmatycznych wystąpić może jako specyficzny rodzaj substytucji wspomniana już **GENERALIZACJA** i **KONKRETYZACJA**. Zdarza się, że oryginał zawiera bardzo szczegółowe opisy, np. flory, fauny, realiów, zwyczajów itp., wiążących się z konkretnymi skojarzeniami lub wyobrażeniami, np. „wilcze tyko” (trucizna), „muchomor” (trujący, czerwony, nakrapiany), „czarna polewka” (odmowa ręki panny), „czernina” (zupa z krwi, nie przez wszystkich uznawana za delikates), „kierpce”, „guńka”, „parzenica”. Tłumacząc na język zbiorowości nieznaną tego typu zjawisk, musimy czasem dokonać generalizacji (uogólnienia), uzupełniając obowiązkowe w danym przypadku skojarzenia, np. „trująca jagoda”, „trujący grzyb o czerwonym, biało nakrapianym kapeluszu”, „elementy tatrzańskiego stroju ludowego” itp. W przypadku konkretyzacji mamy do czynienia z odwrotnym procesem. Dzieje się tak wówczas, gdy z wielu możliwych ekwiwalentów tylko jeden wiąże się z określonym skojarzeniem. Przyjrzyjmy się zdaniu: „Ameryka osiągnęła wyżyny luksusu”. Nazwa własna „Ameryka” może oznaczać kontynent, bywa też używana w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych. W cytowanym zdaniu chodzi oczywiście o USA i może się zdarzyć, że w procesie tłumaczenia będziemy musieli sprecyzować, że nie chodzi tu o kontynent, o lecz państwo. Podobnie zdanie: „W Ameryce też istnieją wielkie obszary nędzy” ma sens jedynie w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych, jeśli bowiem chodzi o całość kontynentu, jest ono banalnie oczywiste. Analogicznie i nazwa „Europa” może być rozumiana dwojako. Niedawno usłyszałem

w niemieckim biurze podróży informację skierowaną do klienta, że wyjeżdżając do krajów pozaeuropejskich (*außereuropäische Länder*), musi zabrać ze sobą paszport. Pracownik biura miał na myśli kraje nienależące do Unii Europejskiej. Precyzyjne przetłumaczenie tej informacji wymaga takiego właśnie uściślenia. Można sobie bowiem wyobrazić sytuację, że odbiorca zrozumie określenie „kraje pozaeuropejskie” jako odnoszące się do krajów leżących poza geograficzną Europą, będzie to jednak interpretacja błędna (por. też BAR-CHUDAROW 1979:140).

Niejednokrotnie określone zachowania językowe są w różnych wspólnotach komunikacyjnych odbierane niejednakowo. W krajach anglosaskich i niemieckojęzycznych na przykład zwracanie się do kogoś po nazwisku jest naturalnym, wręcz uprzejmym odruchem. Do rozmówców zwracamy się, używając nazwiska – a więc Mr. Brown, Herr Mayer, Frau Hase – nie tylko w sytuacjach oficjalnych, ale i codziennych. W Polsce wymienianie nazwiska może być po-czytane za nietakt. Wyobraźmy sobie nagłówek listu: „Drogi Panie Dyrektorze Kowalski”, albo wypowiedź typu „Panie ministrze Bąk, co pan sądzi...” W Polsce student zwróci się do wykładowcy *per* „panie profesorze”, pomijając nazwisko, student niemiecki powie zaś w zwykłych okolicznościach „Herr Döring”, pomijając tytuł. W codziennych sytuacjach po polsku powiemy raczej „proszę pani”, „pani Mario”, niż „Pani Gryzek, jak pani spędziła urlop?” Być może tendencja do unikania nazwiska bierze się stąd, że dawniej przełożeni do podwładnych często zwracali się „panie Kowalski”, natomiast podwładni do zwierzchnika mówili raczej „panie inżynierze, panie kierowniku”. Innym wytłumaczeniem może być fakt, że wiele nazwisk, zwłaszcza wywodzących się z dawnych przydomków ludowych, miewa formę mogącą budzić różne skojarzenia. Wystarczy spojrzeć do książki telefonicznej dużego miasta, aby porządnie się zadziwić: Liczykrupa, Paliwoda, Kusibab, Męczywór. W unikaniu nazwiska gustuje zwłaszcza młodzież, przedstawiając się jedynie imieniem. To jednak zjawisko nie tylko polskie. Funkcjonowanie w grupie rówieśniczej nie „pod oficjalnym nazwiskiem”, ale jako Ania, Sonia czy Bill, daje poczucie niewymuszonej prywatności, młodzieńczego wyzwolenia. Tłumacząc nawet codzienne dialogi, musimy o takich subtelnościach pamiętać. Czasem trzeba będzie

nazwisko dodać, czasem opuścić, zależnie od konwencji języka docelowego.

Powyższe rozważania miały na celu jedynie zasugerowanie wielości problemów związanych z tłumaczeniem znaczeń pragmatycznych. Nie sposób wymienić czy skatalogować wszystkich sytuacji i kontekstów, w których konotacje, skojarzenia, zabarwienie stylistyczne i emocjonalne są istotne dla prawidłowego odbioru, a w konsekwencji dla powstania komunikacyjnie adekwatnego translatu. Tłumacząc, nie powinniśmy zapominać, że nawet stuprocentowe oddanie znaczeń referencyjnych nie gwarantuje adekwatności przekładu. Pominięcie (lub nawet nieświadome niedostrzeżenie) istotnych znaczeń pragmatycznych może doprowadzić do poważnego zafałszowania przesłania tłumaczonego komunikatu.

znaczenia

Znaczenia intralingwalne

Trzecim typem znaczeń według referowanej tu koncepcji są znaczenia intralingwalne, wewnątrzjęzykowe, lub – mówiąc bardziej abstrakcyjnie – odniesienia wewnątrzsystemowe pomiędzy znakami danego systemu językowego. **ZNACZENIE INTRALINGWALNE** zdefiniujemy również jako **relację**, w tym przypadku **między znakiem a innymi znakami danego systemu językowego** (BARCHUDAROW 1979:74). W dotychczasowych rozważaniach pomijaliśmy zupełnie kwestie wynikające z tego, że dany leksem należy do konkretnego systemu znaków. Wiosna, *spring*, *Frühling*, *Lenz* to – referencyjnie rzecz biorąc – to samo. *Lenz* wyróżnia się pod względem pragmatycznym jako określenie podniosłe, literackie. Ale „wiosna” to po polsku dziewczyna, kobieta, byt rodzaju żeńskiego, *Frühling* i *Lenz* natomiast to faceci, *spring* jest zaś lingwistycznym kastratem (rodzaj nijaki). W znakomitej większości wypowiedzi nie ma to żadnego znaczenia i mówiąc „piękną mamy wiosnę tego roku”, nie myślimy o tym, że rze-

czownik „wiosna” jest rodzaju żeńskiego (kategoria gramatyczna, a więc wewnątrzsystemowa). Trudności pojawiają się dopiero w przypadku, gdy chcemy w wypowiedzi odwołać się bezpośrednio do tego faktu, na przykład dokonując personifikacji – przedstawienie wiosny w wierszu jako młodej dziewczyny albo jesieni jako ksieni. (To nawet się rymuje, ale już dawno zostało potępione jako kicz.) Podobnie rzecz ma się ze śmiercią. Po polsku to ONA, po niemiecku zaś ON. Określa to wyraźnie zasób możliwych skojarzeń i przedstawień ikonograficznych. Zwłaszcza w poezji (ale również reklamie i publicystyce, a nawet polityce) rodzaj gramatyczny może okazać się istotny dla sensu komunikatu. WAWRZYNIAK (1991:55) przytacza interesujący przykład wypowiedzi Georgesa Pompidou po śmierci generała de Gaulle»a: *Le general de Gaulle est mort. La France est veuve.* Francja to pod względem gramatycznym byt żeński (tak samo zresztą jak Polska). Bez problemu można więc powyższą wypowiedź przetłumaczyć jako „Francja jest wdową”. Trochę trudniej z niemieckim, gdzie *Frankreich* jest rodzaju nijakiego.

Kwestia rodzaju gramatycznego to jeden z najprostszych przykładów ilustrujących rolę znaczeń intralingwalnych w procesie przekładu. Niemal każdy leksem poprzez swoją formę, etymologię, łączliwość, usytuowanie w ciągu możliwych synonimów, a więc wielorakie odniesienia do innych leksemów, wchodzi z nimi w specyficzne relacje, możliwe najczęściej tylko w obrębie danego systemu językowego. Zjawiska takie jak rym, rytm, gra słów oparta na polisemii i homonimii, paronimii, homofonii i homografii, aliteracje, nazwiska znaczące itp., opierają się właśnie na tego typu odniesieniach. Przyjrzyjmy się następującym zdaniom:

1. Chrząszcz brzmi w trzcinie.
2. Szczygieł szcza w szczawiu.
3. Pijak pije w piwnicy.
4. Kot miauczy w ogrodzie.
5. Hulali po polu i pili kakao.
6. Chodzili po rynku i kradli portfele.

Cztery pierwsze zdania mają identyczną strukturę. Jakiś ożywiony podmiot (niekoniecznie człowiek) wykonuje gdzieś pewną czyn-

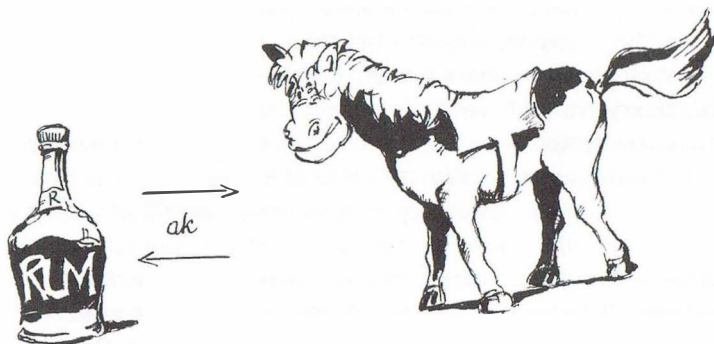
ność. Z łatwością zbudujemy podobne zdania w wielu innych językach. Mogą się co prawda pojawić trudności ze znalezieniem stylistycznie nacechowanych leksemów, takich jak „pijak”, „szczać”, albo odpowiedników specyficznych przedstawicieli fauny – chrząszcza i szczygła, czy też flory („szczaw”), samo tłumaczenie nie będzie jednak zadaniem trudnym. Tymczasem z punktu widzenia odniesień intralingwalnych zdania te nie są bynajmniej jednakowe. Pierwsze jest znaną wprawką fonetyczną dla cudzoziemców uczących się polskiego, która w sposób szczególnie intensywny – i w pewnym sensie nienaturalny – operuje spiętrzeniem trudnych do wymówienia spółgłosek. Podobną wprawką jest dla dzieci z trudem opanowujących wymowę fonemu „r” zdanie: „Czarna krowa w kropki bordo gryzła trawę, kręcąc mordą”. Drugie zdanie jest tworem okazjonalnym, zbudowanym na zasadzie aliteracji, trzykrotnego powtórzenia nagłosowego „sz”. Trzecie również zawiera aliterację (pi... pi... pi...), aktualizuje jednak także etymologię słowa „piwnica”. Czwarte zdanie natomiast jest ze względu na znaczenia interlingwalne mniej nacechowane. Gdybyśmy jednak chcieli dopisać do niego dalszy ciąg w postaci wiersza, jego cechy formalnojęzykowe staną się istotne – rytm, rozłożenie akcentów, liczba sylab w zdaniu, wreszcie ostatni wyraz, do którego należy dobrać rym. Rezultat takiego uzupełnienia mógłby wyglądać następująco:

Kot miauczy w ogrodzie,
Ma łatkę na brodzie.

Oczywiście nie ma to za wiele sensu, ale w dopisanym wersie „łatka” (dwie sylaby, akcent), a zwłaszcza „broda” (rym), pojawiły się przede wszystkim ze względu na istniejące relacje między znakami. Piąte z zacytowanych zdań miał ponoć wypowiedzieć Melchior Wańkowicz, poproszony przez cudzoziemców o powiedzenie czegoś po polsku. Zdanie to w sposób żartobliwy nasycone jest aliteracjami imitującymi nieomal jakieś narzecze polinezyjskie. Ostatni przykład ma tę samą strukturę i ten sam rytm, dotyczy jednak zupełnie innej sytuacji. Jeśli zestawimy ze sobą oba zdania, powstanie efekt komiczny, polegający na podobieństwie rytmu oraz budowy zdania i różnicy w sferze treści.

Znaczenia interlingwalne to także znaczenia gramatyczne. Istnieją mianowicie w językach znaki nieodnoszące się samodzielnie do rzeczywistości pozajęzykowej, funkcjonujące jedynie w ramach danego systemu. Wyrażają one różnorakie kategorie gramatyczne. Na przykład przyrostek „-ek” oznacza w języku polskim deminutywizację, czyli zdrobnienie: pies – piesek. Podobnie jest w niemieckim, gdzie funkcjonują „-chen”, „-lein”, a w dialektach południowych „-l” – *Mädchen, Fähnlein, Zuckerl*. Język angielski natomiast wyraża zdrobnienia środkami leksykalnymi – a *little dog*. Jest to istotna różnica. **To, co niektóre języki wyrażają środkami gramatycznymi, inne wyrażają środkami leksykalnymi.** Polskie zdanie: „Chadzałem tam często” (występuje w nim kategoria tzw. aspektu, wyrażająca wielokrotne powtarzanie się czynności) trzeba na przykład przetłumaczyć na niemiecki za pomocą środków leksykalnych – *Ich pflegte dorthin zu gehen* (Miałem zwyczaj tam chodzić). Istotna jest przy tym następująca tendencja: treści przekazywane za pomocą środków gramatycznych **muszą** na ogół zostać wyrażone przez dany język, w przypadku środków leksykalnych natomiast takiego przymusu wyrażeniowego nie ma (por. ➤ **REGUŁA JAKOBSONA**).

Relacje intralingwalne bywają bardzo często wykorzystywane w tzw. **żartach językowych**. Oto przykład takiego żartu, którego przedmiotem są właśnie znaczenia wewnątrzjęzykowe: Jaka jest różnica między koniem i koniakiem? Taka sama, jak między rumem i rumakiem. I rzeczywiście tak jest. Przyrostek „-ak” w obu przypadkach zamienia trunek w zwierzę, relacja jest więc symetryczna.



Przypomina się w tym miejscu inny podobny żart językowy – jaka jest różnica pomiędzy słoniem a wystawą? Żadna, bo słonia można zawsze wystawić, a wystawę zasłonić. Gra słów możliwa jest dzięki podobieństwu leksemów „słoń” i „zasłonić”. Takie podobieństwa wykorzystał Tuwim w jednym z wierszy dla dzieci, w którym występują raki raczące się winkiem, zając, który zajęczał, i kurczę, co się skurczyło. Zgodnie z tą tendencją byk, który zmałał, to skurczybyk. Na wieloznaczności i podobieństwie leksemów opiera się większość gier słownych. Zdanie: „Konduktor miał pociąg do wódki” uświadamia nam, że słowo „pociąg” ma dwa znaczenia, odnosi się bowiem do obu możliwych znaczeń, kolejowego i nałogowego naraz.

Podobieństwo znaków językowych prowadzi czasem do błędnych skojarzeń, a w konsekwencji do powstania form niepoprawnych, które w pewnych środowiskach jednak się przyjmują. Na polskiej wsi funkcjonował „niziniar”, w sferach małomiasteczkowych „dzińdziniar” (zamiast inżyniera, któż bowiem słyszał tam o francuskim *ingenieur* czy angielskim *engineer*, „nizina” i „dzyń-dzyń” natomiast były zupełnie swojskie).

Analogiczna jest geneza takich niepoprawnych form, jak „dania rajskie” (zamiast jarskie), „lewozmywak” (zamiast zlewozmywak), „mimośrób” (zamiast mimośród), „fermentyczny” (zamiast hermetyczny). Tego typu zniekształcenia są wdzięcznym tematem dla autorów tekstów kabaretowych – wystarczy przypomnieć popularną humoreskę, w której w rozmowie telefonicznej nazwy ras psów zestawione zostają z podobnie brzmiącymi wyrazami (akustyka rozmowy pozostawia wiele do życzenia): buldog – bulgot, wyżeł – tyżew, seter – sweter, jamnik – jajnik.

Podobieństwo postaci fonetycznej niektórych sformułowań do charakterystycznych cech określonych języków obcych umożliwia kreowanie żartobliwych sentencji czy nazwisk. A oto kilka przykładów: pseudotacina – „Kra krę mija, tu lis ma norę, a ja nos trę” (należy czytać bez nazalizacji i segmentacji, akcentując takie elementy, jak „mija”, „tulis”, „manore”, „nostre”), nazwiska niby-hispańskie – *don Valgo Desco* (wał go deską) czy *senorita de Varga y Mocra*. Zbliżonym zjawiskiem są tzw. **nazwiska znaczące**, nadawane bohaterom literatury pięknej. Dyndalski, Milczek, Zolżikiewicz,

Wurm (robak), Скотинин, spolszczony *nota bene* przez Sandauera jako Bydlakin (ros. скотина – bydło; LEBIEDZIŃSKI 1981:133). W życiu codziennym nazwiska odbieramy bez skojarzeń odnoszących się do ich postaci językowej. Zdarzyć się jednak może, że kontekst lub sytuacja zaktualizują znaczenie danego nazwiska, jak na przykład w następujących zdaniach: „Kolega Mazgaj o mało co się nie popłakał na zebraniu”; „No i po co poszła do lasu z tym Kusibabem?”; „Dyrektor Sokół pojedzie pociągiem, bo boi się latać”. Nie na darmo starożytni mawiali: *nomen est omen*. TĘCZA (1997:62) przytacza wykreowane przez Stanisława Lema żartobliwe nazwiska, których postać fonetyczna zbieżna jest ze słowami „żyrandol” i „kandelabr”, pisownia sugeruje natomiast arabskie, francuskie bądź angielskie pochodzenie ich właściciela: *Khand el Abr, Canne de la Breux, Guirre Andaule, G.I.R. Andoll*. Podobny zabieg graficzny zastosował Lem, „parafrazując ortograficznie” nazwiska znanych postaci: *A. Tylla, H. Errod, H. Ohmer, P. Latton, Eug. Clydes, H. Yobb, Harry S. Totteles* (TĘCZA 1997:62).

Innym wdzięcznym zabiegiem gry z językiem jest **zmiana segmentacji** wypowiedzi (podziału na wyrazy) w taki sposób, aby otrzymać nowe, stwarzające zaskakujące możliwości interpretacji. Tą drogą dążyli autorzy reklamy MARIOLA O KOCIM SPOJRZENIU – o kocim = okocim (marka piwa). Zmianą segmentacji posługują się również takie żarty, jak „dlaczego «kieł basa», a nie «zab tenora?»” czy też „Pan Tofel (pantofel) był całkowicie zdominowany przez żonę.” W latach 70. bywalcy jakże nielicznych kabaretów politycznych nie posiadali się z radości, mogąc wyłowić z ciągu zdania „I zarzy nawet ogierek” nazwisko I Sekretarza PZPR. Na zmianie segmentacji opiera się także poniższy wierszyk:

Rozmyślał rekin, płynąc na żer
Wzdłuż stalowego kadłuba:
Dlaczego tak ważny jest mini-ster,
A nic nie ważna maxi-śruba?

Istnieją również zabawne odniesienia do cech charakterystycznych dla języka nauki, **terminologii** fachowej – medycznej, chemicznej itp., wykorzystujące typowe rejestry czy zabiegi słotwórcze.

Na przykład: „Doktor zaaplikował niesfornemu pacjentowi WMORDAN FORTE.” Podobnie pseudonaukowy charakter miały żartobliwe określenia skutków niedyspozycji gastrycznej, której ulegali bywalcy schronisk górskich, korzystający z tamtejszej kuchni – „trójpierzdan grochu” (chemia) albo „podkołdernik zjadliwy” (botanika, biologia). Charakterystyczne jest, że tego typu gry słowne w sferze referencyjnej odnoszą się zazwyczaj do treści tabuizowanych przez społeczeństwo (➤ **WULGARYZMY**). Ale właśnie zderzenie pseudonaukowej terminologii (formy) i niecenzuralnej treści daje efekt komiczny.

Zaskakujące odniesienia do innych znaków danego języka mieć mogą także **skrót** i **skrótowiec**. Przed wojną YWCA kojarzona była z owcą. Autorzy nazwy Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki wykazali się nie lada humorem, skrótowiec brzmi bowiem bardzo sympatycznie – PUPiK. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej to MOPS. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego – WRON – kojarzona była z wroną i na wizerunek tego ptaka istniał nawet zapis cenzury. Jeszcze gorzej miał się PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego) – złośliwcy akcentowali podobieństwo fonetyczne do słowa „prącie”, a w tzw. drugim obiegu pojawiła się nawet mała zielona plakietka z jednoznacznym rysunkiem. Osobnym zagadnieniem jest dorabianie do istniejących skrótów prześmiewczych czy deprecjonujących rozwinięć, jak np. PKP – Powoli, Kochani, Powoli; PPR – Płatne Pachołki Rosji; RWPG – Ruskim Wsio, Polaczkom Gawno, czy też – do rosyjskiego skrótu CCCP – Cep Cepa Cepem Pogania. Widniejący na poznańskim osiedlu neon OSIEDLE RUSA (tego trzeciego od Lecha i Czecha), był w latach 80. niemal zawsze uszkodzony w taki sposób, że nad blokowiskiem widniał nieprawomyślny napis OSIEDLE USA. Taka „kosmetyka napisów” zdarzała się i gdzie indziej. Po 1989 roku nastąpił żywy rozwój handlu, nie zawsze jednak dawne szyldy pasowały do nowej rzeczywistości. Właściciel sklepu przy Krupówkach w Zakopanem, nad którym widniał neonowy napis DROGERIA, usunął litery D, l oraz A, tak że pozostał kosmopolityczny ROGER. Podobnie sklep z konfekcją męską ADAM przy placu Wolności w Rzeszowie zmienił swój szyld na ADAM’S.

A więc gra ze znaczeniami wewnątrzsystemowymi, intralingwalnymi to nie tylko domena żartu. Trafnie sformułowana rekla-

ma czy zabawnie pomyślany sztyld mogą dać wymierne korzyści (> **TŁUMACZENIE REKLAM**). PRZYJAŻŃ NA CAŁE SZYCIE to świetnie pomyślana reklama maszyn do szycia. Słowa „szycie” i „życie” różnią się tylko jedną cechą – dźwięcznością w nagłosie. Przez podobieństwo fonetyczne reklama sugeruje, że przyjaźń z maszynami tej firmy będzie dozwolona. Podobnie postąpiła pewna firma niemiecka, posługując się grą słów *zuverlässig* – *schuhverlässig*. Zeszłego lata dojrzeć można było na billboardach (zapożyczenie!) reklamę składającą się z trzech słów: MAJ, CZERWIEC, ŻYWIEC. Z pozoru bez sensu. Ale odwołując się do relacji intralingwalnych, od razu wyłowimy intencję reklamodawcy. Każdy ma w pamięci sekwencję miesięcy MAJ, CZERWIEC, LIPIEC. Zamiast lipca pojawia się ŻYWIEC, ma jednak tę samą końcówkę „-iec”, wpisuje się więc jak gdyby w ciąg miesięcy, sugerując nieodwołalnie: w lipcu – żywiec. Reklama amerykańskich papierosów GOLDEN AMERICAN posłużyła się hasłem: „Twoje stany wyzwolone” (analogia do Stanów Zjednoczonych, możliwa dzięki wieloznaczności słowa „stan”). Kolejne plakaty operowały neologizmami, zbliżonymi fonetycznie do nazw stanów amerykańskich – Beztraska (Nebraska), Koloradość (Kolorado), Spontana (Montana), Bawizona (Arizona), Sexas (Texas), zawierającymi równocześnie odniesienia do słów nacechowanych pozytywnie, sugerujących wyzwolenie: kolorowy, beztroska, spontaniczność, zabawa, seks. We wspomnianej reklamie pragmatyczny i interlingwalny aspekt zagadnienia połączony został bardzo skutecznie. A napój owocowy z Nowego Sącza zachęcał: „Nowy Sącz mnie”.

Tego typu wykorzystanie relacji intralingwalnych, zwłaszcza w celu wzmocnienia siły oddziaływania komunikatu i przyciągnięcia uwagi czytelnika, często stosują media. W *Gazecie Wyborczej* przeczytać można było tytuł „WYMYSZLILI”. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na błąd lub żart rodem ze szmoncesu. Tymczasem chodziło o coś zupełnie innego, a mianowicie o MYSZ transgeniczną, którą „wymyślili” (spreparowali) naukowcy. A więc rzeczywiście WYMYSZLILI...

Jeżeli dowolną parę języków porównamy pod względem występujących w obu systemach relacji intralingwalnych, okaże się, że różnice są bardzo duże. W przypadku języków spokrewnionych ze sobą nasili się zjawisko podobieństw pozornych (➤ **FALSZYWY PRZYJACIEL TŁUMACZA**). Nie dla wszystkich jednak rodzajów tłumaczonych tekstów relacje te mają istotne znaczenie. W tekstach fachowych, informacyjnych, koncentrujących się na treści, **postać komunikatu** nie ma szczególnego znaczenia (ale i tutaj trzeba uważać, może się bowiem zdarzyć na przykład, że sformułowanie w oryginale jednoznaczne, w tłumaczeniu okaże się wieloznaczne), generalnie jednak rzecz ujmując – **jednoznaczność** i zrozumiałość ważniejsze są od kwestii dotyczących formy. Nie znaczy to jednak, że tekst tego typu może być przetłumaczony niechlujnie, topornie, w sposób lekceważący estetyczną stronę wypowiedzi. Wszyscy znamy instrukcje obsługi przeładowane trudno zrozumiałą terminologią (w tym przypadku dążenie do jednoznaczności odbywa się kosztem łatwości odbioru tekstu), teksty fachowe zawierające potworki typu „młodzież chlewna” (prosięta), „upiór dzienny” (rzeczy uprane przez pralnię w ciągu dnia), dopuszczalne być może kręgu fachowców danej branży, szokujące jednak zwykłego odbiorcę. Tekst „techniczny” zawierać może także elementy reklamy, posługujące się właśnie grą słów czy żartem językowym, poza tym jego postać i – co za tym idzie – komfort lektury wpływają na wizerunek firmy.

Znaczenia intralingwalne są jednak niezwykle istotne w przypadku tłumaczenia tekstów artystycznych (literatura piękna), apelatywnych (reklama, publicystyka, polityka) czy medialnych. Wieloznaczność (*ambiguity*) i odniesienia do innych znaków tego samego języka stają się często przedmiotem gry z odbiorcą, polem swoistej zabawy, estetycznej funkcjonalizacji wypowiedzi. Służą wywołaniu emocji, podświadomych skojarzeń, ośmieszeniu lub uwzniośleniu przekazywanych treści. Wszystkie przytoczone w podrozdziale

(> **ZNACZENIA INTRALINGWALNE**) przykłady mogłyby się pojawić w tekstach rzeczonoego typu, stwarzając tłumaczowi istotne problemy. Odniesienie konkretnej wypowiedzi do danego systemu językowego daje się z trudem przenieść na grunt innego języka, wspomniane relacje są tam bowiem z natury rzeczy inne. Można zatem zadać pytanie, czy relacje intralingwalne, a co z tym idzie ich specyficzne zastosowanie w komunikacji, są w ogóle przetłumaczalne? Odpowiedź nie jest prosta, **każdy konkretny proces przekładu zdeterminowany jest bowiem przez zespół określonych przez daną sytuację komunikacyjną czynników**. W przypadku rozwinięcia skrótu PPR jako „Płatne Pachołki Rosji” (w latach 40.), a skrótu PZPR jako „Płatni Zdraycy Pachołki Rosji” (po 1989 roku), chodzi o fakt historyczny, tłumaczenie wymaga więc przypisu, samo rozwinięcie skrótu bowiem nie wystarczy. Inaczej rzecz się ma z literaturą piękną, w której fakty pozajęzykowe nie wiążą tłumacza w sposób tak obligatoryjny, mamy tu bowiem do czynienia z tekstami fikcyjnymi. W *Dziennikach gwiazdowych* Lema pojawia się instytucja pod nazwą Centralny Instytut Pełnej Estetyzacji Kończyn. Skróć, czy też – bardziej uczenie mówiąc – skrótowiec inicjalny, brzmi swojsko i nieco frywolnie – CIPEK (przykład podaję za: TĘCZA 1997:167). Przetłumaczenie części składowych nazwy tej „instytucji” na niemiecki (*Zentrales Institut für volle Ästhetisierung der Extremitäten*) daje skrót ZIVÄEX, który w bardzo odległy sposób przypomina termin Zervix, oznaczający szyjkę macicy (*op. cit.*). To trochę mało. Inaczej jednak, niż w przypadku PUPiK-u, CIPEK nie jest zakorzeniony w żadnej konkretnej rzeczywistości poza językową i fikcyjną. Zamiast tłumaczenia poszczególnych składników nazwy, można by więc pokusić się o wykreowanie nazwy „instytucji” w języku docelowym, umożliwiającej skrót o analogicznym działaniu, np. **FORschungsZEntrum für Reästhetisierung der Langbeine** (FOZERL, ortograficznie poprawnie Votzerl, ale fonetycznie mniej więcej to samo, co CIPEK, por. **WULGARYZMY**). Skonstruowanie powyższej nazwy było możliwe jedynie za cenę pewnych substytucji. Centralny Instytut zamieniony został na Centrum Badawcze, określenie Pełna Estetyzacja zastąpiono Reestetyzacją, kończyny zaś – Długimi Nogami. W odniesieniu do realnie działającej instytucji taki zabieg byłby niedopuszczalny. W świecie fikcyjnym jest on możliwy, pod

warunkiem jednak, że świat przedstawiony w utworze pozwala na takie modyfikacje.

Okazuje się, że w niektórych typach tekstów występowanie pewnych relacji interlingwalnych i cech formalnych (gra słów, rym, rytm) jest **istotniejsze od treści** przekazywanej przez znaczenia referencyjne. W przytoczonych na początku niniejszego wywodu rozważaniach na temat możliwości przetłumaczenia dowcipu politycznego o agrafkach spacerujących w sklepie papierniczym okazało się wyraźnie, że niektóre znaczenia referencyjne, tzn. rodzaj sklepu i spacerujących przedmiotów, są mniej istotne od samej relacji pomiędzy leksemami określającymi spacerujące przedmioty a leksemami związanymi z policją, więzieniem itp. Podobnie rzecz się ma z żartobliwym wierszykiem Morgensterna, w którym omawiane zjawisko (prymat cech formalnych nad treścią) nazwane zostało po imieniu:

Ein Wiesel
saß auf einem Kiesel
inmitten Bachgeriesel.
Das raffinierte Tier
Tat's um des Reimes Willen.

(za: LEVY 1969:103)

Tak zwane dosłowne (lub prawie dosłowne), ograniczone do znaczeń referencyjnych, tłumaczenie brzmi mniej więcej tak: „Łasica siedziała na żwirku pośród płynących (wód) potoku. To wyrefinowane zwierzę czyniło to wyłącznie dla rymu”. Komentarz dodany do zwrotki sugeruje wyraźnie, że łasica (*Wiesel*) znalazła się w wierszu tylko ze względu na możliwość zrymowania ze słowami *Kiesel* i *Bachgeriesel*. W ogóle cała „sceneria” wierszyka powstała z uwzględnieniem owej „rymowalności”. Tłumacząc ten wierszyk, możemy zatem śmiało zmienić rodzaj zwierzątka, a nawet całą scenerię, jeśli tylko uda nam się nasycić nasz przekład odpowiednią liczbą rymów. A więc na przykład: „Paw przepłynął staw wptaw” albo: „Rak wlaż na krzak i siał mak”, albo: „Glista umyta do czysta grała w wista”. Zauważmy przy tym, że im bardziej absurdalne jest zachowanie danego stworzenia, tym sensowniejszy staje się komentarz w nawiasie. Takich

wierszyków naprodukować można wiele (> **WIELOŚĆ MOŻLIWYCH ROZWIĄZAŃ**). Dzięki wprowadzeniu kilku niewielkich modyfikacji (substytucje, zdrobnienia), analizowany wierszyk można przetłumaczyć nawet z zachowaniem znaczeń referencyjnych: „Łasiczka siedziała na kamyczkach pośrodku strumyczka”. Takie rozwiązanie posługuje się jednak dla rymu końcówką zdrabniającą, co pod względem estetycznym jest mniej wartościowe.

Relacje wewnątrzsystemowe, znaczenia interlingwalne, krótko mówiąc – specyficzne cechy danego systemu językowego – wywoływać mogą, jak już wspomniano, określone problemy translatorskie nie tylko w przypadku tekstów nacechowanych formalnie. A oto – *pars pro toto* – przykład z dziedziny słowotwórstwa. Jeżeli porównamy język polski i niemiecki, okaże się, że „kompozycja jest w języku niemieckim procesem znacznie częściej wykorzystywanym niż w języku polskim, poszerzającym leksykę w dużym stopniu przez derywację” (BERDYCHOWSKA 1996:32). Bardzo popularnym sufiksem służącym do tworzenia nowych leksemów jest „-ÓWKA”. Ówkę napotykałyśmy na każdym niemal kroku (żarówka, ogonówka, budżetówka). Jako użytkownicy języka zżyliśmy się z nią, na co dzień nie dostrzegamy jej specyficznej „niesforności”. Objawia się ona dopiero w procesie przekładu. Posłuchajmy zatem *Historii o kapryśkach pewnej Ówki*. (Ta partia wywodu napisana została częściowo w konwencji „bajki”. Osoby nie lubiące żartów mogą pominąć poniższy passus.)

W języku polskim istniała sobie końcówka o wdzięcznej postaci Ówka. W sytuacjach oficjalnych nazywana była sufiksem derywacyjnym, nie lubiła jednak tego miana, ponieważ zmieniało jej subtelną kobiecość (*femininum*) w obco brzmiący, zmaskulinizowany sufiks. Znacznie bardziej wolała określenie „kończówka”, a ponieważ często wpadała w narcyzm, a nawet samouwielbienie, cieszyło ją szczególnie, że jej własna istota zawarta jest w jej nazwie – końc-ÓWKA. Miała wielu przyjaciół, którzy w sytuacji intymnej łączliwości mówili do niej „kończoweczko”. Nic więc dziwnego, że towarzyska Ówka wchodziła w liczne związki. Czułaby się w tych sytuacjach bardzo dobrze, ale jeden istotny drobiazg spędzał jej sen ze ślicznych powiek. Należąc niewątpliwie do wielkiej rodziny znaków językowych, zdawała sobie sprawę, że każdy znak powinien mieć jakieś znaczenie. Oczywiście

wiedziała, że istnieją twory językowe jedynie imitujące znaki, a nawet całe teksty składające się z takich niby-słów, jak na przykład taka sobie wdzięczna strofka, w której zresztą i ona sama występowała:

Rando

Eso smilo rando,
Opulnei brówka,
Rovod tila glando
E ogonel wuwka.

Otóż Ówka, zapytana o to, co ona sama właściwie znaczy, rumieniła się z zakłopotania i spuszczała oczy. Nie lubiła bardzo tego pytania, bo musiałaby odpowiedzieć: „nic” albo: „bardzo wiele”. W związkach ze swoimi licznymi przyjaciółmi znaczyła za każdym razem coś innego, chociaż nie zawsze było do końca jasne, co. W samotności i odłączeniu jej tożsamość się zatracala. Zazdrościła kuzynom i kuzynkom o wyraźnie określonym znaczeniu. Szczególnie nie lubiła przedrostka ANTY, wydawał się jej bowiem antypatyczny. Ale – jak to w bajce bywa – pojawił się pewnego dnia szlachetny książę INTERPRETARY, zwany Translatorem. – Jeżeli będziesz mi posłuszna i zgodzisz się, abym cię zaprowadził do królestw Innych Języków, dowiesz się, kim jesteś – kusił Interpretary. Ówka podobała mu się ze względu na wieloznaczność. Trzpiotka (można ją tak chyba nazwać z powodu znaczeniowej niestałości) zgodziła się chętnie. Niestety, inaczej niż w większości bajek, nie możemy napisać, że żyli długo i szczęśliwie, i wszystko skończyło się dobrze. Podobnie jak w życiu, problemy pojawiły się dopiero później. W trakcie licznych podróży do królestw Innych Języków Ówka nie zawsze dowiadywała się, co naprawdę znaczy. Bywało, że sam Interpretary czuł się niepewnie i mętnie kręcił. Dotarli jednak do krainy, w której Ówka poczuła się wreszcie doceniona. Było to Królestwo Germanii. Niezwykle solidni i dokładni mieszkańcy tego państwa w każdym niemal przypadku domagali się określenia jej tożsamości. I Ówka wreszcie uwierzyła w siebie.

Porzućmy konwencję bajki i przejdźmy do konkretnych przykładów. Jak już wspomniano, język niemiecki zdradza szczególną

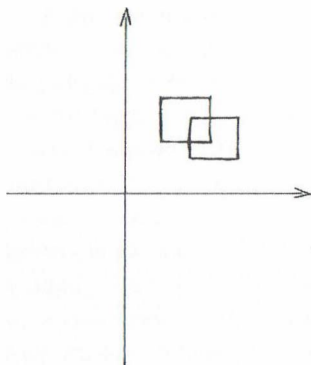
skłonność do tworzenia złożeń (komposita). Polskie wyrazy z końcówką -ówka tłumaczone są najczęściej właśnie za pomocą dwuczłonowych złożeń (wyrazu określającego i określanego). Charakter takiego złozenia wymaga, aby w trakcie tłumaczenia bliżej nieokreślone znaczenie -ówki zostało dokładnie wyeksplikowane:

podstawówka – *Grundschule* – szkoła podstawowa
ciężarówka – *Lastwagen* – samochód ciężarowy
makówka – *Mohnkapsel* – główka maku
szampanówka – *Sektflöte* – „flet” do szampana...?

Podobnie dzieje się w przypadku takich leksemów, jak „próbówka” – *Reagenzglas*, „kranówka” – *Leitungswasser*, „porodówka” – *Kreißsaal*. Ówka za każdym razem domaga się dookreślenia. Trudności pojawiają się w przypadku, gdy -ówkę można różnie interpretować, a z kontekstu nie wynika, o co chodzi. A zatem – „siatkówka” (gra lub część oka), „parówka” (kiełbaska lub łaźnia parowa), „wiatrówka” (kurtka lub karabinek). Niekiedy „ówka” zastosowana zostaje w sposób okazjonalny. Wbrew słownikowi, zdanie: „Zastrajkowała stalówka” niekoniecznie oznacza kłopoty z piórem, ale strajk w przemyśle stalowym. Bywa, że konkretne znaczenie -ówki wymaga pewnej wiedzy. Nie każdy cudzoziemiec domyśli się od razu, że ogonówka to szynka, karkówka to rodzaj pieczeni wieprzowej, piersiówka natomiast to mała płaska butelka. Czasami wiedza ta ma charakter informacji odnoszącej się do historii, polityki czy realiów. Kadrówka to Pierwsza Brygada, Filmówka to Szkoła Filmowa w Łodzi, maciejówka, leninówka i degolówka to różne rodzaje czapek (też – nawiasem mówiąc – niepozbawione konotacji politycznych i historycznych), Pigoniówka zaś to bursa imienia profesora Pigionia w Krakowie. Skromny przykład „-ówki” pokazuje, jak dalece fenomeny wewnętrzny-systemowe wpływać mogą na rozumienie tekstu i – co za tym idzie – proces przekładu.

Hierarchia rodzajów znaczenia a typ komunikatu

W rozważaniach wstępnych powołaliśmy się na koncepcję **INWARIANTU**, czyli wszystkich tych parametrów tłumaczonego tekstu, które przy porównaniu translatu z oryginałem pozostają **niezmienne**. Jak już wielokrotnie podkreślałem, oryginał i translat muszą się od siebie różnić; nawet te z pozoru identyczne różnią się w oczywisty sposób, np. postacią fonetyczną, rytmem, wokalizmem, możliwymi konotacjami i odniesieniami w sferze intralingwalnej. Schematycznie można przedstawić to następująco, przy czym „układ współrzędnych” sugeruje tu jedynie system możliwych odniesień.



Inwariant to na rysunku wspólne pole obu kwadratów. Ale to „niezmienne pole” może być rozpatrywane przynajmniej dwojako: **absolutnie** (tzn. w oderwaniu od konkret-

nej sytuacji translatorycznej, danego procesu przekładu), albo **dynamicznie** (tzn. z uwzględnieniem wszystkich czynników determinujących ten proces). Przypomina to nie bez powodu rozróżnienie pomiędzy ekwiwalencją absolutną i dynamiczną, albowiem inwariant i ekwiwalencja są od siebie niejako zależne. Jeżeli inwariant potraktujemy **postulatywnie**, tzn. przed dokonaniem przekładu określimy, które parametry komunikatu powinny pozostać niezmiennie, to pytanie o zachowanie inwariantu będzie równocześnie pytaniem o ekwiwalencję.

Dynamiczna koncepcja inwariantu zakłada, że parametry tłumaczonego tekstu nie mają z góry określonej hierarchii w procesie

przekładu, np. że oddanie sensu jest zawsze ważniejsze od zrekonstruowania cech formalnojęzykowych. Taka hierarchia musi zostać dopiero **wypracowana** w każdym konkretnym przypadku. Tłumaczenie jest bowiem procesem każdorazowo zdeterminowanym przez bardzo wiele a *priori* trudno przewidywalnych czynników (> **MODEL**).

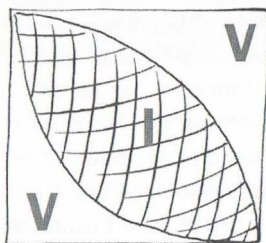
Dotychczasowe rozważania na temat znaczenia wykazały, że każdy znak może być rozpatrywany w systemie trojakich odniesień – referencyjnych (denotatywnych), pragmatycznych (konotatywnych) i intralingwalnych (wewnątrzsystemowych). Każde z nich stać się mogło źródłem określonych problemów i trudności w procesie przekładu. Zależnie od typu tekstu zmienia się jednak **względna ważność** znaczeń typu referencyjnego, pragmatycznego i interlingwalnego. Innymi słowy, do postulatywnie pojętego inwariantu niekoniecznie należą wszystkie te znaczenia **naraz**. LEVY (1969:19) zilustrował to za pomocą następującej tabeli.

	A	B	C	D	E	F	G
znaczenie							
denotatywne	i	i	i	i	i	i-v	i-v
znaczenie							
konotatywne	v	i-v	i	i	i	i	i
klasyfikacja							
stylistyczna słowa	i-v	i	i	i	i	i	i
budowa zdań	v	i-v	i	i	i	i	i
rytm, rym	v	v	v	i-v	i	i	i-v
długość							
i wysokość samogłosek	v	v	v	i-v	i-v	i	i
charakter artykulacji	v	v	v	i-v	i-v	i-v	i

i – inwariant, v – wariant, A – tekst fachowy, B – publicystyka, C – proza artystyczna i dramat, D – wiersz wolny, E – wiersz rymowany, F – libretto, G – dubbing

Poszczególne rozstrzygnięcia autora tabeli można by poddać krytyce – w dubbingu czy w librecie na przykład budowa zdania niekoniecznie należy do inwariantu, może zostać zmieniona. Ważniejsze jest jednak, że tabela ujawnia pewną istotną tendencję, a mianowicie to, że parametry ważne dla jednego typu tekstów są

– ogólnie rzecz biorąc – nieważne dla innych. W polu przytoczonej powyżej tabeli prawidłowość ta wygląda następująco:



>V – tendencja ku zmienności (wariantywność)

> I – tendencja ku niezmienności (inwariantywność)

Interpretując niniejszy schemat, spostrzec możemy łatwo, że „obszary wolności” (v – wariantywność) usytuowane są w ten sposób, że „wolność” dla tekstów fachowych i informacyjnych zwiększa się w obszarach dotyczących postaci tekstu, „wolność” dla tekstów nacechowanych formalnie i apelatywnie wzrasta natomiast w zakresie znaczeń referencyjnych. Czyli jak gdyby „coś za coś”. Tłumaczowi największe trudności sprawia zatem gruby „środek soczewki”, gdzie niejednokrotnie konieczne jest **równoczesne** uwzględnienie znaczeń referencyjnych, pragmatycznych i intralingwalnych. W takim przypadku trzeba dokonywać **wyborów** niejednokrotnie zmieniających sens przesłania.

Rozdział III

kolokacje

Kolokacje

Cytowany już pan Zagłoba zwykł był mawiać: „Kupą, mości panowie”, szlachta zaś zbierała się na tzw. kolokacje. (Zjazdy te zajmowały się m.in. uporządkowaniem wierzytelności.) W naszym przypadku chodzi jednak o coś innego, a mianowicie o stałe związki wyrazowe.

W swej definicji związków łączliwych Skorupka podaje, że są to jednostki leksykalne, „których stopień spoistości jest znaczny, ale składniki ich nie uległy leksykalizacji”. [...] Podane przez niego przykłady „dobry, różowy, świetny, zły humor” stanowią połączenie rzeczownika z przymiotnikiem. Można je uzupełnić przykładami połączeń rzeczownika z czasownikiem (odnosić sukces, iść na kompromis, świadczyć usługi), rzeczownika z rzeczownikiem (przygotowywanie lekcji, organ administracji, osiągnięcie rezultatów), czasownika z przysłówkiem (biec szybko, opróżnić całkowicie, służyć wiernie) lub przymiotnika z przysłówkiem (zbyt ciekawy, denerwująco jednostajny, uderzająco trafny) (DZIERŻANOWSKA 1988:31n.).

Jak wynika z powyższego cytatu, kolokacje to najczęściej wyrażenia i zwroty, w których łączliwość poszczególnych składników jest stosunkowo silna, dla użytkownika języka wręcz obligatoryjna (obowiązkowa). A więc list czy paczkę się „nadaje”, pieniądze „podejmuje”, podanie „składa”, tak samo zresztą jak egzamin. Czasowniki „składać”, „nadawać”, „podejmować” współtworzą również inne kolokacje, np. „nadawać tytuł”, „podjąć obiadem”, „podjąć decyzję”, „składać przysięgę, urząd”. **NORMA JĘZYKOWA** wymaga w określonych sytuacjach stosowania właściwych kolokacji. Są to – ogólnie rzecz biorąc – wyrażenia i zwroty **stereotypowe**, np. „szaleńcza zabawa”, „ostra zima”, „surowy nauczyciel”, „najgłębsze wyrazy

współczucia”, „naruszać prawo” czy „zadawać pytanie”. Stosujemy je najczęściej automatycznie i bezrefleksyjnie, co więcej – wydaje się nam oczywiste, że zima może być ostra niczym szczyryk, a prawo można naruszyć, jakby rzeczywiście było jakąś budowlą albo realnie istniejącym przedmiotem.

Dopiero porównanie z innymi językami, a zwłaszcza proces tłumaczenia, unaocznia fakt, że **kolokacje są specyficzne dla danego systemu językowego**. Podstawowy błąd polega na tłumaczeniu kolokacji poprzez znajdowanie ekwiwalentów dla **poszczególnych** jej składników, czyli odwzorowywaniu kolokacji języka oryginału za pomocą słownikowych odpowiedników, które najczęściej podane są bez kontekstu, „słowniki zawierają bowiem rozwiązania aprioryczne, usytuowane na wysokim piętze ogólności. Często są to przyporządkowania bezkontekstowe” (WAWRZY尼亚K 1991:39). Osoba ucząca się dopiero języka, a także niedoświadczony tłumacz, przyjmują za pewnik, że każdy obcojęzyczny odpowiednik danego wyrazu będzie tworzył w języku docelowym analogiczne kolokacje. **Tak jednak nie jest**. Przytoczone powyżej czasowniki („składać”, „nadawać”, „podjąć”) współtworzyły różne kolokacje. Analogiczne kolokacje w języku niemieckim są za każdym razem zbudowane z różnych składników.

Porównajmy:

składać podanie – *ein Gesuch einreichen*
składać wizytę – *einen Besuch abstaten*
składać urząd – *das Amt niederlegen*
składać przysięgę – *einen Eid leisten*

nadawać tytuł – *einen Titel verleihen*
nadawać list – *einen Brief aufgeben*

podejmować pieniądze – *Geld abheben*
podejmować decyzję – *eine Entscheidung treffen*.

Lista ta jest oczywiście niepełna, sygnalizuje jednak istotę zjawiska. Zapamiętanie i zautomatyzowanie jednego, słownikowego znaczenia nie wystarcza, aby go poprawnie używać. Trzeba

jeszcze wiedzieć, z jakimi innymi leksemami może się łączyć w języku docelowym. Jeżeli tłumaczymy na język obcy, musimy szczególnie uważać, żeby nie odwzorowywać rodzimych kolokacji przez oddanie ich poszczególnych składników, bez zwrócenia uwagi na to, czy takie połączenie jest w języku docelowym poprawne. Pułapki zdarzyć się mogą w sytuacjach zdawałoby się zupełnie bezproblemowych: „myć zęby”, „myć samochód” – *Zähne putzen*, ale *das Auto waschen*, „święta wojna” – *holy war*, „święta krowa” – *sacred cow*.

Całkiem niespodziewanie wydarzyć się może sytuacja określana jako „szok kolokacyjny” (KIELAR 1988:91). Kolokacja przetłumaczona dosłownie brzmi wówczas nie tylko nienaturalnie, ale wręcz śmiesznie albo nawet absurdalnie, łączy bowiem leksemy, które w danym języku łączyć się nie mogą. Wyobraźmy sobie, że ktoś przetłumaczy dosłownie określenie „surowy nauczyciel” na język, w którym określenie „surowy” odnosi się jedynie do mięsa (środowiska ludożercze pomijamy).

Tłumacz powinien wyrobić w sobie szczególną wrażliwość na kolokacje, są to bowiem związki wyrazowe w danym języku skonwencjonalizowane, stereotypowe, a przez to obowiązujące użytkownika. Nawet jeżeli źle przetłumaczona kolokacja jest zrozumiała (np. „on zranił prawo” na podstawie niemieckiej kolokacji *Recht verletzen*), wywołuje u odbiorcy zdziwienie, jest dla niego nienaturalna, nie do zaakceptowania, a zatem „nieakceptabilna” (➤ **GRAMATYKALNOŚĆ versus AKCEPTABILNOŚĆ**).

Idiomy

Idiomy

Trudno nie przyznać, że to właśnie idiomy sprawiają tłumaczom szczególne trudności. *Eo ipso* (czyli z samej swej istoty) są to wyrażenia i zwroty **typowe** dla danego języka, a zatem – zazwyczaj – niemające odpowiedników w języku przekładu. Są to związki wyra-

zowe znacznie silniejsze niż omówione powyżej kolokacje – znaczenie całości nie wynika ze znaczeń poszczególnych składników, innymi słowy – idiom funkcjonuje jako całość. Mówiąc na przykład: „Tu leży pies pogrzebany”, nie mamy na myśli żadnego psiego nagrobka (choć i takie istnieją), lecz tzw. istotę rzeczy czy analizowanego zagadnienia. „Zejsź na psy” oznacza – podobnie jak „pójść z torbami” – deklasację. Na tej samej zasadzie gramy na nosie czy na nerwach, żyjemy na wysokiej stopie, owijamy sobie kogoś wokół palca, idziemy spać z kurami, piszemy na Berdyczów, żegnamy się po angielsku i wychodzimy na tym wszystkim, jak Zabłocki na mydle. Każde z tych idiomatycznych sformułowań oznacza coś zupełnie innego niż dosłowny sens wynikający z sumy składników. Wyrażenia i zwroty idiomatyczne są najczęściej zbudowane na zasadzie obrazowych porównań czy metafor, odwołują się też do funkcjonujących w danej wspólnocie komunikacyjnej cytatów czy utrwalonych przez tradycję powiedzeń. W podobny sposób funkcjonują przysłowia jako przekazywane przez tradycję, najczęściej obrazowe albo sytuacyjnie charakterystyczne sentencje.

Jest zatem rzeczą zupełnie naturalną, że bardzo rzadko odnajdziemy w języku docelowym wyrażenia i zwroty idiomatyczne posługujące się analogicznym obrazowaniem. Nie jest to jednak wykluczające. *Da liegt der Hund begraben, vor die Hunde gehen* są idiomami bardzo podobnymi do polskich „tu leży pies pogrzebany” czy „zejsź na psy”. Dzieje się tak w obrębie kultur sąsiadujących ze sobą, korzystających ze wzajemnych zapożyczeń i wspólnych źródeł. Kultury czy wspólnoty komunikacyjne czerpiące z takich tradycji, jak starożytność i chrześcijaństwo, przesycone są wręcz idiomatyką pochodzącą z tekstów autorów greckich i rzymskich oraz z **BIBLII**, np. „węzeł gordyjski”, „strzała Amora”, „kość niezgody” czy „salomony wyrok”. Wchodzimy tu na teren frazeologii porównawczej. Te z pozoru identyczne frazeologizmy różnią się jednak często drobnymi szczegółami, na które trzeba uważać, zwłaszcza w przypadku cytatów biblijnych. Tłumacze *Biblii* na języki narodowe często znajdowali bowiem w swym rodzimym języku różne ekwiwalenty.

Wróćmy jednak do wyrażań i zwrotów idiomatycznych. Większość z nich nie ma w języku docelowym odpowiedników zbudowanych z analogicznych elementów, wręcz przeciwnie – **idiomy stano-**

wią ekwiwalenty jako całość. Oznacza to, że ekwiwalencja osiągnięta zostaje na poziomie całego wyrażenia, niezależnie od jego składowych części. Istotny jest sens danego obrazu, metafory czy porównania. Kryterium ekwiwalencji stanowi w tym przypadku możliwość zastosowania w analogicznej sytuacji (ekwiwalencja funkcjonalna). Mawiamy czasami: „Na bezrybiu i rak ryba”. Sentencja ta, zawierająca ciekawy „słotwór” – „bezrybie”, bywa czasami realizowana jako „na bezrybiu rak i ryba”, co świadczy o całkowitym odleksykalizowaniu składowych części tego idiomu. Jego sens da się streścić następująco: nie posiadając tego, czego pragniemy, musimy się zadowolić namiastką, surogatem, czymś zastępczym. Innymi słowy – z braku laku i klej dobry. (Nawiasem mówiąc, można tę sentencję zastosować do różnych operacji dokonywanych przez tłumacza w przypadku braku ekwiwalentu.) Wiemy zatem dokładnie, co powiedzenie o raku i rybie oznacza. Tłumacząc, należy pomyśleć o sentencji wywołującej we wspólnocie komunikacyjnej języka docelowego analogiczny efekt. Po niemiecku mogłoby to brzmieć: *In der Not frisst der Teufel Fliegen* („w biedzie diabeł żre muchy”). Dopóki używamy takiego idiomu jako całości, w kontekście sytuacyjnym, bez zwracania uwagi na jego części składowe, ekwiwalencja zostaje zachowana.

Zdarzyć się jednak może, że autor komunikatu (dotyczy to zwłaszcza tekstów literackich, kabaretowych, humorystycznych) zechce świadomie odnieść się do elementów składowych idiomu. Wyobraźmy sobie na przykład scenę filmową, w której bohater zaleca się do niezbyt urodziwej dziewczyny, mającej na sobie bluzeczkę z dużym wizerunkiem raka. W następnej scenie przyjaciel pyta naszego bohatera, dlaczego zaleca się do takiej brzyduli. Odpowiedź brzmi: „Na bezrybiu i rak ryba”. Tego typu przypadki wcale nie są rzadkie, zdarzają się także w dowcipnych rozmowach, okolicznościowych przemówieniach, sprawiając szczególną trudność tłumaczowi ustnemu. Musi on błyskawicznie podjąć decyzję, czy przetłumaczyć idiom dosłownie (jeżeli jest dość obrazowy i może zostać zrozumiany), czy oddać jedynie jego sens. Tłumacz tekstów będzie miał więcej czasu na obmyślenie właściwego rozwiązania.

Niektóre obrazowe idiomy czy kolokacje mogą w pewnych kontekstach zaktualizować znaczenia swych elementów składowych.

Władysław Gomułka miał podobno powiedzieć w jednym ze swoich wielogodzinnych przemówień: „Przed wojną Polska stała na skraju przepaści. Obecnie zrobiliśmy duży krok naprzód”. Idiomatyczne znaczenie powyższych zwrotów to oczywiście „znajdować się w sytuacji zagrożenia, katastrofy” oraz „dokonać postępu”. Zestawione razem, odzyskują swe konkretne znaczenie. Taka wpadka może zdarzyć się również w tłumaczeniu, a to w przypadku, gdy skonwencjonalizowane zwroty języka docelowego utworzą kontekst aktualizujący znaczenia ich części składowych.

Tłumacząc idiomy, pamiętajmy, że w znakomitej większości przypadków najistotniejszy jest **sens** danego idiomu czy frazeologizmu, a nie jego konkretna postać. Wyjątek stanowią teksty nacechowane formalnie, artystyczne, literackie, teksty reklam itp., w których postać idiomu może mieć istotne znaczenie dla komunikatu: „Każdy owoc dałby się pokroić, aby znaleźć się w jogurcie Danone”. Tekst sloganu wykorzystuje zwrot: „dać się za coś pokroić”, aktualizując równocześnie jego konkretne znaczenie. Przekład takiego sloganu staje się trudny w przypadku, gdy w języku docelowym nie występuje analogiczny zwrot. Tłumacz powinien wówczas poszukać innego sformułowania z zakresu „tematyki owocowej” i na jego podstawie zbudować tekst reklamy albo (w ostateczności) wymyślić zupełnie nowy slogan. W tym przypadku ważna jest bowiem nie konkretna treść, ale sam fakt dowcipnej aktualizacji idiomu.

Zbliżony do idiomów charakter mają **PRZYSŁOWIA**. Najczęściej funkcjonują w wypowiedzi jako niepodzielna całość. Adekwatność przysłowia w procesie przekładu polega na ekwiwalencji sytuacyjnej, co oznacza, że daną sentencją posłużyć się można w analogicznej sytuacji, niezależnie od jej konkretnego obrazowania. Mimo wszystko czai się tu pewne niebezpieczeństwo. „Przysłowia ludowe sobie przeczą. I to jest właśnie mądrością narodu” – ten aforyzm Leca zacytowaliśmy już na wstępie. I rzeczywiście, sentencje określane mianem przysłów ilustrują bardzo różne doświadczenia ich autorów, często różnojęzycznych. „Nie suknia zdoła człowieka” – mówi przysłowie polskie, niemieckie zaś *Kleider machen Leute*, czyli coś wręcz odwrotnego – „suknia czyni człowieka”. Ponieważ przysłowia są z natury sentencjami zawierającymi pewien sens lub przesłanie, nie jest całkowiec od rzeczy, aby w konkretnych przy-

padkach braku frazeologicznego ekwiwalentu tłumaczyć je dosłownie, z ewentualnym dodatkiem wyjaśniającym typu: „jak mówi przysłowie polskie, angielskie, niemieckie itp.” Warunkiem takiej operacji jest jednak **zrozumiałość** danej sentencji.

neologizmy

Neologizmy

W każdym systemie językowym pojawiają się od czasu do czasu neologizmy, czyli – mówiąc wprost – nowe, dotychczas nieużywane słowa. Dzieje się tak z różnych powodów, przede wszystkim dlatego, że w otaczającej nas rzeczywistości przybywa nowych, dotychczas nieznanych zjawisk, domagających się językowego określenia. Dotykamy tu ważnego problemu filozoficznego, a mianowicie pytania, czy rzeczywistość „wyprzedza” język, a jeśli tak, to jak bardzo. Autor stoi na stanowisku, że język jest zasadniczo „wtórny” w stosunku do rzeczywistości. Może się jednak zdarzyć, że **pomysł** jakiegoś urządzenia czy zjawiska (a tym samym jego nazwa) powstanie, **zanim** pojawi się ono faktycznie. Takim urządzeniem jest „robot” – nazwa zaistniała, zanim pojawiły się pierwsze roboty. Neologizmy często powstają również w przypadku tłumaczenia **REALIÓW**.

Neologizmy tworzone są zazwyczaj za pomocą środków słowotwórczych charakterystycznych dla danego systemu językowego. Takie twory są zgodne z tzw. duchem języka; z czasem – jeśli pozostają w użyciu – zatracają charakter neologizmu. Twórca neologizmu sięga bowiem na ogół do środków typowych dla systemu słowotwórczego. „Wieżowiec”, „dyskotekowiec”, „szalikowiec”, „oszołom”, „katolewica”, „wałęsówka” – wszystkie te określenia utworzone zostały zupełnie prawidłowo. System danego języka ma też pewne ukryte możliwości, których dotychczas nie wykorzystał, co daje szansę na utworzenie neologizmu. Żartobliwe hasło: „Bądź chłujny i mrawy!” wykorzystuje fakt, że w polszczyźnie istnieją jedynie formy zaprzeczone – niechłujny, niemrawy. Analogicznie, do terminu „macocha” można by utworzyć termin „babcocha” (LEBIE-

DZIŃSKI 1981:53), a do terminu „ojczym” określenie „dziadym”. Bywają też neologizmy „pozasystemowe”, absolutne, „pozbawione oparcia w słownictwie” (TEŃCZA 1997:28). Te ostatnie to najczęściej zapożyczenia, skrótowce itp. – dawne neologizmy, takie jak „nylon”, „dederon”, „ortalion”, oraz słowa wykreowane z wyobraźni, np. tytuł powieści Gombrowicza *Ferdydurke*. Specyficznym przypadkiem neologizmu jest **NEOSEMANTYZACJA**, tzn. nadanie istniejącemu wyrazowi nowego znaczenia. Neologizmy powstają też w miejsce zapożyczeń, np. „lotnisko” zamiast „aerodromu”, „samolot” zamiast „aeroplanu”. Czytelnikom kreatywnym językowo można zaproponować spolszczenie takich słów, jak *joy-stick* (bakwik?), *skyline* (niebokreska? niebolinia? widnoramka?) czy *native speaker* (rzecznik rodowity?).

Wdzięcznym polem do popisu w dziedzinie kreowania neologizmów jest literatura piękna. W światach fikcjonalnych, nie zawsze skrupowanych odniesieniem do rzeczywistości, zwłaszcza w literaturze SF, neologizmy pojawiać się mogą niejako „bezkarnie”, a często są wręcz pożądane. Stały się również przedmiotem żartów językowych i gier słownych.

Dla tłumacza przekładającego z języka obcego istotny problem stanowi **rozpoznanie neologizmów** jako takich. Rodzimy użytkownik języka identyfikuje je niejako automatycznie, ponieważ są w jego doświadczeniu językowym czymś absolutnie nowym, dotychczas niespotykanym, tłumacz może natomiast uznać, że ma do czynienia z leksemem zupełnie zwyczajnym, którego dotychczas nie napotkał w lekturze czy rozmowie. W tekstach fachowych nie ma to większego znaczenia, tłumaczając jednak teksty literackie i pokrewne, powinniśmy zasadniczo zawsze oddać neologizm języka oryginału analogicznym neologizmem języka docelowego, zwłaszcza w przypadku, gdy pełni on określoną funkcję estetyczną czy artystyczną. To samo dotyczy gier słownych i żartów językowych. Lemowskie neologizmy „nogizm”, „rosolizacja”, „preczan” (TEŃCZA 1997:86) i wiele, wiele innych, domagają się wręcz neologizmów w języku przekładu. Muszą one jednak zostać **skonstruowane zgodnie z zasadami słotwórczymi języka docelowego**. Jedyne neologizmy „absolutne”, niezależne od systemu, takie jak „ulder” czy „gilder” (Lem, *Powrót z gwiazd*) mogą zostać przejęte

do tłumaczonego tekstu na zasadzie wykreowanych przez autora pseudoterminów.

Neologizmy „absolutne”, twory językowe (pozornie!) całkowicie oderwane od systemu, zawsze **sugerują** jakieś znaczenie. Przypomnijmy sobie wierszyk *Rando*, przytoczony w lingwistycznej bajce o nadobnej Ówce. Na pierwszy rzut oka jest to tekst napisany w nieistniejącym języku i zupełnie niezrozumiały. Ale z tekstami jest czasem tak, jak z psychologicznym testem Rorschacha – w przypadkowych plamach osoba testowana zawsze doszuka się jakiegoś znaczenia. A więc ten – z definicji nic nieznaczący tekst – można „rozszyfrować” na przykład tak:

Rando	Rano
Eso smilo rando,	Jest miły poranek,
Opulnei brówka,	Opadły ciemne mgły,
Rovod tila glando	Ptactwo śpiewa uciesznie
E ogonel wuwka.	I szczeka pies.

Takie odczytanie tekstu opiera się na skojarzeniach wywołanych postacią tekstu. „Rando” kojarzy się z „rano”. Pierwszy wers brzmi jak zdanie, przy czym „Eso” bliskie jest łacińskiemu *esse*, „smilo” sugeruje coś miłego. „Opulnei” nic co prawda nie znaczy, wygląda jednak jak imiestów przysłówkowy uprzedni, początek – „op-” – może być rozumiany jednak jako „odpłynięcie”, „opadanie”. „Brówka” przez analogię do „borówki” przywołuje granatowy kolor owocu, co w kontekście już rozszyfrowanego poranka jest jeszcze bardziej zasadne. „Rovod” to prawie „owad”, stwór latający, skąd blisko do ptactwa. Pseudoleksem „tila” znajduje się jak gdyby w pozycji czasownika i może być skojarzony ze stylem albo niemieckim słowem *still* (cichy), „glando” natomiast wygląda na przysłówek i kojarzy się z gładkością, galanterią. Ostatnią linijkę rozpoczyna „E”, co znowu może odnosić się do łaciny – *et*. „Ogonel” może sugerować psa merdającego ogonem, zwłaszcza że „wuwka” w odległy sposób przypomina „szczeka” (na zasadzie onomatopei „wuw-wuw”). Mylilibyśmy się jednak, sądząc, że oto „rozszyfrowaliśmy” ostatecznie wierszyk pod tytułem *Rando*. Możliwa jest również poniższa wersja:

Rando
Eso smilo rando,
Opulnei brówka,
Rovod tila glando
E ogonel wuwka.

Widnokraż
Trwa milczenie widnokrażu
Nad obszarem boru,
Rozdroża prowadzą w bezkres,
Ogarnia duszę żal.

Rozważania nad interpretacją tekstów napisanych w nieistniejących językach nie jest bynajmniej sztuką dla sztuki. Tłumacz Lemowskiej *Cyberiady* na niemiecki musiał się nieźle natrudzić, aby przełożyć następujące wersy:

Apentuła niewdziosek, te będy gruvaśne
W koć turmiela weprzącznie, kostrą bajdę spoczy,
Oproszędy zniemęci, wyświrle uwzroczy,
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

Cokolwiek powiedzielibyśmy o powyższej strofie, zachowuje ona w zupełności systemowy schemat wypowiedzi w języku polskim (inaczej niż wierszyk *Rando*). Niemiecki tłumacz skonstruował analogicznie bezsensownie brzmiącą strofę niemiecką, dokonując niewątpliwie **kreatywnego aktu** w języku przekładu:

*Verschlauch ich wie in schleimen Schneckensagen
schnill deine Frust verblossen, was sie schnitt,
wie du den Schnirkel mit der Gangli Zwitt,
auf fühlgen Muschlen kiemlich hast gemagen.*

(TĘCZA 1997:88)

Tłumacz – podobnie jak autor oryginału – zbudował z nieistniejących lub przekreślonych leksemów strofę zgodną ze schematami gramatycznymi języka docelowego, wzbogacając ją dodatkowo o aliteracje i możliwe asocjacje: *Schnirkel* = *Schnörkel*; *Muschlen* = *Muscheln*; *kiemlich* = *heimlich*, *keimen*.

Dotykamy tu istotnego zagadnienia, a mianowicie problemu **KREATYWNOŚCI** w procesie przekładu. Wbrew obiegowym opiniom, tłumacz – zwłaszcza tłumacz literatury – nie jest i nie powinien być odtwórcą, ale współkreatorem, inaczej mówiąc – „poetą poety”.

Tak właśnie ujął to Karl Dedecius, stwierdzając słusznie, że poezja jest przetłumaczalna, ale środkami poezji (> **NIEPRZETŁUMACZALNOŚĆ**). To właśnie neologizmy użyte w tekstach typu literackiego czy publicystycznego wymagają **wykreowania** analogicznych neologizmów w języku docelowym. Bolesław Leśmian, notariusz z Hrubieszowa, miał nieokiełznaną fantazję językową. „Stodoliła się stodoła” – napisał w przypiływie poetyckiej weny. No cóż, na niemiecki da się to nawet dość zgrabnie przełożyć – *Die Scheune scheunte sich*. Dla unaocznienia problemów związanych z kreatywnością przytoczę następujący przykład. Ryszard Marek Groński zacytował w jednym z felietonów w *Polityce* żartobliwie zniekształcone dni tygodnia – „pośmierdziałek”, „fetorek”, „smroda”. Na tych trzech dniach wyliczanka jednak się skończyła. Zabawnym zadaniem z zakresu kreatywności językowej byłoby uzupełnienie określeń pozostałych dni, przy czym istotne jest założenie, że wszystkie te dni (mówiąc ogólnie) nieładnie pachną. A więc na przykład „szczartek”, „bździątek”, „szambota”, „niepachniela”...

gramatykalność...

Gramatykalność versus akceptabilność

Na pierwszy rzut oka wydaje się to jasne i bezsporne, że postępując się regułami gramatycznymi danego języka, możemy z jego cegiełek (fonemów, morfemów i leksemów) zbudować nieskończoną ilość wypowiedzi. W pewnym sensie rzeczywiście tak jest. Nie każda wypowiedź zgodna z regułami gramatyki jest jednak możliwa do zaakceptowania przez odbiorców – jako rodzimi użytkownicy języka są oni przyzwyczajeni do określonych wypowiedzi konwencjonalnych. Postępując się jedynie gramatyką, można kreować także wypowiedzi co prawda poprawne, ale całkowicie pozbawione sensu – przytoczę tutaj słynne zdanie sformułowane przez Noama Chomsky'ego: *Colourless green ideas sleep furiously*. To bezsensowne zdanie znaleźć by się jednak mogło w tekście dadaistów czy innych po-

etów eksperymentalnych, wystarczy przypomnieć Peiperowską mysz, która przysiadła na westchnieniu, nie mówiąc już o przytoczonych powyżej cytatach z *Cyberiady*.

W praktyce tłumaczenia bardzo ważną rolę odgrywa jednak tzw. **uzus**, to znaczy skonwencjonalizowany sposób używania języka. Wypowiedzi gramatycznie poprawne nie zawsze odpowiadają **konwencji językowej**. W życiorysie piszemy po polsku „urodziłem się” takiego a takiego dnia i jest to zgodne z uzusem. Z punktu widzenia poprawności li tylko gramatycznej możliwe byłoby też: „urodzono mnie” czy „zostałem urodzony” (tak to bywa w innych językach) – sformułowania te, choć poprawne gramatycznie, są jednak nieakceptabilne.

Z nieograniczonego wprost bogactwa wszelkich gramatycznie możliwych wyrażeń, zwrotów, fraz i zdań wspólnota komunikacyjna wybiera jedynie ich część i sankcjonuje je w użyciu jako **STEREOTYPY JĘZYKOWE**. Na co dzień nie jesteśmy poetami, śniącymi o bezbarwnych zielonych ideach, lecz trzeźwymi użytkownikami języka, zachowującymi się w określonej sytuacji tak, jak należy. „Proszę przyjąć najserdeczniejsze wyrazy współczucia”, „Jest mi niezwykle przykro”, „Czy ma pani dziś wolny wieczór?” „Zwracam się z uprzejmą prośbą...” i wiele, wiele innych. Znakomita większość formułowanych przez nas komunikatów ma postać standardową – życiorysy, podania, kondolencje, życzenia, a nawet zaloty różnych użytkowników tego samego języka są do siebie podobne. Tłumacz powinien zawsze zdawać sobie sprawę z istnienia **stereotypii językowej** i zwroty konwencjonalne w języku oryginału oddawać podobnie skonwencjonalizowanymi jednostkami w języku przekładu. W przeciwnym razie zostanie co prawda zrozumiany, spotkać się jednak może z zarzutem, że „tak się nie pisze, tak się nie mówi”.

Posługiwanie się li tylko stereotypami językowymi naraziłoby nas niewątpliwie na znaczne zubożenie stylistycznych możliwości wypowiedzi. Oprócz stereotypów językowych istnieją także **HETEROTYPY**, sformułowania jednostkowe, indywidualne kreacje autorów wypowiedzi, występujące przede wszystkim w tekstach literackich (artystycznych). Przykładem tekstu nasyconego heterotypami może być znana strofa Leśmiana:

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem,
Zapodziani po głowy, przez długie godziny,
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny,
Palce miałaś na óslep skrwawione ich sokiem.

Porównanie tego wiersza ze zwykłym, zgrzebnym językiem codzienności pozwala od razu rozpoznać heterotypy. Kto słyszał kiedykolwiek określenie „chruśniak”? Zapodziać może się książka, ale człowiek? Znane jest określenie „po szyję”, ale „po głowy” jest nowością. No i jeszcze te „na óslep skrwawione palce”.

Podobnym do heterotypów zjawiskiem są **OKAZJONALIZMY**. Okazuje się mianowicie, że w prywatnym życiu również bywamy poetami, kreatorami nowych form językowych, są to jednak chwilowe przebłytki geniuszu, tak czy owak skazane na zapomnienie. Osoba zbierająca grzyby może po rozkrojeniu robaczywego egzemplarza wykrzyknąć: „Ale robaczywiec!”, nie zdając sobie nawet sprawy z własnej kreatywności językowej.

W procesie przekładu **STEREOTYPY, HETEROTYPY i OKAZJONALIZMY** wymagają od tłumacza szczególnej uwagi. Ekwiwalent danego stereotypu w języku docelowym również powinien być stereotypem. W przypadku heterotypów akt tłumaczenia żąda kreatywności językowej, od której tłumacz zazwyczaj się uchyla, dając odpowiedzi neutralne. Okazjonalizmy również zostają na ogół zneutralizowane. Sporo trudności sprawia tłumaczowi przekładającemu z języka obcego zakwalifikowanie danej jednostki leksykalnej – rozpoznanie, czy jest to stereotyp, heterotyp, czy okazjonalizm. Kreatywny przekład heterotypów i okazjonalizmów wymaga ogromnego wyuczucia językowego. Zbliżają się one często do granic akceptabilności językowej, zdarza się też, że naruszają normę językową, ale nie na zasadzie błędu, lecz próby kreatywnego rozszerzenia możliwości artykulacyjnych danego języka.

wulgaryzmy...

Wulgaryzmy i obscena

Osoby dobrze wychowane mogą w tym miejscu zapytać, czy zajmowanie się tego typu słownictwem jest konieczne. Niestety, tak. Tłumacz, a także filolog, powinien poznać **całość systemu językowego**. Jak lekarz nie może zrezygnować z zajmowania się mniej „apetycznymi” okolicami ciała ludzkiego, tak i filolog powinien orientować się w stylistycznej charakterystyce słownictwa uznawanego za obsceniczne czy wulgarne. Jest to czasem dość trudne, niektóre pruderyjne społeczności tego typu wyrażań i zwrotów w słownikach bowiem nie zamieszczają. W Polsce dopiero niedawno ukazały się słowniki wulgaryzmów.

Współczesna literatura, publicystyka, dialogi filmowe i teksty piosenek w znacznym stopniu nasycone są wulgaryzmami. Przekład wulgaryzmów, wyzwick, przekleństw itp. wymaga od tłumacza bardzo dużego wyczucia, przede wszystkim jeśli chodzi o **zakwalifikowanie** danego leksemu, zwrotu czy wyrażenia pod względem **stopnia** jego wulgarności. Gdy porównamy dowolną parę języków, często okazuje się, że różne nacje obrażają się w niejednakowy sposób. Oczywiście, najczęściej stosowane wulgaryzmy wywodzą się ze sfery fekalnej bądź seksualnej, do tworzenia sformułowań wulgarnych czy obraźliwych często służą także określone zwierzęta (świnia, pies, insekty, gady). Stopień wulgarności podobnych z pozoru określeń nie jest jednak w poszczególnych językach jednakoowy. Polskie „gówno” jest nieco bardziej wulgarne niż francuskie *merde* czy niemieckie *Scheiße*. Narody słowiańskie preferują w tego typu słownictwie sferę seksualną, germańskie zaś fekalną. Tłumacz napotykający wulgaryzm musi go najpierw **rozpoznać** jako leksem tego właśnie typu, a następnie odpowiednio **zaszeregować**, aby znaleźć ekwiwalent o analogicznym stopniu wulgarności. Może się zdarzyć, że z pozoru właściwy odpowiednik w języku docelowym będzie o wiele bardziej wulgarny (lub o wiele łagodniejszy). O tym, że nie jest to problem całkowicie wydumany, świadczy następujące tłumaczenie, dokonane przez Artura Sandauera (1987:200).

W ostatniej scenie I części *Fausta* – „Więzienie” – Małgorzata śpiewa ludową piosenkę, zaczynając się w oryginale od słów *Meine Mutter, die Hure*. Niemiecki wyraz *Hure* nie oznacza się tak dużym stopniem wulgarności, jak jego polski pseudoodpowiednik, zaczynający się na literę „k” i niezwykle popularny w pewnych środowiskach. Stylistycznym odpowiednikiem *Hure* – słowa, które już w XVIII wieku mogło pojawić się na scenie – jest mniej więcej „ladacznica”. Sandauer przetłumaczył jednak powyższy wers, ulegając sugestii, że *Hure* to po prostu k...: „Kurwa moja mać!” Tłumacząc – dla zachowania rytmu – *Mutter* jako „mać”, wzmacnił jeszcze wulgarność sformułowania.

Wulgaryzmy są często specyficzne dla danego języka i nie zawsze mają odpowiedniki w języku tłumaczenia, bywają też łagodniejsze, niż wynikałoby to ze znaczenia referencyjnego. Niemiecki *Arschloch* to nie „dziura w dupie” ani „odbyt”, ale mniej więcej „duppek”. Zdanie *Du bist eine Flasche* jest – przetłumaczone w sensie referencyjnym – zupełnie bezsensowne: „Jesteś butelką”. Oznacza to jednak: „Jesteś nieudacznikiem” i jest poniekąd obraźliwe.

Generalna zasada mówi zatem, że tłumacz musi oddać wulgaryzm, obscenium czy przekleństwo na analogicznym poziomie stylistycznego nacechowania. A więc *merde* należałoby przetłumaczyć np. jako „cholera”, czyli zastosować popularny leksem oznaczający zdenerwowanie, stres czy rozczarowanie rozmówcy. Stylistyczne nacechowanie obscenów jest jednak zmienne kulturowo, środowiskowo i generacyjnie. Z czasem obscena niejako zużywają się, powszednieją – określenia, które w odczuciu starszej generacji uchodzą za bardzo wulgarne, młodzieży służą jedynie do wyrażania emocji. „Ale zaj...isty pies”, zawołał pewien nastolatek na widok buldoga francuskiego. Była to w jego odczuciu zupełnie normalna wypowiedź, aczkolwiek w obecności dyrektora szkoły wyraziłby się może inaczej. Elegancka starsza pani, słysząc to zdanie, mogłaby popaść w omdlenie. Jest rzeczą oczywistą, że nasycenie wulgarnością w rozmowach toczonej w środowiskach przestępczych, więziennych, mafijnych itp. będzie większe niż w innych sytuacjach.

Tłumacz powinien zatem zwrócić uwagę nie tylko na abstrakcyjnie pojętą adekwatność danego wulgaryzmu, ale także na sytuację, osobę rozmówcy oraz specyfikę kulturową docelowej wspólnoty ko-

munikacyjnej. Nie wszystkie bowiem społeczności jednakowo tolerancyjnie pochodzą do stosowania wulgaryzmów. Może się więc zdarzyć, że tłumacz ustny (np. w rozmowie rubasznego biznesmena ze starą arystokratką) zmuszony będzie do tonowania niektórych obscenów lub używania eufemizmów. Zależy to oczywiście od subtelności i wyczucia tłumacza. Tłumacze ustni występują nie tylko w sytuacjach oficjalnych. Bardzo często konferencja czy spotkanie dyplomatów ma nieformalną kontynuację. Wtedy, zwłaszcza przy alkoholu, rozwiązują się języki i nietrudno o nieporozumienie. Tłumacz (jeśli jest osobą odpowiedzialną i myślącą) pełni wówczas rolę swobodnego bezpiecznika (> **TŁUMACZENIE USTNE**).

Precyzyjne określenie stopnia wulgarności danego leksemu może mieć istotne znaczenie na przykład w procesie sądowym o znieważenie – tłumacz występuje wtedy niejako w roli biegłego. Zdarzyć się też może, że leksemy w danym języku neutralne, w innym przypominają obscena – wystarczy przypomnieć węgierskiego szewca (cipesz) czy rosyjskie zapałki (spiczki). Daje to nie tylko powód do śmiechu – może być zaiste problematyczne w przypadku nazwisk czy nazw firm. Firma OSRAM nie przejmując się wiadomą analogią i być może nawet zyskuje dzięki niej pewną sympatię klientów. Cóż jednak począć ma przedstawiciel niemieckiej firmy w Polsce, nazywający się Alfons Butz? Zupełnie zwykłe niemieckie imię i nazwisko przekształca się w Polsce w niesłychaną obsceniczną zbitkę – nie dość, że alfons, to do tego buc. Tłumacz towarzyszący panu B. w wojażach po Polsce powinien mu delikatnie wyjaśnić, dlaczego po autoprezentacji rozmówcy krztuszą się ze śmiechu. Garść przytoczonych powyżej przykładów powinna uświadomić czytelnikowi, że znajomość obscenów i ich stylistycznej kwalifikacji jest dla tłumacza wiedzą niezbędną.

Starzeją się nie tylko dziewczyny – teksty również. Wypowiedź zapisana przed kilkuset laty nosi niezatarte piętno czasu, w którym powstała. Dla rodzimego użytkownika języka taki zabytek z przeszłości jest od razu rozpoznawalny jako tekst archaiczny. Słownictwo, składnia i pisownia różnią się od współczesnej normy, chociaż całość tekstu może być ogólnie zrozumiała. Zdarza się także, że niektóre dawne wyrazy, zwroty i wyrażenia nabrały nowego znaczenia. Oprócz tekstów **archaicznych** istnieją również teksty świadomie przez autora **archaizowane**, „udające” niejako, że pochodzą z dawnych wieków. Dla tłumacza teksty tego typu stanowią specyficzną trudność. Przede wszystkim musi on **rozpoznać** archaizmy występujące w tekście jako archaizmy właśnie i odpowiednio je **zakwalifikować** (nieco przestarzały, przestarzały, archaiczny). Rzadko jednak zdarza się sytuacja, że archaizm w języku oryginału miał będzie odpowiednio archaiczny ekwiwalent w języku docelowym. Różne języki starzeją się bowiem w różnych miejscach systemu.

W przypadku tekstu archaicznego (a więc nie stylizowanego, tylko takiego, który zestarzał się niejako „sam z siebie”) tłumacz musi odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie, czy należy tekst taki w przekładzie zmodernizować, czy zarchaizować. Wbrew pozorom, nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Autorzy piszący przed wiekami posługiwali się językiem im współczesnym, całkowicie zrozumiałym dla odbiorcy. To, że ich komunikat się zestarzał i jest dla dzisiejszych odbiorców mniej zrozumiały, stanowi jedynie przeszkodę w lekturze i niezastudzoną krzywdę wyrządzoną autorowi. Z drugiej jednak strony, archaiczność tekstu jest świadectwem przynależności do epoki, dokumentuje jej koloryt.

Wydaje się, że decyzja tłumacza powinna zależeć od rodzaju tekstu i jego adresata. Teksty rzeczowe, źródła historyczne, w których panuje prymat treści nad archaiczną formą, można ostrożnie modernizować w taki sposób, by uwypuklić ich sens. Modernizu-

jąc, nie można oczywiście stosować pojęć anachronicznych, tzn. takich, które w okresie powstania tekstu nie istniały. Inaczej rzecz się ma z tekstem literackim, dla którego językowy koloryt epoki może mieć istotne znaczenie. Tłumacz dokonuje wówczas archaizacji jako zabiegu stylistycznego, wykorzystując archaizmy języka docelowego. Oczywiście, zgodnie z zasadą **KOMPENSACJI**, archaizmy niekoniecznie występują w tych samych miejscach. Przykładem tekstu archaizowanego może być cytat z dokonanego przez Boya tłumaczenia *Wielkiego Testamentu Villona* (por. LEBIEDZIŃSKI 1981:91):

W trzydziestym życia mego lecie,
Hańbą do syta napoiony,
Ni żrały mąż, ni puste dziecię,
Mimo iż ciężko doświadczony

Każnią, ścirpianą z ręki krwawej
Tybota, pana Ossyńskiego...
– Biskup iest – pełen czci y sławy –
– Mnie ta nie będzie za świętego.

Powyższy tekst jest w pewnym sensie hybrydą – udaje jedynie, że „ma na karku” kilka stuleci. Kochanowski te same treści wyraziłby zapewne inaczej. Na tym polega różnica pomiędzy tekstem archaizowanym a archaicznym. Podobnie bohaterowie *Krzyżaków* bynajmniej nie mówią autentyczną czternasto- czy piętnastowieczną staropolszczyzną.

Przekładający tekst archaizowany tłumacz jest w zasadzie zobowiązany do analogicznej stylizacji. Sygnały sugerujące archaiczność tekstu mogą jednak – jak już powiedziano – występować w innych miejscach niż w oryginale. Nie znajdując archaicznego odpowiednika wyrazu „chędogi”, tłumacz może w innej partii tekstu posłużyć się innym archaicznym przymiotnikiem, którym język docelowy dysponuje.

Niedopuszczalne jest jednak stosowanie w tłumaczeniu tekstów terminów pochodzących z odległej przeszłości czy pojęć późniejszych. Dotyczy to również tekstów współczesnych, opisujących dawną rze-

czywistość. W polskim tłumaczeniu *Wesołych przygód Robin Hooda*, a więc powieści, której akcja rozgrywa się w wesołej Anglii w czasach Ryszarda Lwie Serce, jedna z postaci używa określenia odległości „osiemdziesiąt metrów”, co jest oczywistym anachronizmem.

falszywi... Falszywi przyjaciele tłumacza

Nie dość, że włoskie powiedzonko *traduttore-traditore* traktuje tłumacza jak zdrającę, to jeszcze otoczony jest on przez fałszywych przyjaciół (*faux amis*). Ci fałszywi przyjaciele to ekwiwalenty pozorne, leksemy danego języka bardzo podobne do określeń w innym języku, ale o innym znaczeniu. Najczęściej są to internacjonalizmy, zapożyczenia z łaciny lub greki czy wyrazy mające nierzadko wspólną etymologię (zwłaszcza jeśli chodzi o parę języków spokrewnionych ze sobą). *Laska* to po czesku „miłość” (por. polskie „łaska”), *pozor* to „uwaga”, a nie „pozór”, niemiecki *Konkurs* to „upadek firmy”, a nie „konkurs”, francuskie *ordinaire* to nie „ordynarny”, lecz „zwyyczajny”, a *odeur* to nie „odór”, lecz „zapach”. Bywa, że fałszywi przyjaciele bywają bardzo złośliwi. *Mist* to po angielsku „mgiełka”, po niemiecku zaś „gnojówka”. Mimo tej zaskakującej różnicy istnieje coś, co w jakiś sposób łączy oba te zjawiska, a mianowicie unoszący się opar. W czasach realnego socjalizmu w Związku Radzieckim dużą popularnością cieszyło się polskie czasopismo *Uroda*. Ale *uroda* to po rosyjsku jakiś pokraczny potworek, dlatego właśnie Mołotow określił Polskę we wspomnianym przemówieniu jako *уродливое детище* („pokraczny bękart”) Traktatu Wersalskiego.

Fałszywi przyjaciele tłumacza pojawiają się znacznie częściej, niż można by oczekiwać, i to w najróżniejszych dziedzinach i typach tekstów. DZIERŻANOWSKA (1988:93n.) sporządziła ciekawe zestawienie pseudoekwiwalentów występujących w tłumaczeniu z angielskiego na polski. Trzeba przyznać, że fałszywa sugestia, wpływająca z podobieństwa lub wręcz identity formy, jest czasem

niezwykle silna. Przytoczone poniżej najbardziej spektakularne przykłady dobrano zgodnie z następującą zasadą: wyraz angielski, polski odpowiednik wyrazu angielskiego, pseudoekwiwalent, czyli fałszywy przyjaciel oznaczony gwiazdką (*), oraz angielski odpowiednik pseudoekwiwalentu.

actual = rzeczywisty – *aktualny = *topical*
aliment = pokarm, pożywienie – *alimenty = *alimony*
caravan = karawana, przyczepa – *karawan = *hearse*
compositor = zecer – *kompozytor = *composer*
concurrence = zbieżność, zgoda – *konkurencja = *competition*
eventual = końcowy – *ewentualny = *possible*
genial = uprzejmy, łagodny – *genialny = *of genius*
lunatic = obłąkany, szalony – *lunatyk = *somnambulist*
pamphlet = broszurka – *pamflet = *lampoon*
tobacco = tytoń – *tabaka = *snuff*
turf = murawa – *torf = *peat*

Angielszczyzna posługuje się bardzo znacznym procentem wyrażeń pochodzenia romańskiego, które w wielu innych językach funkcjonują jako zapożyczenia lub internacjonalizmy o nieco innym lub całkiem innym znaczeniu, stąd relatywnie duża liczba fałszywych przyjaciół.

W jaki sposób tłumacz może uniknąć wątpliwej przyjaźni pseudoekwiwalentów? Osoba dobrze znająca język jest zasadniczo na tego typu pułapki przygotowana. Istnieją również specyficzne dla danej pary językowej słowniki pseudoekwiwalentów. Najlepszą jednak gwarancją jest – choć brzmi to może nieładnie – **podejrzliwość** w stosunku do własnych umiejętności i co do przekonania, że podobnie lub identycznie brzmiący wyraz oznacza w istocie to samo. Tak jak w życiu, nadmierna ufność nie zawsze popłaca.

Interferencja

Interferencja

Najogólniej rzecz biorąc, **INTERFERENCJA** to wpływ jednego języka na drugi. Jest to tzw. interferencja **zewnętrzna** albo – inaczej mówiąc – międzyjęzykowa, czyli interlingwalna. Każda osoba ucząca się języka obcego doświadczyła **negatywnego** wpływu języka ojczystego na opanowywany właśnie język obcy. Ten negatywny wpływ dotyczy **wszystkich podsystemów języka**, zarówno w planie wyrażania, jak i w planie treści. Tak zwany obcy akcent wynika właśnie z interferencji – automatycznego przenoszenia nawyków artykulacyjnych języka ojczystego na język obcy. Nawyki te są u osoby dorosłej tak silne, że tylko długotrwałe ćwiczenia doprowadzić mogą do w miarę poprawnej artykulacji w języku obcym. Jedynie dzieci, u których wykształcenie nawyków artykulacyjnych jeszcze się nie zakończyło, są w stanie bez większych trudności opanować wymowę obcego języka. Są to prawdy powszechnie znane. Tłumacz dokonujący tłumaczeń ustnych powinien zwracać szczególną uwagę na fonetyczną poprawność wypowiedzi i dążyć do możliwie najdoskonalszej wymowy, jest to bowiem nie tylko „wymowne” świadectwo jego kompetencji, ale także ważny czynnik ułatwiający zrozumienie komunikatu nadawanego „kanałem akustycznym”, często za pomocą urządzeń technicznych (konferencje tłumaczone przez tłumacza kabinowego), w przypadku których błędna wymowa, akcentowanie czy intonacja doprowadzić mogą do istotnego zniekształcenia sensu wypowiedzi.

Wpływ języka ojczystego na język obcy nie kończy się oczywiście na kwestii fonetycznej realizacji wypowiedzi. Ulegając językowym nawykom, tłumacz bardzo często dosłownie odwzorowuje ➤ **KOLOKACJE** języka ojczystego w obcym, **preferuje struktury gramatyczne właściwe dla języka ojczystego**, przenosi bezrefleksyjnie związki frazeologiczne i idiomy na grunt języka docelowego. Ten negatywny wpływ języka ojczystego jest w tekście tłumaczenia (jeżeli tłumaczymy na język obcy) na ogół rozpoznawalny i sprawia, że przekład brzmi niena-

turalnie. Nawet tak marginalne – zdawałoby się – dziedziny, jak interpunkcja czy ortografia, mogą podlegać interferencji. W nagłówkach listów angielskich czy niemieckich stosujemy po inwokacji przecinek, a nie wykrzyknik – *Dear Father* czy *Liebe Mutter*, w odróżnieniu od „Droga Babciu!” W polskim i niemieckim obowiązują inne zasady dotyczące dzielenia wyrazów, stawiania kropek po skrótach czy używania przecinków. Angielski w specyficzny sposób używa myślnika. W powieściach polskich wypowiedź bohatera ujęta jest w myślniki, w niemieckich zaś w cudzysłów. AIDS to w krajach romańskojęzycznych SIDA.

Pragnąc uniknąć błędów typu interferencyjnego, tłumacz powinien wykorzystać **kontrastywny opis danej pary języków**. W odniesieniu do ważniejszych języków istnieją odpowiednie opracowania. W ujęciu kontrastywnym szczególnie ważne są **różnice systemowe**, powtarzające się na zasadzie ogólnych prawidłowości. Specyficznym problemem jest interferencja typu kulturowego. Tłumacz przenosi wtedy określone zachowania językowe własnej wspólnoty komunikacyjnej na teren społeczności docelowej. Może to być na przykład natrętne używanie nazwiska albo nadmierna tytułomania.

Interferencja zewnętrzna, międzyjęzykowa, niekoniecznie musi dotyczyć oddziaływania język ojczysty → język obcy. Jeśli dana osoba opanowała bardzo dobrze jakiś język obcy i zaczyna naukę następnego, może się zdarzyć, że ten pierwszy, dobrze już opanowany, będzie bardzo silnie interferował z następnym, zwłaszcza jeżeli jest to język spokrewniony – silniej nawet niż język ojczysty. Innymi słowy, bardzo dobrze znający język polski nie-Polak, uczący się rosyjskiego lub czeskiego, musi się liczyć z tym, że w jego czeskich czy rosyjskich tekstach pojawią się polonizmy. Tego typu zjawiska musi uwzględnić tłumacz przekładający na kilka języków.

Oprócz omówionej tu krótko interferencji zewnętrznej istnieje także **INTERFERENCJA wewnętrzna**, intralingwalna. Przyswajając sobie dany system językowy (podobnie zresztą jak dziecko, czyniące to w sposób naturalny), dokonujemy tego za pomocą **kolejnych przybliżeń**, inaczej mówiąc – aproksymacji. Każde z tych przybliżeń traktujemy na danym etapie nauki jak prawdę absolutną, nie dopuszczając istnienia wyjątków. Ucząc się angielskiego, dowiadujemy się stosunkowo szybko, że liczba mnoga tworzona jest przez dodanie „-s” do rzeczownika. Powoduje to tworzenie błędnych form typu *womans* i *mans* albo kwa-

lifikowanie form typu *news* jako liczby mnogiej. „Winien” jest tu sam system języka angielskiego, sugerujący takie podejście. A oto kilka przykładów interferencji wewnętrznej, dotyczących nauki języka polskiego przez pewną bardzo sympatyczną Niemkę. W jej wypowiedziach przez długi czas uporczywie pojawiało się wyrażenie „herbata z cytrynem”, co na pierwszy rzut oka (ucha?) mogło dziwić, bo po niemiecku cytryna to też dziewczyna (*die Zitrone*). W tym jednak wypadku interferencja języka ojczystego, a więc zewnętrzna, okazała się słabsza niż wewnętrzna. Często powtarzające się formy „z psem”, „z kotem”, „z przyjacielem” były na tyle sugestywne, że spowodowały ustabilizowanie się wyrażenia „herbata z cytrynem”, a nawet wypowiedzi typu: „Gdzie jest ten cytryn?”, jego (?) męski rodzaj utrwalił się bowiem właśnie ze względu na interferencję wewnętrzną. Wyrażenie „herbata z cytrynem” wraz z poszerzaniem się kompetencji językowej po pewnym czasie znikło. Podobny problem stwarzały Niemce jednosylabowe feminina polskie typu „rzecz”, „kość” „twarz”, będące w istocie wyjątkami. Ale interferencja wewnętrzna była źródłem wypowiedzi w rodzaju: „Ona ma koński twarz”, „Pies dostał dobry kość”, „Poproszę o jodowany sól”. Inaczej rzecz się miała (miał!?) ze zdaniem: „Ten pieczeń rzymski był dobry”, bo pieczeń to po niemiecku *der Braten*, zadziałała więc interferencja zewnętrzna. Na koniec przytoczmy jeszcze jedno autentyczne zdanie, świadczące o niewątpliwych trudnościach z nauką języków: „Oczekiwam przeprosin. Mój honor uszczerbną”.

sytuacje

Sytuacje

Przytoczone w początkowych partiach *Vademecum* zdanie: „Zając będzie w śródeń” jest niejasne bez znajomości kontekstu sytuacyjnego. W sklepie z dziczyzną zając okaże się upolowanym mieszkańcem lasów, w urzędzie – panem Zającem, który wróci w śródeń z urlopu. Sytuacja często **ujednoznacznia** zatem dany tekst, zawie-

ra bowiem dodatkowe informacje, które w tekście eksplicytnie nie występują. Jeśli tłumacz zna sytuację, właściwe zinterpretowanie komunikatu nie sprawi mu trudności, gorzej jest natomiast w przypadku, gdy nie wszystkie elementy sytuacji komunikacyjnej są tłumaczowi znane. Może się tak zdarzyć np. przy tłumaczeniu listu, którego autor zakłada pewną wiedzę u odbiorcy. Tłumacz ustny jest najczęściej w tym korzystnym położeniu, że współuczestniczy w tej samej sytuacji komunikacyjnej, co jego rozmówcy. Ułatwia to wiele rzeczy. Jeżeli jeden z rozmówców zachwyci się przelatującym właśnie ptaszkiem i powie: „Ale piękny zimorodek”, nie znając ekwiwalentu zimorodka, tłumacz może powiedzieć po prostu: „Ale piękny ptaszek”, bo wszyscy go widzieli (i – nawiasem mówiąc – może nawet nie wiedzieli, że to zimorodek). Tłumaczowi pomagają także różne sygnały niewerbalne, gesty i mimika rozmówców, krótko mówiąc – tzw. **MOWA CIAŁA**.

Dla przebiegu procesu tłumaczenia istotna jest nie tylko sytuacja komunikacyjna jako taka, ale także to, czy jest to sytuacja **konwencjonalna**, czy nie. W większości powtarzających się w naszym życiu sytuacji (oficjalnych i codziennych), posługujemy się gotowymi, skonwencjonalizowanymi wypowiedziami, nawet tego nie zauważając, uważamy bowiem za zupełnie oczywiste, że pytamy na przykład: „Czy **mają** państwo szczypiorek”, „Co będzie dziś na kolację”, „Czy można **prosić** panią do tańca?”, że „Serdecznie witamy przybyłych gości, z panem X na czele”. Dopiero porównanie z innymi językami ujawnia, że w **analogicznych sytuacjach** ich **NORMA POPRAWNOŚCIOWA** domaga się zastosowania zwrotów i wyrażań konwencjonalnych, **różniących się znacznie** od języka polskiego. Po angielsku mówimy na przykład: *May I have this dance with you?*, nie ma więc żadnego odpowiednika słowa „proszę”. Ekwiwalentem polskiego: „Proszę przyjąć najgłębsze wyrazy współczucia” będzie niemieckie *Mein tiefstes Beileid*. Sytuacje konwencjonalne są często jakby rozbudowanymi scenariuszami znormalizowanego zachowania się językowego – na przykład „program sytuacyjny” pt. „wizyta w teatrze” zawiera szereg typowych pytań, odpowiedzi i wypowiedzi dotyczących konkretnych, np. garderoby, programu, miejsca w określonym rzędzie czy łożu, wypożyczenia czy pożyczania od sąsiada lornetki, a także wypowiedzi (pytań, ocen)

dotyczących treści sztuki, gry aktorów itp. Podobnie jest z ciągiem sytuacji typu „u szewca”, „u fryzjera”, „restauracja”, „zakupy w sklepie odzieżowym”, „przybycie do hotelu”, „w biurze podróży”, „dworzec kolejowy” czy „wizyta u znajomych”. Wystarczy zajrzeć do jakichkolwiek (dobrze opracowanych!) dwujęzycznych rozmówek, aby przekonać się, że różne języki wytworzyły typowe dla siebie „zestawy” wypowiedzi, które są w danych sytuacjach nie tylko przydatne, ale wręcz **obowiązujące**. Nie ma tu mowy o dosłownym tłumaczeniu, musimy użyć zwrotu **typowego sytuacyjnie**. Oczywiście i tutaj potrzebne jest wyczucie i ocena konkretnej sytuacji. Odwiedzając znajomych, z którymi łączą nas jedynie stosunki oficjalne, będziemy używać raczej sformułowań skonwencjonalizowanych. Tak samo postąpią nasi gospodarze. Wywołuje to niekiedy wrażenie pewnej sztuczności. Będąc natomiast z wizytą u serdecznego przyjaciela, posłużymy się sformułowaniami z rejestru potocznego, niewymuszonego – sztywne trzymanie się konwencji językowej mogłoby zabrzmieć ironicznie albo wręcz komicznie. Przekładający tego rodzaju komunikaty tłumacz powinien zatem zwrócić uwagę także na aspekt pragmatyczny i socjologiczny.

Wypowiedzi skonwencjonalizowane, sformalizowane, występują szczególnie często w sytuacjach oficjalnych. Zwyczaj nie pozwala na formułowanie tego typu wystąpień *ad hoc* – mogą sobie na to pozwolić jedynie bardzo uzdolnieni mówcy. Dlatego też znakomita większość czyta z kartki, a teksty są do siebie bardzo podobne i różnią się tylko konkretami. Ileż mów zaczęło się od słów: „Szanowni zebrani, Drodzy (Szanowni) Państwo, goście. Zebraliśmy się tu dzisiaj po to, aby pożegnać (powitać), otworzyć (zamknąć), zainaugurować (wrócić pamięcią do)... Pragnę na wstępie serdecznie powitać naszych gości, którzy zechcieli zaszczyścić naszą uroczystość swoją obecnością”. I tak dalej, i tak dalej. W przypadku tekstów typu kondolencji czy klepsydry stereotypowość wyrażenia jest szczególnie intensywna. Z psychologicznego punktu widzenia jest to zrozumiałe – mówcy czy autorzy klepsydr boją się popełnienia gąfy i na wszelki wypadek trzymają się utartych, bezpiecznych szlaków. Czasem ma to skutki negatywne – niemal wszystkie z kilkudziesięciu klepsydr zamieszczonych na kilku stronach wielkomięskiego dziennika mówią o osobach niezastąpionych, wielce zasłużo-

nych i najukochańszych, wszyscy krewni są pogrążeni w (nieutolonym) żalu albo głębokim smutku. Po przeczytaniu kilkunastu takich tekstów wyraźnie objawia nam się małość ludzkiego istnienia, jego powtarzalność, wymiennność i anonimowość.

Tłumacz powinien oczywiście znać skonwencjonalizowane odpowiedniki języka docelowego związane z daną sytuacją i traktować je **jako całości**, nie zwracając uwagi na różnice w zakresie leksyki czy gramatyki, zachodzące pomiędzy oryginałem a przekładem. W takim przypadku rozstrzygająca jest norma użycia w języku docelowym.

Stereotypy zakorzenione sytuacyjnie są dla tłumacza, zwłaszcza ustnego, pewnym ułatwieniem. Nie przekłada on słowa po słowie, lecz używa zazwyczaj gotowej formuły „powitania”, „pożegnania”, „podziękowania” itp., w którą wplata jedynie konkretne dane. Zmorą tłumacza są natomiast mówcy używający **heterotypów, idiomów i okazjonalizmów**. Te ostatnie mogą przyprawić translatora o nadmiar siwych włosów (na przykład sławne powiedzonko prezydenta Wałęsy o „puszczaniu w skarpetkach”). Tego typu obrazowy okazjonalny zwrot, dla odbiorcy polskojęzycznego intuicyjnie czytelny, przez tłumacza simultanicznego w ułamku sekundy musi zostać sprowadzony do istotnego sensu: „pozbawimy ich (aferzystów) wszelkich nieprawnie zdobytych dóbr”. Obrazowość i okazjonalność sformułowania nie zostanie oczywiście w tłumaczeniu oddana (► **TŁUMACZENIE USTNE**).

„Środowiskowość” „Środowiskowość”

Ten zbiorczy, ujęty w cudzysłów podtytuł dotyczy kilku zjawisk związanych z faktem, że oprócz standardowej – ogólnie obowiązującej – postaci języka istnieją dialekty, języki środowiskowe, branżowe i tym podobne warianty, obowiązujące tylko w określonych wspólnotach komunikacyjnych. Istnieją zatem dialekty i gwary, języki subkultur młodzieżowych i więziennych, żargony określonych grup zawodowych (nie chodzi tu o terminologię fachową, lecz o używany

na co dzień „wewnętrzny” język danej grupy zawodowej), język myśliwych, aktorów, informatyków itp.

Język docelowy dysponuje zazwyczaj funkcjonalnym odpowiednikiem takiego „podjęzyka” – zdarza się nawet, że istnieją monolingwalne czy bilingwalne słowniki języka myśliwych, młodzieżowego, więziennego itp. Bez większego trudu tłumacz znajdzie wówczas mniej więcej zbliżony ekwiwalent. Język młodzieży, język myśliwych czy subkultury więziennej są zjawiskami występującymi w wielu społecznościach i wykazującymi podobne cechy. Język młodzieżowy na przykład – niezależnie od danego języka narodowego, a przynajmniej w kulturze „europejsko-anglosaskiej”, czyli tzw. zachodniej – dąży do maksymalizacji ekspresji (np. niem. *oberaffengeil*), unika sformułowań uznawanych za sentymentalne, przejmuje słownictwo innych subkultur (nie wyłączając wulgaryzmów), kreuje własne, często bardzo obrazowe i emocjonalnie nacechowane określenia dotyczące szkoły, rodziny czy seksualności i dość szybko się starzeje (tzn. określenia modne trzy, cztery lata temu stają się nieaktualne, co ma związek z wymianą pokoleń). Podobnie ogólnie charakterystyczne cechy wykazuje język myśliwych, którego istotną tendencją jest zastępowanie określeń z normalnego języka innymi, na przykład uszy zajmą to „słuchy”, serce to „komora”, a krew to „farba”. Celem takiej podmiany jest być może psychologicznie zrozumiała tendencja do eufemizacji, do wyparcia ze świadomości faktu, że oto tego sympatycznego przecież dzika trafiło się prosto w serce i broczy krwią. Znacznie prościej byłoby powiedzieć i pomyśleć „komora”. Teksty literackie czy filmy często posługują się tego typu językami środowiskowymi. Tłumacz powinien postarać się przede wszystkim o to, aby oddać środowiskowe zabarwienie wypowiedzi. Nie zawsze będzie mógł to osiągnąć za pomocą identycznych środków i w tych samych miejscach dialogu czy całego komunikatu, czyli zmuszony będzie zastosować zasadę ➤ **KOMPENSACJI**.

O wiele trudniejsze jest zadanie polegające na tłumaczeniu „środowiskowości” związanej z konkretną **niepowtarzalną** społecznością, z miejscami, które – jeżeli nawet mają odpowiedniki w innych kulturach, krajach i językach – są jedyne w swoim rodzaju. Czy przekładając np. powieść, wolno dialekt warszawski zastąpić dialektem berlińskim albo wiedeńskim (też stolice)? Albo gwarę

górali podhalańskich gwarą górali alpejskich? Byłoby to bardzo karkołomnym zadaniem, są to bowiem zjawiska tak silnie związane z konkretnym miejscem, że czytelnik tego rodzaju przekładu na niemiecki mógłby słusznie zapytać, dlaczego ci panowie z Zakopanego mówią jak Bawarczycy. Tłumaczowi nie pozostaje nic innego, jak dokonanie **ostrożnej stylizacji** w rodzaju „język wielkiego miasta”, „język kojarzący się z okolicami górskimi”, ale bez wyraźnego przyporządkowania lokalnego.

W celu zilustrowania potencjalnych trudności związanych z kolorytem lokalnym przytoczę dwa miniteksty o charakterze żartu. Pierwszy należy do tzw. dowcipów o Ślązakach:

Hanys i Franz rozmawiają przez telefon. Skund zwonisz?
– pyta Franz. Z SDH – pada odpowiedź. – Nie rozumia
– złości się Franz. No z SDH – nie daje za wygraną
Hanys. – Nie rozumia, przeliteruj! No i Hanys literuje:
S jak Siegmund, D jak cztery litery i H jak ciulik.

Tekst zawiera odniesienia zarówno do kolorytu śląskiego, jak i do polskiej rzeczywistości realnego socjalizmu. Nawiasem mówiąc, SDH to Spółdzielczy Dom Handlowy. „*Spelling*” zastosowany przez Hanysa jest równocześnie bezsensowny i w kontekście kolorytu zupełnie słuszny. Niemieckie imię *Siegmund* wymawiane bywa z nagłosowym dźwięcznym „z”, pisze się jednak przez „s”. Literując „d” jako „cztery (!) litery”, Hanys odwołuje się do znanego polskiego eufemizmu, występującego np. w sformułowaniu „siedzieć na czterech literach”, w domyśle jednak sugeruje słowo rozpoczynające się od „d”. No i wreszcie bardzo swojski śląski „ciulik” ma w języku ogólnopolskim znany wulgarny odpowiednik, najczęściej – błędnie (!) – pisany na płotach i w innych miejscach przez „h”. Zgadza się więc i wszystko, i nic. A teraz, Drogi Czytelniku, zastanów się, czy powyższa rozmowa jest przetłumaczalna na języki, które znasz (➤ **NIERZETŁUMACZALNOŚĆ?**)

Na pociechę inna anegdotka – o cudzoziemcu, który studiował w Poznaniu i uznał język polski za niezwykle trudny: „Zupełnie inaczej się u was pisze, a inaczej wymawia. Napisane jest «wątrobianka», a wymawia się «leberka»...” (z niem. *Leberwurst*, wątrobianka).

Rozdział IV

poziomy... Poziomy ekwiwalencji

W dotychczasowych rozważaniach używaliśmy terminów „ekwiwalencja”, „ekwiwalent” bez podawania ich **ściślej** definicji. Definicja taka w zasadzie bowiem nie istnieje – różni teoretycy przekładu definiują bowiem ten termin z różną ostrością. Pojawił się on po raz pierwszy w przełomowym artykule *On Linguistic Aspects of Translation*, w którym Jakobson traktował owo pojęcie raczej w sensie ogólnym, rozumiejąc je jako równoważność mimo istniejących różnic – *equivalence in difference*. (Rys historyczny pojęcia „ekwiwalencja” – por. PI-SARSKA i TOMASZKIEWICZ 1998:172–181). Zasadnicze rozróżnienie w tym zakresie wprowadził Eugene A. NIDA, tworząc pojęcia „ekwiwalencji formalnej” (absolutnej) i „dynamicznej”, inaczej mówiąc – „funkcjonalnej”. Ekwiwalencja formalna oznacza tożsamość lub – inaczej mówiąc – „odpowiedniość” zorientowaną na konkretną postać oryginału, oderwaną od sytuacji komunikacyjnej, określających ją czynników i celu, dynamiczna zaś uwzględnia te aspekty procesu przekładu. Innymi słowy, zgodnie z ekwiwalencją formalną (absolutną) chleb będzie zawsze chlebem, a ryba rybą, ekwiwalencja dynamiczna dopuszcza przytoczone wyżej tłumaczenia typu chleb → ryba, agrafka → bezpiecznik, *Extract of Malt* → Tran itp.

W podejściu do terminu ekwiwalencji istnieją między teoretykami istotne rozbieżności. Nie są oni zgodni np. w kwestii, czy ekwiwalencja ma być traktowana jako odpowiedniość idealna, do której tłumaczenie jedynie mniej lub bardziej się zbliża, czy też jako retrospektywne, dokonane po procesie tłumaczenia porównanie, jakie elementy oryginału i przekładu mogą zostać uznane za równoważne. Istotną rolę pełni tu pojęcie **INWARIANTU**. Jeżeli uznamy, że miernikiem ekwiwalencji jest stopień zachowania inwariantu, staniemy na stanowisku, że pełna ekwiwalencja jest osiągalna jedynie w przybliżeniu. Ustalenie postulatycznych granic inwariantu jest

zależne od konkretnej sytuacji translatorycznej. Następujący przykład unaocznic może, jak nieistotne – z pozoru – elementy komunikatu należeć mogą do inwariantu. W cytowanej już książce *Winnie-the-Pooh* A. A. Milnego pojawia się *Hundred Aker Wood* – sfera, w której żyją Puchatek, Prosiaczek, Sowa, Krzyś, Królik i cała reszta jego Krewnych i Znajomych (*Rabbit's Friends and Relations* – Krewni i Znajomi Królika), nawiasem mówiąc sformułowanie, które przeszło do polszczyzny na zasadzie **intertekstualnego** cytatu. Otóż ten – dosłownie rzecz biorąc – Stuakrowy Las Irena Tuwim spolszczyła jako Stumilowy Las, trochę na bakier z geometrią, ale za to zgodnie z konotacjami dotyczącymi **Anglii** – mila mimo wszystko jest znacznie bardziej swojska niż „akr”. W przekładzie niemieckim Harry'ego Rowohlta przeczytać natomiast możemy *Hundert-sechzig-Morgen-Wald* – Las Stusześdziesięciomorgowy – akry przeoliczone zostały automatycznie na morgi, co może i zgadza się z powierzchnią Lasu, nie zgadza się natomiast z tajemniczą „**okrągłością**” liczby (sto), która właśnie do inwariantu należy.

Aby uniknąć nieporozumień, wprowadzono pojęcie **ADEKWATNOŚCI** (REISS i VERMEER 1984:139), która oznacza relację pomiędzy oryginałem i przekładem z uwzględnieniem czynników, a przede wszystkim **celu** dokonującego się procesu (por. tzw. teoria **SKOPO-SU**, z gr. *skopos* – cel). W praktyce jednak rozróżnienie ekwiwalencji i adekwatności nie zawsze jest łatwe. Te terminologiczne niuansy nie są w stanie uporządkować wieloaspektowej materii zagadnienia. Słuszne wydaje mi się podejście Jakobsona, który terminu ekwiwalencja używał w ogólnym sensie „odpowiedniości”, „równowartości”, przy oczywistym występowaniu różnic. Duże znaczenie ma też rozróżnienie pomiędzy ekwiwalencją pojmowaną abstrakcyjnie, w ode-rwaniu od konkretnego procesu przekładu, a ekwiwalencją dynamiczną, polegającą na uwzględnieniu wielorakich czynników tego procesu, inaczej mówiąc – **MAKROKONTEKSTÓW** obu zachodzących na siebie sytuacji komunikacyjnych (> **MODEL**). Ekwiwalencję można wreszcie rozumieć postulatycznie, tzn. jako zbiór oczekiwań wysuwanych pod adresem translatu. Są one z zasady jedynie potencjalnymi wytycznymi mającego dokonać się procesu.

W końcu nie jest też bez znaczenia, jaki rodzaj odpowiedniości (równowartości, równoważności) oryginału i przekładu nas inte-

resuje. Można bowiem pytać o ekwiwalencję denotatywną (znaczenia referencyjne), konotatywną (znaczenia pragmatyczne), ekwiwalencję dotyczącą typu tekstu, aspektów jego recepcji i zastosowania czy ekwiwalencję formalno-estetyczną (znaczenia intralingwalne; por. STOLZE 1994:87n).

Najogólniej rzecz biorąc, **EKWIWALENCJA** – tak, jak jest ona pojmowana w ramach niniejszego wywodu – to **relacja** odpowiadania sobie tekstów oryginału i przekładu oraz konkretnych ich elementów. Odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu i w jaki sposób są one sobie rzeczywiście równoważne, możliwa jest po uwzględnieniu wszystkich parametrów procesu przekładu. I jest to właśnie pytanie o **ADEKWATNOŚĆ**. Mówiąc o **ekwiwalentach**, musimy pamiętać, że możemy je traktować dwojako – **potencjalnie**, w oderwaniu od jakiegoś konkretnego tekstu i procesu przekładu, tak jak występują one w słownikach, oraz w **usytuowaniu** w ramach danego aktu translacji.

Zagadnienie poziomu ekwiwalencji wiąże się z poszukiwaniem „najmniejszej jednostki przekładu”, inaczej mówiąc – *unit of translation*. W potocznym rozumieniu jednostką przekładu jest słowo, i to właśnie przekonanie zaważyło na powstaniu licznych (moim zdaniem fałszywych) tez, takich jak ta, że wierne tłumaczenia są dosłowne i brzydkie, a niedosłowne piękne, ale niewierne. **Kryterium dosłowności jako narzędzie oceny przekładu jest całkowitym nieporozumieniem (> DOSŁOWNOŚĆ)**. Dostrzegli to już Horacy i Cycero, formułując następujące maksymy: *In quibus non verbum pro verbo necesse habui reddere, sed omnium verborum vimque servavi* (Cycero) oraz *Nec verbo verbum curabis reddere fidus interpres* (Horacy). A więc, tłumacząc nie słowo w słowo, ale oddając „wspólną siłę słów”, zyskać możemy miano wiernego tłumacza. To tak, jakbyśmy poprzez woal starożytnych maksym usłyszeli co nieco o kolokacji, sensie, konotacji i przesłaniu komunikatu.

Zagadnienie poziomu ekwiwalencji ilustruje w bardzo przystępny sposób absurdalność postulatu dosłowności. Porównując oryginały i przekłady, spostrzeżemy bez trudu, które fragmenty obu tekstów sobie odpowiadają. I wcale nie najczęściej będą to słowa. Relacja odpowiedniości, czyli ekwiwalencja – tak jak ją tutaj rozu-

miemy – zachodzi na wszystkich poziomach językowej hierarchii tekstu. Jakie to poziomy?

Zaczynając od najmniejszych jednostek, są to poziomy konstytuowane przez:

- fonemy bądź grafemy,
- morfemy,
- słowa,
- związki słów,
- zdania,
- całość tekstu.

Zjawisko ekwiwalencji może wystąpić już na najniższym poziomie tekstu – fonematycznym bądź grafematycznym. W tłumaczonym tekście pojawi się na przykład osoba wymawiająca daną głoskę (fonem) w sposób zdradzający jej przynależność do danej warstwy społecznej (**SOCJOLINGWISTYKA**, por. *Pigmalion* G.B. Shawa), w sposób charakterystyczny dla gwary lub dialektu. „Lys”, „lypa”, „wendlyna” sugerują warszawskość, żartobliwe powiedzonko niemieckie *Eine jut jebratene Gans ist eine Jabe Jottes* – berlińskość. Tłumacz będzie często zmuszony oddać ów sygnał na poziomie tekstowo znaczenie wyższym, przez omówienie, np. „powiedział z warszawska” (związek słów). Nie znaczy to jednak, że ekwiwalencja równoległa na poziomie fonematyczno-grafematycznym nie występuje. Transliteracja i transkrypcja to przypadki oczywiste (► **TRANSLITERACJA**). Znaczenie ciekawsze są komunikaty, w których poszczególne grafemy czy fonemy nabierają znaczenia dla komunikatu: „Przyjaźń na całe życie”, *schuhverlässig* (zamiast *zuverlässig*), *shoevenir* (zamiast *sovenir*). Zdarzyć się nawet może, że poziom ekwiwalencji zejdzie poniżej granicy fonemu, na poziom alofonu. Przykład: „Hrabia grasejował tak mocno, że «krowa» wymawiał «khowa»”. (Francuskie „r” jest alofonem fonemu „r”, tzn. jego postacią nieróżnicującą znaczenia). Tłumaczenie powyższego zdania wymaga dla „krowy” ekwiwalentu na poziomie słowa, koniecznie zawierającego „r”, niezależnie od znaczenia referencyjnego.

Podobnie poziom grafemów (grafów) może okazać się istotny dla ekwiwalencji. Wszyscy (? = zagadnienie wspólnoty kulturowej

i komunikacyjnej) znamy wierszyk pt. *Abecadło*, rozpoczynający się od słów „Abecadło z pieca spadło...” Litery rzeczywiście „strasznie się potłukły”, doznając charakterystycznych deformacji. „S” się wyprostowało, „L” do „U” wskoczyło, „R” prawą nogę złamało, „O” jak balon pękło, aż „P” się przelęknęło, „W” obróciło się do góry dnem i udaje, że jest „M”. Przekładając ten wierszyk na język posługujący się alfabetem łacińskim, nie napotkamy na trudności na poziomie grafii. Natomiast już przekład na rosyjski wymagać będzie pewnej uwagi. „C” może się wyprostować, „O” pękając jak balon, nawet „Л” może na upartego wskoczyć do „У”, choć jest tam trochę mało miejsca, gdy porównamy z łacińskim „U”. Pewien problem stwarza złamana prawa nóżka „R”, cyryliczne „P” ma bowiem tylko jedną nóżkę. Możliwym ekwiwalentem byłoby jednak „Я”, symetrycznie odwrócone. Czy należy zatem zmienić prawą nóżkę na lewą? Przypomina mi to, niestety, debaty kolegów teoretyków. Znacznie trudniejsze do przetłumaczenia jest zdanie o odwróceniu się do góry dnem i udawaniu innej litery. Żadna z liter cyrylicy (grażdanki) nie może się tak odwrócić, żeby udawać inną. No a chiński, arabski, hebrajski?

Przytoczony wierszyk jest tylko przykładem. Ale w reklamie czy polityce spotykamy się często z „wymową” liter. Krój czcionki może sugerować określone sympatie polityczne, kulinarne i inne. Dla omawianego zagadnienia istotny jest fakt, że sygnały przekazywane przez alofon, fonem, graf(em) często są w translacie realizowane na innym, znacznie wyższym poziomie ekwiwalencji.

Morfemy jako najmniejsze jednostki mające autonomiczne znaczenie często zyskują w translacie odpowiedniki na znacznie wyższym poziomie: morfemowi może w tłumaczeniu odpowiadać słowo, a nawet „związek słów”.

Bywa jednak, że zachodzi odpowiedniość równoległa – na tym samym poziomie – tzn. morfemowi odpowiada morfem. Dzieje się tak najczęściej w przypadku różnych przedrostków i końcówek. Porównajmy: „**przed**wiośnie” – *Vorfrühling*, „**niel**ogiczny” – *unlogisch*, „**siedemnaście**” – *seventeen*, itd. BARCHUDAROW (1979:193) przytacza interesujący przykład odpowiedników niemieckiego i rosyjskiego słowa *backbencher*, w których ekwiwalencja na poziomie morfemów:

Back – bench – er
Hinter – bänk – ler
Задне – скамееч – ник

W znakomitej większości tekstów fakt, że ekwiwalencja zachodzi już na poziomie morfemów, nie ma istotnego znaczenia. W tekstach nacechowanych formalnie: w literaturze, publicystyce i reklamie może to być istotne.

Następnym poziomem ekwiwalencji jest **poziom słów**. Zwolennicy kryterium **DOSŁOWNOŚCI** twierdzą, że wierny przekład to przekład dosłowny, czyli taki, w którym słowo w tekście oryginału odpowiada słowo w tekście przekładu. Istotnie, czasem tak się zdarza, najczęściej jednak w zdaniach krótkich, o prostej budowie, np. *John loves Mary* – „John kocha Mary”; *Männer trinken viel* – „Mężczyźni dużo piją”; „On jest głupi” – *Er ist dumm*. Czy jednak rzeczywiście taka odpowiedniość to stan idealny? Moim zdaniem nie. Już Luter krytykował poprzedników – tłumaczy *Nowego Testamentu*, którzy zdanie *Ex abundantia cordis os loquitur* („Z nadmiaru serca mówią usta”) tłumaczyli dosłownie, i proponował przekład zgodny z sensem tej sentencji (mniej więcej: „Czego serce pełne, to ciśnie się na usta”). Zgodność na poziomie słów została wprawdzie zachowana, nie jest jednak przypadkiem najczęstszym. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że czasem jedno pojęcie wyrażane jest w języku A przez jedno słowo, w języku B zaś za pomocą kilku słów. Porównajmy: *Fleischwolf* – maszyna do (mielenia) mięsa, *Schreibmaschine* – maszyna do pisania czy wręcz (żartobliwe, ale możliwe) – *Oberlandesgerichtspräsidentengattin* – żona przewodniczącego wyższego sądu krajowego.

Co do omówionych już > **KOLOKACJI**, jest wręcz zasadą, że ekwiwalencja zachodzi na poziomie **związku kilku słów**. To samo dotyczy idiomów i innych frazeologizmów. Takie relacje są, kto wie, czy nie częstsze niż ekwiwalencja na poziomie słów. W przypadku sentencji skonwencjonalizowanych sytuacyjnie oraz przysłów ekwiwalencja występuje na poziomie zdania.

Relacje ekwiwalencji pomiędzy poziomami tekstu mogą zatem przedstawiać się następująco:

- grafemy (fonemy)
- morfemy
- grafemy (fonemy)
- morfemy

- słowa
- związki słów
- zdania

- słowa
- związki słów
- zdania

Odrębnym przypadkiem jest **ekwiwalencja na poziomie całości tekstu**, np. gdy mamy do czynienia ze strofą wiersza, której przekład wymagał tak dalece idących transformacji, że teksty odpowiadają sobie jako całości.

„transformacje” „Transformacje” w procesie przekładu

Cudzysłów w podtytule oznacza, że w istocie w procesie przekładu nie mamy do czynienia z transformacjami, tekst oryginalny nie ulega bowiem żadnym zmianom, pozostaje nienaruszony. To, co potocznie określa się mianem **TRANSFORMACJI**, to **różnice** między oryginałem i przekładem wynikające z obiektywnych uwarunkowań danego aktu translacji i subiektywnych decyzji tłumacza. Ponieważ jednak określenie „transformacja” jest ogólnie przyjęte, pozostaniemy przy nim, pamiętając o powyższym zastrzeżeniu.

Wszystkie tego typu transformacje (czy też różnice) można podzielić na cztery bardzo ogólne kategorie, które przytaczam tu za BARCHUDAROWEM (1979:207–253), podobnie jak niektóre przekłady. A zatem, wynikające z procesu translacji różnice między oryginałem i przekładem to:

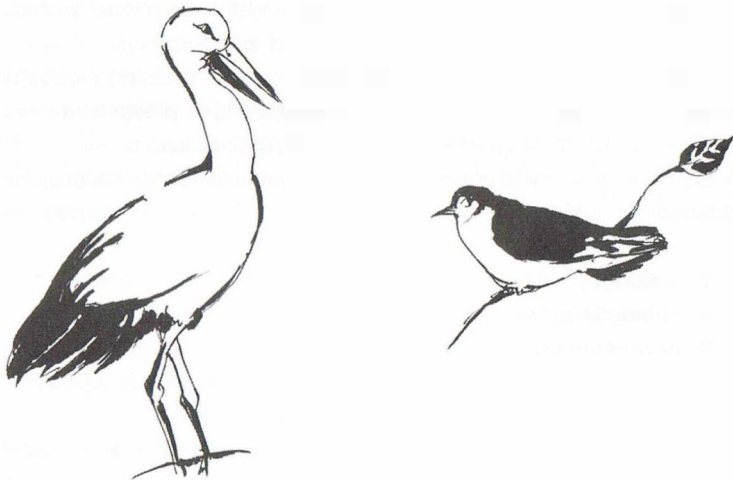
- inwersje,
- substytucje,
- uzupełnienia,
- opuszczenia.

Mają one – jak już wspomniano – zarówno charakter **obiektywny** (tzn. wymuszony normą języka docelowego, konwencją tek-

stową i sytuacyjną, horyzontem poznawczym adresata i wieloma innymi czynnikami determinującymi akt translacji), jak i **subiektywny** (odwołujący się do suwerennej decyzji tłumacza). Nie możemy bowiem ignorować faktu, że tłumaczenie jest także **sztuką** (właściwego) **wyboru**.

W praktyce wymienione powyżej kategorie występują równocześnie – substytucje powodują np. konieczne uzupełnienia czy opuszczenia, a nawet inwersje. Omówmy zatem pokrótce wymienione typy transformacji, nie zapominając, że są to kategorie bardzo ogólne.

Inwersje – inaczej mówiąc przestawienia kolejności elementów – **wymuszone** zostają najczęściej przez normę języka docelowego. W języku angielskim na przykład miejsce danego elementu w szyku zdania często decyduje o jego znaczeniu. Jeżeli w zdaniu *Mary hates John* zmienimy kolejność elementów, zmieni się również sens – *John hates Mary*. Polski jako język fleksyjny może sobie zasadniczo pozwolić na zmianę kolejności bez zmiany znaczenia. W zabawny sposób ujmuje to dziecinny wierszyk: „A było to tak: bociana dziobał szpak, a potem była zmiana i szpak dziobał bociana, a potem były jeszcze trzy takie zmiany. Ile razy był szpak dziobany?”



Jednak w języku polskim szyk zdania również nie jest całkowicie nieistotny i inwersja może zmieniać znaczenie. Porównajmy dwa zdania: „Studentka siedzi w pokoju” oraz „W pokoju siedzi studentka”. W pierwszym zdaniu informacją nową (remat) jest miejsce, w drugim zaś osoba. Niektóre języki „zastrzegają” dla określonych części zdania określone pozycje, np. niemiecki dla odmiennej części orzeczenia („pozycja nr 2” – tzw. *Zweitstellung des finiten Verbs*). Wszystko to powoduje, że porównując oryginał z przekładem, zauważamy niejednokrotnie inwersję, jak w poniższym zdaniu (BAR-CHUDAROW 1979:208):

A suburban train/was derailed/near London/last night.

Unweit von London/entgleiste/gestern Abend/ein Vorortzug.

Ein Vorortzug/entgleiste/gestern Abend/unweit von London.

Gestern abend/entgleiste/unweit von London/ein Vorortzug.

Вчера вечером/вблизи Лондона/сошел с рельс/пригородный поезд.

Wczoraj wieczorem/w pobliżu Londynu/wykoleił się/pociąg podmiejski.

Pociąg podmiejski/wykoleił się/wczoraj wieczorem/w pobliżu Londynu.

W pobliżu Londynu/wykoleił się/wczoraj wieczorem/pociąg podmiejski.

Zacytowane zdanie angielskie ma po niemiecku i po polsku trzy odpowiedniki, różniące się jednak nie tylko szykiem, ale i zaakcentowaniem pewnych treści. Nie jest bowiem bez znaczenia, czy dany element pojawia się na początku, czy na końcu zdania. Zależnie od pozycji, informacje takie, jak „wczoraj wieczorem” czy „pociąg podmiejski”, zyskują na wadze lub zostają potraktowane jako mniej istotne.

Niezależnie od kwestii inwersji (przestawień), powyższy przykład ilustruje również analizowane już zagadnienie ➤ **POZIOMÓW EKWIWALENCJI**. Porównując zdania niemieckie, rosyjskie, angielskie i polskie, widzimy wyraźnie, że ekwiwalenty występują na różnych poziomach tekstu. Porównajmy: *was derailed* = *entgleiste* = *сошел с рельс* = „wykoleił się”. Są to oczywiście także różne formy gramatyczne.

Inwersje dokonywane w wyniku subiektywnych decyzji tłumacza są ważnym narzędziem w przekładzie poezji, zwłaszcza rymowanej, umożliwiając bowiem zachowanie rytmu i stworzenie rymu. To samo odnosi się do pozostałych transformacji – substytucje, uzupełnienia i opuszczenia umożliwiają skonstruowanie strofy o pożądanym schemacie metrycznym (➤ **RODZAJE TŁUMACZENIA, TŁUMACZENIE LITERACKIE**).

Substytucje stanowią bardzo szeroką kategorię, obejmując bowiem różnice między oryginałem a przekładem dotyczące wielu aspektów, zarówno ściśle tekstowych, jak i pozajęzykowych. Odnoszą się one do struktur gramatycznych, składniowych, leksyki, stylistyki, pragmatyki, transferu kulturowego i podobnych zagadnień. Substytucja to, mówiąc inaczej, „coś za coś” – zastąpienie jednego elementu innym. W świetle koncepcji **EKWIWALENCJI FUNKCJONALNEJ** wszelkie zabiegi tłumacza prowadzące do zrealizowania postulatu *equivalence in difference* jest właśnie substytucją. Substytucjami są również **GENERALIZACJA** i **KONKRETYZACJA**, a także – w pewnym sensie – **KOMPENSACJA**. Tłumacząc, zamieniamy kategorie gramatyczne na leksykalne, klasy wyrazów, konstrukcje składniowe, obrazowanie, stylistykę, frazeologię, idiomatykę i metaforykę, zmuszeni jesteśmy bowiem dostosować się do **normy języka docelowego** oraz do horyzontu poznawczego, estetycznego i kulturowego odbiorcy. To właśnie zjawisko substytucji uświadamia nam, że „wiernie” i „adekwatnie” nie oznacza automatycznie „tak samo”.

Ciekawym zabiegiem typu substytucyjnego jest wspomniana wyżej **KOMPENSACJA**. W tekstach nacechowanych formalnie, operujących odniesieniami do stylistyki, frazeologii, ogólnie mówiąc – do relacji intralingwalnych, w tłumaczeniu specyficznych dla danej wspólnoty komunikacyjnej konotacji, frazeologizmów, idiomów, elementów środowiskowych itp. nie zawsze możliwe jest oddanie ich **w tym samym miejscu tekstu**. Jeżeli jednak potraktujemy tekst tłumaczenia jako całość, okaże się, że sygnały archaiczne, gwarowe, stylistyczne itp. możemy umieścić w innych partiach przekładu, tam, gdzie pozwala na to język docelowy, a zatem **kompensując** ich brak w określonej partii tekstu.

Podobnie jak inwersje i substytucje, **uzupełnienia** również mogą być dwójakiego rodzaju: obligatoryjne (czyli wywołane przez czynni-

ki obiektywne) i fakultatywne (czyli subiektywne, wynikające z decyzji tłumacza). Norma języka docelowego wymaga niekiedy wyeksplikowania określonych treści, tzn. wyrażenia ich w tekście. Polski „podmiot domyślny” po niemiecku **musi** zostać wyrażony. Co robi Sonia? Przygotowuje się do egzaminu. – *Was macht Sonia?* **Sie bereitet sich auf die Prüfung vor.** Zauważmy, że w powyższym zdaniu pojawił się także inny dodatek (w postaci rodzajnika). Czasami uzupełnienie wynika z normy stylistycznej. „Byłam wczoraj w kinie z rodzicami” przetłumaczymy na niemiecki raczej jako *Ich war gestern mit **meinen** Eltern im Kino*, nie zaś *Ich war mit den Eltern im Kino*, mimo że to drugie zdanie również jest gramatycznie poprawne (➤ **GRAMATYKALNOŚĆ versus AKCEPTABILNOŚĆ**). Uzupełnienia są konieczne także wówczas, gdy język oryginału postępuje się **elipsą** (opuszczeniem), niedopuszczalnym lub niekonwencjonalnym w języku przekładu. Polszczyzna wykazuje skłonność do wyrażen eliptycznych. „Spotkałem ją na Obrońców” – mówili na przykład mieszkańcy Rzeszowa, mając na myśli ulicę Obrońców Stalingradu (dopóki się tak nazywała). Elipsy używamy również, mówiąc: „na Mickiewicza”, „u wylotu Mickiewicza”, nie zastanawiając się nawet, że ów „wylot Mickiewicza” brzmi bez kontekstu nieco dziwacznie. Po niemiecku wypowiedź tego typu będzie wymagała uzupełnienia: *Ich traf sie an der Mündung der Mickiewicz-Straße*. Uzupełnienia mają też charakter logiczny. Zdanie *I began the book* można przetłumaczyć jako: „Zacząłem **czytać** książkę” albo – jeżeli mówi to autor – „Zacząłem **pisać** książkę”. Treści wyrażone w języku A za pomocą kategorii gramatycznych w języku B są niekiedy wyrażalne za pomocą środków leksykalnych. Zabieg taki, będący równocześnie substytucją, często pociąga za sobą uzupełnienia. „We środy pijał mleko” tłumaczy się jako *Mittwochs **pfl egte** er Milch zu trinken*. Specyficznym rodzajem uzupełnień są dodatki konieczne ze względu na wyrażenie informacji, która w oryginale zawarta jest jedynie implicytnie, np. jako ➤ **KONOTACJA**. Zależnie od rodzaju tekstu, uzupełnienie takie może być bezpośrednio wbudowane w tekst lub wystąpić w formie przypisu czy komentarza. Zdanie: „Zaprosił ją do Wierzyńka” aż prosi się o uzupełnienie, że jest to jedna z najlepszych restauracji w Krakowie, podobnie jak wypowiedź: „W latach międzywojennych pracował na Wierzbowej” wymaga ko-

mentarza, że chodzi o ówczesne Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Przekład na teren kultury odległej wymagać może sprecyzowania okresu owego „międzywojnia”, tak że zdanie to mogłoby (w tekście o charakterze informacyjnym) brzmieć na przykład tak: „W okresie między I i II wojną światową pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mieszczącym się przy ulicy Wierzbowej”.

Ostatni typ transformacji – **opuszczenia** – są niejako „odwrótnością” uzupełnień. Jeśli odwrócimy kierunek tłumaczenia w przytoczonych wyżej przykładach, stwierdzimy, że pewne elementy oryginału nie pojawią się w przekładzie. *Was macht Sonia? Sie schläft.* – „Co robi Sonia? Śpi”. Podobnie zostają wyeliminowane elementy redundantne, czyli zbędne, niezawierające nowej informacji, albo partie tekstu dla odbiorcy oryginału oczywiste – „stan Kalifornia”, „hrabstwo Sussex” – w przekładzie na angielski można sobie ten „stan” i „hrabstwo” czasem podarować, dla adresata polskiego są one jednak informacjami uzupełniającymi. W tłumaczeniu poezji opuszczenia i uzupełnienia wykorzystywane bywają w celu oddania rytmu i odpowiednich struktur metrycznych.

rodzaje... Rodzaje tłumaczenia

W dotychczasowych rozważaniach nie precyzowaliśmy zazwyczaj **rodzaju tłumaczenia**, do którego odnosi się wywód, traktując to zjawisko w sposób ogólny. Tak zwany zdrowy rozsądek (*common sense*) podpowiada, że tłumaczenie zachodzi zawsze pomiędzy dwoma różnymi językami. Tymczasem jest to tylko jeden z trzech podstawowych typów tłumaczenia, tzw. tłumaczenie **INTERLINGWALNE**, czyli międzyjęzykowe. Pozostałe typy to tłumaczenie **INTRALINGWALNE** – wewnątrzjęzykowe – i **INTERSEMIOTYCZNE**, zachodzące między różnymi systemami znaków (niekoniecznie językowych). Ponieważ cały czas zajmowaliśmy się zagadnieniami związanymi z tłumaczeniem interlingwalnym, teraz skoncentrujemy się na pozostałych dwóch jego rodzajach.

Tłumaczenie **INTRALINGWALNE** to **przekład w ramach tego samego języka**. Aczkolwiek brzmi to dziwnie, zjawisko to istnieje i nawet „dorobiło się” w polszczyźnie własnego popularnego określenia – „przetłumaczyć z polskiego na nasze”. Zwrot ten odnosi się do trudno zrozumiałych, oficjalnych tekstów, sformułowań zawoławanych, sugerujących jedynie pewne treści, które można wyrazić o wiele jaśniej – jak mówią Niemcy: *im Klartext*, czyli „tekstem otwartym, prosto z mostu”. Charakterystyczną cechą języków naturalnych jest to, że ten sam stan rzeczy opisać można na wiele sposobów. Ilustracją tego zjawiska była przytoczona powyżej próba „opisania tego, co widzę”, co (jak pamiętamy) doprowadziło do wielu nieidentycznych opisów. Posługując się synonimami, używając generalizacji, konkretyzacji, parafrazy i tym podobnych środków, możemy zatem „wyprodukować” **różnorodne teksty o zbliżonej treści**. Sięgając do różnych rejestrów, można to samo zdarzenie opisać na różnym poziomie stylistycznym, używając różnych poetyk i konwencji tekstowych. Wyobraźmy sobie relacje dotyczące np. wypadku samochodowego. W protokole policyjnym czy sądowym przeczytamy:

„Obywatel szwedzki, Sven J., kierujący samochodem marki ford Escort koloru czerwonego, wyjeżdżając z ulicy Sienkiewicza, na wysokości biura podróży «Gorący Piasek» nie ustąpił pierwszeństwa przejazdu Annie K., kierującej pojazdem marki trabant. W wyniku kolizji pojazd prowadzony przez Annę K. został doszczętnie zniszczony. Kierująca pojazdem Anna K. nie doznała obrażeń. Pomędzy uczestnikami zdarzenia doszło do ostrej wymiany zdań, która przerodziła się w rękoczyn. Szczególnie agresywna okazała się Anna K., która wielokrotnie naruszyła nietykalność cielesną Svena J. w okolicy twarzowej”.

To samo wydarzenie zrelacjonowane przez starszego kulturalnego pana żonie przy obiedzie: „Wiesz kochanie, dzisiaj na Sienkiewicza, koło tego nowego biura podróży, no jak mu tam... «Gorąca Plaża»?... nie, aha, «Gorący Piasek», tak, «Gorący Piasek», no właśnie tam, widziałem wypadek. Z Sienkiewicza wyjechał taki duży czerwony samochód i zaraz uderzył w takie małe szare autko, które od razu się rozleciało. W środku siedziała młoda kobieta, dziwne, wiesz, ale nic się jej nie stało. Wyskoczyła z tych ruin i zaraz

rzuciła się na tego kierowcę, no wiesz, tego z czerwonego auta. Pokrzyzczeni trochę, a potem ona go uderzyła kilka razy w twarz. To chyba był Szwed, ale nie słyszałem dobrze”.

Relacja nastolatka, opowiadającego o zdarzeniu koledze, mogłaby natomiast wyglądać mniej więcej tak: „Wiesz, stary, na Sienkiewicza, koło Piasku, taki czerwony Escort pier...nął w mydelniczkę. Wszystko się rozleciało, baba wyskoczyła i dała temu Szwedowi po mordzie”.

Nie jest to oczywiście dokładne tłumaczenie intralingwalne, porównanie przytoczonych relacji daje jednak wiele do myślenia. Choć opisują to samo zdarzenie, teksty mają różną długość i akcentują różne detale. Raport policjanta jest najdokładniejszy, sformalizowany, przekazuje najwięcej informacji. Opowiadanie starszego pana zawiera powtórzenia, kolokwializmy, przypuszczenia, relacja nastolatka jest natomiast ekspresywna, zwięzła, nacechowana stylistycznie. Każdy z trójki odbiorców (policjant, żona, kolega) uzyska jednak podobny obraz opisywanej sytuacji. Teksty charakteryzują się bowiem **ENTYMATYCZNOŚCIĄ**, wyrwkowością opisu (por. LEBIEDZIŃSKI 1981:54n.). Przedstawiając dane zdarzenie, nie uwzględniamy wszystkich elementów sytuacji – zarysowujemy jedynie ogólne kontury. W przedstawionej sytuacji najważniejsze są takie elementy, jak zderzenie (forda z trabantem), miejsce (ul. Sienkiewicza w pobliżu biura podróży), skutek (rozbicie trabanta, kłótnia i rękoczyn), narodowość i płeć uczestników, kolor forda i nazwa biura podróży. Opisy zdarzenia koncentrują się na tych elementach, pomijając wiele innych szczegółów; nie wszystkie są jednakowo precyzyjne – starszy pan i nastolatek pomijają fakt naruszenia przepisów ruchu drogowego. A więc opis jest wybiórczy. Można sobie jednak wyobrazić kilkunastoricowe opowiadanie, zaczynające się od słów:

„Był piękny wrześnieowy dzień. W pobliżu nowo otwartego biura podróży «Gorący Piasek», położonego przy ulicy Sienkiewicza, rozległ się warkot motoru. Spadzistą ulicą posuwał się z dużą szybkością czerwony ford Escort. Za jego kierownicą siedział Sven J., trzydziestoletni przedsiębiorca ze Sztokholmu. Ubrany był w popelinowy garnitur o jasnoniebieskiej barwie, który jego skandynawskiej urodzie nadawał szczególnego powabu. Sven nie bardzo zwracał uwagę na to, co dzieje się przed maską samochodu, myślami był już bo-

wiem kilka przecznic dalej, w mieszkanku należącym do niedawno poznanej...”. Popuszczając wodzy fantazji, można by powyższy opis uzupełniać coraz to nowymi szczegółami. Oznacza to, że opis językowy zawsze jest w stosunku do opisywanej rzeczywistości wyrwykowy – stanowi mniej lub bardziej dokładne przybliżenie.

Dla pełnej ilustracji zjawiska tłumaczenia interlingwalnego przytoczę test, przeprowadzony przez LEBIEDZIŃSKIEGO (1981:57n.) ze studentami, tłumaczami i dziennikarzami. W ćwiczeniu wzięły udział 34 osoby.

Test

Zastąpić jak najwięcej wyrazów wymiennymi wyrazami lub wyrażeniami bez zasadniczej zmiany treści (pożądane jest przytoczenie kilku wariantów).

- (1) Przedstawiciel firmy wręczył jej czerwone róże i z atencją ucałował w rękę.
- (2) Ale niech mi pan teraz wytłumaczy, co do tego ma Oscar Wilde?
- (3) Jestem współpracownikiem pewnego pisma – odrzekł wreszcie lekarz.
- (4) To nie był mój typ – dodała łaskawie. – Pan rozumie.
- (5) Niech się pan nie fatyguje: jestem zdrowa – odrzekła chłodno niewiasta.

A oto wyniki testu:

- (1) **przedstawiciel** – reprezentant (reprezentujący), pracownik, wysłannik, agent, pośrednik, współpracownik, urzędnik, delegat (delegowany)
firmy – przedsiębiorstwa, zakładu, instytucji
wręczył – ofiarował, podał (dał), obdarował, przekazał
jej – kobiecie, pani X
czerwone róże – pąsowe, płomienne, purpurowe, szkarłatne; kwiaty, gerbery, bukiet czerwonych kwiatów, wiązankę szkarłatnych róż
z atencją – z szacunkiem, uszanowaniem, wyrazem najwyższego szacunku, respektem, uwielbieniem, galante-

rią, uroczyście, z czcią, poważaniem, skupieniem, powagą, pełen rewerencji, z czołobitnością; **ucałował** – pocałował, złożył pocałunek, pochylił się nad jej ręką, cmoknął; w **rękę** – dłoń, prawicę, podaną rękę

(2) **Ale niech mi pan teraz...** – proszę mi..., lecz niech mi kolega..., jednakże proszę mi..., dobrze, ale proszę mi...

wy tłumaczy – wyjaśni (wyjaśnić), objaśnić, powiedzieć (powie)

co do tego ma – co z tym ma wspólnego, jaki ma z tym związek, jaki ma to związek z..., w jaki sposób się to wiąże z..., dlaczego to jest związane z..., jaki wpływ na to ma..., dlaczego kojarzy pan tę sprawę z...

Oscar Wilde – angielski pisarz, autor *Słowika i róży*

(3) **jestem współpracownikiem pewnego pisma** – współpracuję z..., pisuję do..., pisuję korespondencje do pewnego czasopisma (pisuję artykuły do...), pracuję dla pewnego tygodnika, pracuję dla redakcji, jestem zatrudniony w redakcji, współpracuję z pewną gazetą, redakcją, czasopismem, wydawnictwem, jednym dziennikiem; piszę od czasu do czasu do pewnego periodyku, jestem współpracownikiem pewnej gazety, wydawnictwa, jednego z periodyków

odrzekł – odpowiedział, rzekł, odparł, oświadczył, oznajmił, odezwał się

wreszcie – w końcu, na koniec, po chwili, po krótkiej przerwie, po chwili namysłu, po namyśle, po zastanowieniu, po chwili milczenia, na zakończenie

lekarz – doktor, medyk, pracownik służby zdrowia, eskulap

(4) **to nie był mój typ** – nie był w moim typie (guście), nie podobał mi się, on mi się wcale nie podobał, to nie był człowiek (facet) w moim typie (guście), to nie był mężczyzna, który mógłby mi się podobać; taki typ mi nie odpowiadał; to nie było to, czego pragnęłam; to nie był mój ideał

dodała – dorzuciła, powiedziała, uzupełniła

taskawie – życzliwie, przychylnie, przyjaźnie, uprzejmie (z uprzejmością), z uśmiechem, miękkim głosem, protekcyjnie

pan rozumie – wie pan, o co chodzi; no wie pan; to chyba rozumiały; sądzę, że jest to rozumiały; wie pan, co mam na myśli; pan pojmuje; teraz pan rozumie; pan przyswaja

(5) **niech się pan nie fatyguje** – proszę się nie trudzić, szkoda pańskiej fatygi, niech się pan nie trudzi, szkoda pańskiego czasu, nie potrzebuję pomocy, niech pan sobie nie zadaje trudu, niech pan sobie nie przeszkadza, niech pan sobie nie robi zachodu, proszę nie robić sobie kłopotu, niech pan się nie przejmuję, proszę sobie nie zawracać (zaprzątać) głowy, dziękuję panu, proszę się nie fatygować, niech pan się nie kłopotczy (troszczy)

jestem zdrowa – nic mi nie jest, nie jestem chora, nic mi nie dolega, czuję się dobrze, mój stan zdrowia jest dobry

chłodno (odrzekła) – oziębłe, oschłe, chłodnym tonem, sucho, zimno, szorstko, z rezerwą, obojętnie

niewiasta – kobieta, starsza pani

Analizując wyniki przeprowadzonego przez Lebedzińskiego testu, musimy pamiętać, że odpowiedzi podane przez uczestników badania są w pewnym sensie subiektywne i zależne od poczucia językowego testowanych osób. Niewątpliwie można część propozycji zakwestionować jako zbyt swobodne, można też przytoczone ciągi synonimów uzupełnić dalszymi propozycjami. Istotne jest, że każde z pięciu podanych zdań można „przeparafrazować”, czyli – inaczej mówiąc – przetłumaczyć intralingwalnie na bardzo wiele sposobów. Różnice występujące pomiędzy poszczególnymi zamiennikami powyższego testu przypominają jako żywo różnice występujące pomiędzy oryginałem a przekładem w tłumaczeniu interlingwalnym, czyli między parą języków. Możemy sobie – na zasadzie myślowego eksperymentu – wyobrazić, że podane przez osoby testowane propozycje są **retranslacja**mi z różnych

języków. Porównując je między sobą, dostrzeżemy przesunięcia znaczeń, substytucje, generalizacje, konkretyzacje, zmiany zabarwienia stylistycznego, zmiany kategorii gramatycznych na leksykalne i odwrotnie, itp., a więc zjawiska typowe dla tłumaczenia z języka na język. Jednakże – pomijając nieliczne wyjątki – propozycje zmian formalno-językowych dokonane przez uczestników testu nie zmieniają treści powyższych zdań w sposób zasadniczy, jedynie w niewielkim stopniu ją modyfikują. Różnica semantyczna pomiędzy „niech się pan nie fatyguje” a „proszę się nie trudzić”, „pan rozumie” i „pan wie, co mam na myśli” jest minimalna, natomiast „pan przyswaja” różni się już pod względem pragmatycznym (jest żartobliwe, potoczne, ironiczne). Podobnie (logicznie) równoważne są wypowiedzi „jestem zdrowa” i „nie jestem chora”. Proponuję czytelnikowi porównanie propozycji z testu pod względem zmiany znaczenia i ewentualne wysunięcie nowych propozycji. Takie zjawiska, jak **ENTYMATYCZNOŚĆ** tekstu i **PRZEKŁAD INTRALINGWALNY**, przemawiają, moim zdaniem, za tezą ogólnej przetłumaczalności, wykazują bowiem – na tekstach jednego języka – że formalnojęzykowe różnice między tekstami opisującymi te same wydarzenia są dla przekazu treści mniej istotne, niż mogłoby się wydawać.

Z tłumaczeniem **INTERSEMIOTYCZNYM** spotykamy się na co dzień, wypełniając przekaz pocztowy np. na 200 (słownie: dwieście złotych), nawet tego nie zauważając. Dokonujemy w tym momencie zamiany znaków jednego systemu (cyfry) na znaki innego systemu (język naturalny); podobnie, gdy odczytujemy zapis $2 \times 2 = 4$ jako „dwa razy dwa równa się cztery”. To samo zjawisko zachodzi w przypadku symboli chemicznych i zapisów reakcji. F = żelazo, CO = tlenek węgla, H₂O = woda, C₂H₅OH = alkohol etylowy, H₂SO₄ = kwas siarkowy, KCN = cyjanek potasu. Wprowadzenie symboli chemicznych było wielkim postępem, umożliwiło bowiem precyzyjny zapis reakcji, ich substratów i produktów. Alchemicy – protoplaści dzisiejszych chemików – wynajdywali dla różnych związków chemicznych obrazowe nazwy typu: „biała lilia”, „czerwony lew”, „młoda królowa”. Retorta nazywana była „sypialnią”, sama zaś reakcja chemiczna kojarzona z aktem miłosnym. Innym spotykanym na co dzień przykładem tłumaczenia intersemiotycznego jest

tzw. legenda mapy. Znaki niewerbalne, oznaczające miasta określonej wielkości, drogi, mosty, dworce, rzeki, wzniesienia, lasy, parki, cmentarze, kaplice, granice itp., zostają wyjaśnione w danym języku naturalnym. Tak samo, gdy jadąc samochodem w charakterze pasażera, ostrzegamy kierowcę: „Uważaj, będzie zwężenie drogi”, przekładamy treść znaku drogowego na język naturalny. W ten sam sposób postępuje pilot kierowcy rajdowego, czytając mapę. Na dworcach spotykamy tzw. piktogramy, oznaczające np. poczekalnię, przechowalnię bagażu, kasy biletowe, schody, restaurację itp. Wspomniane wyżej systemy znaków niewerbalnych mają zazwyczaj zasięg międzynarodowy. Zdarzają się jednak drobne różnice, uzupełnienia. W Niemczech istnieje znak przedstawiający schematyczny rysunek kościoła i to w dwóch wersjach – żółtej i fioletowej. Żółta oznacza kościół katolicki, fioletowa ewangelicki. Przynależność do określonej wspólnoty komunikacyjnej powodować może mylną interpretację znaku – pewien przebywający nad Wisłą Amerykanin zinterpretował znak drogowy „zakaz wjazdu pojazdów zaprzęgowych” jako „droga rekreacyjna dla osób uprawiających hippikę”, nie przyszło mu bowiem do głowy, że po polskich drogach poruszają się jeszcze pojazdy zaprzęgowe.

Kwestia tłumaczenia intersemiotycznego ma dla praktyki przekładu znaczenie raczej marginalne. Znajomość używanych na obszarze danej kultury systemów znaków niewerbalnych i ich obowiązujących (standardowych) odpowiedników w danym języku należy jednak do szeroko pojętej kompetencji kulturowej, a czasem i fachowej tłumacza – przekład tekstów specjalistycznych z wielu dziedzin wymaga w oczywisty sposób znajomości określonych symboli i oznaczeń oraz umiejętności przełożenia – na przykład skomplikowanej matematycznej formuły – na dany język naturalny. Mimo międzynarodowego charakteru większości wspomnianych wyżej znaków niewerbalnych w różnych wspólnotach komunikacyjnych występują drobne różnice, mogące prowadzić do nieporozumień. Na przykład w Polsce toaletę męską i damską oznacza się czasem trójkącikiem i kółkiem. W Austrii spotkać można niekiedy oznaczenie toalet za pomocą dwóch trójkącików, jeden z nich zwrócony jest wierzchołkiem do góry, drugi w dół. Mężczyzna z Polski, przyzwyczajony do jednoznacznej wymowy trójkątka, może mieć kłopoty...

Poza przytoczonym powyżej podziałem na tłumaczenie interlingwalne, intralingwalne i intersemiotyczne istnieje jeszcze inny: a mianowicie na **TŁUMACZENIE PISEMNE** oraz **USTNE**. W naszych rozważaniach zajmowaliśmy się dotychczas przede wszystkim tłumaczeniem tekstów. Nie zaszkodzi jednak przedstawienie obu tych rodzajów translacji ze wskazaniem na podobieństwa i różnice.

tłumaczenie...

Tłumaczenie pisemne

Łacińska maksyma: ***Verba volant, scripta manent*** wyjaśnia poniekąd, dlaczego znakomita część rozważań teoretycznych i krytycznych na temat przekładu dotyczy tłumaczenia tekstów. Słowa ulatują w nicość, jeżeli więc praca tłumacza ustnego nie zostanie utrwalona w postaci nagrania – a dzieje się tak rzadko – nie pozostanie po niej żaden ślad. Teksty dają natomiast trwałe świadectwo dokonanego procesu przekładu, można je analizować, zmieniać, krytykować, poprawiać, można wreszcie dokonać konkurencyjnego tłumaczenia. W przypadku tłumaczenia tekstów proces przekładu odnosi się z reguły do dwóch sytuacji komunikacyjnych, oddzielonych od siebie w czasie i przestrzeni, połączonych osobą tłumacza, który w sytuacji A (oryginału) wchodzi w rolę adresata, w sytuacji B zaś (przekładu) przejmuje rolę nadawcy komunikatu, uwzględniając zarazem możliwie wszystkie uwarunkowania obu sytuacji. Oddzielenie w czasie i przestrzeni daje tłumaczowi – przynajmniej teoretycznie – czas konieczny na jak najwszechstronniejsze zanalizowanie tekstu oryginału pod względem mającego nastąpić przekładu, wypracowanie hierarchii priorytetów i odpowiednich strategii, umożliwia korzystanie ze > **SŁOWNIKÓW**, > **TEKSTÓW PARALELNYCH**, a nawet > **KONSULTACJI**. Abstrahując od oczywistej > **KOMPETENCJI** językowej, możliwie najbardziej zbliżonej do bilingwalnej, fachowej, kulturowej, encyklopedycznej itd., tłumacza tekstów powinny cechować określone predyspozycje psychiczne, co trafnie ujmuje DZIERŻANOWSKA (1988:15):

Dobrymi tłumaczami tekstowymi mogą się stać przede wszystkim przedstawiciele typu racjonalno-logicznego, którzy w procesie uczenia się języka opierają się na regułach i procesach analitycznych. Ten stosunek do poznawania języka obcego wymaga jednak nie tylko umiejętności jasnego i ścisłego formułowania myśli oraz logicznego rozumowania, ale także takich właściwości charakteru, jak: pracowitość, dokładność, cierpliwość, wnikliwość i swego rodzaju upór, niezbędny na przykład przy poszukiwaniach leksykograficznych.

Przytoczony passus odnosi się do tłumaczeń nieliterackich, fachowych. Wspomniane cechy nie zaszkodzą jednak i tłumaczowi tekstów tzw. literackich (granica umowna!), choć muszą zostać uzupełnione przynajmniej znajomością literatury obu obszarów i kreatywnością językową. Choć może zabrzmie to dziwacznie, tłumaczowi tekstów nigdy nie zaszkodzi pewna podejrzliwość, nieufność w stosunku do własnej kompetencji i podjętych decyzji. Ustawicznie powinien on przeprowadzać coś w rodzaju „translatologicznego rachunku sumienia”, stawiając sobie różnorodne pytania:

- Czy nie jest to przypadkiem fałszywy przyjaciel tłumacza?
- Czy nie przetłumaczyłem dosłownie kolokacji?
- Czy za danym pojęciem nie kryje się jakiś dodatkowy sens, konotacja?
- Czy właściwie zidentyfikowałem stylistyczne nacechowanie danej wypowiedzi?
- Czy wybrany przeze mnie ekwiwalent można w kulturze docelowej zastosować w danej sytuacji?
- Czy jest to jedyny możliwy ekwiwalent?
- Czy jest to na pewno najlepszy ekwiwalent?
- Czy dany termin, znany mi z innej dziedziny, ma w aktualnie tłumaczonym tekście to samo znaczenie?
- Czy podane przeze mnie analogiczne ekwiwalenty realiów nie wymagają uzupełnienia, komentarza?
- Czy nie mam do czynienia z określeniem archaicznym, które w okresie powstania tekstu oryginalnego znaczyło co innego, niż obecnie?

- Czy dokonując konkretyzacji, nie zawężam zbytnio znaczenia oryginału?
- Czy dokonując generalizacji, nie stwarzam dwuznaczności, mogącej prowadzić do istotnego nieporozumienia?
- Czy dokonując substytucji, opuszczenia i uzupełnienia, nie zmieniam sensu wypowiedzi w sposób odbiegający od intencji autora?
- Czy moja znajomość zagadnienia jest na pewno wystarczająca do przetłumaczenia opisu działania maszyny, budowli, procesu technologicznego?
- Czy mam do czynienia z typowym zastosowaniem danego elementu, a może autor oryginału zastosował okazjonalizm?
- Czy znaczenie podane w słowniku na pewno jest właściwym ekwiwalentem?
- Czy nie ulegam zbytnio hipnozie oryginału, łamiąc normę języka docelowego?
- Czy zdaję sobie sprawę z oczekiwań mojego adresata i potencjalnych zastosowań tekstu?
- Czy wiem, jakie aspekty tłumaczonego komunikatu należą (powinny należeć) do inwariantu?
- Czy postarałem się choćby ogólnie ustalić granice tegoż?
- Czy właściwie identyfikuję rodzaj tekstu i związaną z nim charakterystyczną poetykę, styl, słownictwo?
- Czy na pewno ogarniam oryginał w jego komunikacyjnym, treściowym, kulturowym, socjologicznym i sytuacyjnym makrokontekście?
- Czy znam choćby w przybliżeniu docelowy makrokontekst, w którym moje tłumaczenie się pojawi?
- Czy uwzględniłem wszystkie uchwytnie czynniki determinujące dany proces przekładu?
- Czy nie zaniedbałem żadnego źródła informacji bądź konsultacji, które mogłoby być pomocne?

Oczywiście, lista pytań jest niepełna, została też podana w sposób nieuporządkowany – ma przypominać, jak różne pułapki czyhają na tłumacza w miejscach i momentach najbardziej niespodziewanych, o czym świadczą spektakularne „wpadki” nawet bardzo doświadczonych translatorów.

Zasadniczym narzędziem pracy tłumacza tekstów są oczywiście **SŁOWNIKI**. Dzielią się one – z grubsza rzecz biorąc – na bilin-gwalne (a nawet multilingwalne), monolingwalne, ogólne i specjali-styczne. Najczęściej wykorzystywanym typem jest słownik bilingwal-ny, dwujęzyczny, o możliwie dużej liczbie haseł – duże słowniki za-wierają ich po kilkaset tysięcy. (Słownik multilingwalny zawiera hasła w kilku językach. Są to zazwyczaj słowniki specjalistyczne, doty-czące konkretnej dziedziny.) Jednak nie sama liczba haseł decyduje o przydatności słownika. Dobry słownik podaje możliwie dużą i zróżnicowaną liczbę kontekstów, sygnalizuje kolokacje, polisemie i homonimie, podstawowe synonimy i warianty użycia, poprzez tzw. kwalifikatory zaszeregowuje dane wyrażenie czy zwrot do odpowied-niego rejestru stylistycznego, podaje odsyłacze i inne sygnały ułat-wiające pracę. Należy jednak pamiętać, że hasła podawane są zazwyczaj **bezkontekstowo** – w oderwaniu od konkretnej sytuacji komunikacyjnej – i sugerują jedynie potencjalne zastosowanie. Nawet jeżeli słownik podaje przykładowy kontekst, jest on zazwy-czaj typowy, bardzo ogólny. Poza tym nawet najobszerniejsze słow-niki zawierają luki. Doświadczą tego zwłaszcza tłumacz o dużej kompetencji językowej. Wskazane jest więc posiadanie kilku słow-ników, których materiał leksykalny w jakiś sposób się uzupełnia. Słowniki się starzeją, całkiem jak ludzie. Część materiału leksykal-nego dezaktualizuje się, nieustannie pojawiają się nowe słowa i ter-miny, zwłaszcza w dynamicznie rozwijających się dziedzinach. Doty-czy to nie tylko techniki, ale także mody i obyczajowości. Gdy roz-wścieczona małżonka, Mrs. Bobbit, odcięta swemu ślubnemu ową biologiczną *la petite difference*, w języku angielskim pojawił się czasownik *to bobbit*, w sensie *She bobbitted him*. Języki przejmują-ce wiele z angielszczyzny zareagowały natychmiast tworamami typu *bobbitten* (niemiecki) albo „zbobitować” (polski). W języku polskim aspekt dokonany nabierał szczególnego powabu jako czynność w do-myśle nieodwołalna, dokonana, jednakowoż Mr. Bobbit poddał się operacji, która umożliwiła mu powrót do życia erotycznego. Jak doniosła prasa światowa, liczne niewiasty pokusiły się o sprawdzenie praktycznej kompetencji amerykańskich chirurgów. Innego przykładu dostarcza współczesna moda. Dziewczyny (i nie tylko) od pewnego czasu zasmakowały w przekłuwaniu różnych części cia-

ła, by umieścić tam błyszczącą gwiazdkę lub kółeczko. Czynność ta nazywa się ogólnie *to pierce* (po niemiecku *piercen*) i stanowi odległą reminiscencję ozdabiania spotykanego w Afryce. Nasuwa się tutaj dygresja dotycząca transferu kulturowego. Konwencja danej wspólnoty dopuszcza określone typy ozdób, inne zaś kwalifikuje jako „obce”, „prymitywne”, „niewłaściwe” itp. Tymczasem nie ma żadnej istotnej różnicy między przekłuciem ucha (kolczyki) i nosa, łańcuszkiem na przegubie (bransoletka) i na nodze. Tego typu fluktuacje mody, wpływające na powstanie nowych pojęć, zazwyczaj nie mają szansy na pojawienie się w słownikach. Istnieją jednak w konkretnych tekstach i stanowią dla tłumacza trudność. Być może problem ten zostanie rozwiązany dzięki wprowadzeniu powszechnie dostępnych słowników „komputerowych” (Internet, CD-ROM), uzupełnianych na bieżąco.

Słowniki monolingwalne to słowniki zarówno ogólne, jak i specjalistyczne, np. synonimów, kolokacji, homonimów, wulgaryzmów, neologizmów, frazeologiczne, wyrazów gwarowych, języków środowiskowych itp. Są one bardzo przydatne w pracy tłumacza, stwarzają jednak także pewne „niebezpieczeństwa”. Słownik synonimów, a zwłaszcza wyrazów bliskoznacznych, podaje na przykład leksemę o zbliżonym znaczeniu referencyjnym, nie zawsze jednak identyczne pod względem znaczenia pragmatycznego. Dobry słownik synonimów zawiera wprawdzie kwalifikatory, nie zawsze są one jednak dość precyzyjne. Poza tym synonimy nie są absolutnie wymienne; dotyczy to zwłaszcza kolokacji. Stosowanie synonimów wymaga więc dużego wyczucia językowego.

Istnieją także specjalistyczne słowniki bilingwalne, zawierające terminy fachowe z różnych dziedzin, a zatem dwujęzyczne słowniki techniczne, medyczne, terminów prawniczych, geologicznych itp. One również obciążone są niewygodną dla tłumacza cechą „potencjalności”. Wobec istnienia setek tysięcy (jeśli nie milionów) terminów fachowych, używanych *nota bene* różnie w różnych dziedzinach, tłumacz nieposiadający wiedzy fachowej, zdający się jedynie na słownik, najprawdopodobniej nie wybierze trafnego ekwiwalentu. Zaufanie jedynie intuicji jest więc absolutnie niedopuszczalne. Nawet konsultowanie wielu różnych słowników ogólnych, bilingwalnych i monolingwalnych, a także specjalistycznych, może pro-

wadzić na manowce. Niezwykle pouczający jest tutaj przypadek pewnego „siekańca”, który opisuje DZIERŻANOWSKA (1988:112):

W podanym wyżej przykładzie poszukiwania w słowniku monolingwalnym przyniosły pożądany rezultat. Zdarzają się jednak przypadki, gdy ta często pracołębna procedura kończy się niepowodzeniem. Tak było np. z terminem „siekaniec” użytym w pewnym polskim tekście historycznym. Stanisławski podał tylko jeden ekwiwalent tego słowa, a mianowicie: *buck-shot*, w Słowniku Kościuszkowskim w ogóle nie było hasła „siekaniec”. Po sprawdzeniu znaczenia *buck-shot* w słowniku Hornby’ego okazało się, iż jest to rodzaj amunicji (*large-size shot*), czyli sugestia słownikowa nie jest poszukiwanym ekwiwalentem. Po długich, bezowocnych poszukiwaniach w różnych słownikach i encyklopediach, dopiero definicja „siekańca” w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej*: „fragmenty różnych przedmiotów srebrnych, zwłaszcza monet, sztabek i bryłek, używane we wczesnym średniowieczu jako środki płatnicze; siekaniec występuje masowo w znaleziskach archeologicznych na ziemiach nadbałtyckich i zach.-słow. m.in. w Polsce” – zwróciła uwagę tłumacza na to, że być może relikty te nie są w ogóle znane w krajach anglosaskich. Dalsze wyjaśnienia i konsultacje ze specjalistami potwierdziły, że termin ten nie istnieje w języku angielskim i trzeba było użyć formy opisowej. Nieodpowiedzialny tłumacz użyłby ekwiwalentu podanego przez Stanisławskiego, nie zwracając uwagi na to, że „siekaniec” z tłumaczonego tekstu nie jest homonimem wyrazu ze słownika. W rezultacie treść komunikatu została by wypaczona.

Słowniki są zatem pomocą często konieczną, ale niewystarczającą. Tłumacz powinien posiadać również ogólne **ENCYKLOPEDIA** i **LEKSYKONY** (i to w obu językach), a także **WYDAWNICTWA FACHOWE** i **PODRĘCZNIKI AKADEMICKIE** z zakresu, w którym się specjalizuje (również w obu językach). Dzięki porównaniu odpowiednich haseł i partii tekstu umożliwiają one często wyłowienie danego terminu w jego aktualnym znaczeniu. Jednak wspomniane wyżej źródła również mają charakter ogólny, potencjalny. Ich uzupełnieniem może być **TEKST PARALELNY**, równoległy, to znaczy analogiczny do tekstu właśnie tłumaczonego, na przykład podobna w treści umowa najmu, folder doty-

czący produkcji betonów komórkowych albo reklama nowej linii przemysłowej produkcji jogurtów, instrukcja obsługi podobnego urządzenia, referat lub artykuł na analogiczny temat. Z takiego tekstu wyłowić możemy terminy usytuowane kontekstowo w sposób właściwy dla danej dziedziny, a nawet dla zagadnienia cząstkowego. Tekst paraleny dostarczy również informacji na temat „poetyki” i stylistyki danego typu tekstu (➤ **WYBRANE TYPY TEKSTÓW A PROCES PRZEKŁADU**). Ale nawet wszystkie wspomniane metody nie gwarantują sukcesu. Może się zdarzyć, że konieczna okaże się **KONSULTACJA** – z **autorem** (jeżeli mamy z nim kontakt) lub **specjalistą z danej dziedziny**. Tego typu konsultacja nie jest w żadnym wypadku świadectwem braku kompetencji tłumacza, wręcz przeciwnie – świadczy o jego **profesjonalnej odpowiedzialności**. Wobec **WIELOŚCI ŚWIATÓW**, spotykanych w różnych dziedzinach ludzkiej działalności, wszelkie istniejące słowniki i inne teksty pomocnicze oraz studia przygotowujące do zawodu tłumacza są jedynie – mówiąc żartobliwie – „grami wstępnymi”, preludiami, drogami, prowadzącymi do **każdorazowego poszukiwania właściwych rozwiązań**. Żadna szkoła kształcąca tłumaczy nie wyprumuje „omnibusa”, który wie „wszystko”, nawet w bardzo wąskiej, wyspecjalizowanej dziedzinie. W monachijskim instytucie kształcącym tłumaczy podziwiałem glosariusz (słownik) niemiecko-angielski dotyczący produkcji obuwia. Wydawałoby się, że jest to dziedzina nieskomplikowana. Tymczasem wspomniany glosariusz liczył ponad **cztery tysiące jednostek**, czyli tyle, ile zawiera podstawowa baza leksykalna dowolnego języka obcego. Wobec produkcji butów samochód przedstawia „świat” znacznie bardziej skomplikowany, nie mówiąc już o specjalistycznych maszynach, funkcjonujących w różnych dziedzinach przemysłu. Wspomnianą **WIELOŚĆ ŚWIATÓW** moje prywatne doświadczenie może jedynie potwierdzić. Ekwiwalenty takich terminów, jak „dwanik bitumiczny”, „pogłówny generalne” czy „obrona potoczna” (te dwa ostatnie z okresu wojen tureckich), można ustalić za pomocą słowników i innych źródeł. Bywa jednak, że pojawia się tekst oryginalny, dotyczący **obiektu w języku docelowym dotychczas nieopisanego**. Tłumaczenie zasad funkcjonowania importowanej po raz pierwszy skomplikowanej maszyny dziewiarskiej czy drukarskiej wymaga na przykład współpracy filologa i inżyniera danej branży, a przede wszystkim dokładnego poznania zasad jej pracy. Przetłumaczenie instrukcji ob-

sługi (opisu działania) takiego urządzenia jedynie na podstawie lektury słowników, choćby najobszerniejszych, jest absolutnie niemożliwe. Wspomniana wielość światów nie dotyczy jedynie techniki. Przypominam sobie tłumaczenie tekstu archeologicznego na niemiecki, w trakcie którego z konieczności konsultowałem z autorem wygląd wykopanych przedmiotów (pokazywał mi fotografie i rysunki), na podstawie samego opisu językowego niemożliwe było bowiem dobranie właściwych ekwiwalentów. Jeszcze ciekawszy był przypadek tłumaczenia pracy dotyczącej włoskich ram renesansowych. Autorka pracy posługiwała się istniejącą niemiecką literaturą przedmiotu, nie dysponowała jednak polskimi ekwiwalentami opisu, ponieważ takie w większości przypadków nie istniały. Na podstawie niemieckiego tekstu rysowałem profil ramy, a potem wspólnie wymyślaliśmy dostatecznie obrazowe polskie odpowiedniki. A zatem – tłumacz nigdy nie wie do końca, z jakimi trudnościami przyjdzie mu się borykać. Żartobliwie podsumowując – ukończenie uczelni medycznej albo akademii sztabu generalnego także nie gwarantuje sukcesu – pacjent może umrzeć, a pierwsza bitwa zakończyć się klęską.

tłumaczenie...

Tłumaczenie ustne

W naszych dotychczasowych rozważaniach poświęciliśmy uwagę przede wszystkim tłumaczeniu tekstów. Nie zaszkodzi jednak przytoczyć kilku ogólnych spostrzeżeń dotyczących tłumaczenia ustnego, które – rzecz jasna – nie wyczerpią tematu. Tłumaczenie ustne jest zjawiskiem o **wiele starszym** od tłumaczenia pisemnego. Na długo przed wynalezieniem pisma handlowa wymiana międzyplemienna, walki i migracje stwarzały konieczność porozumiewania się ludzi mówiących różnymi językami, a co za tym idzie – tłumaczenia ustnego. Ze względu na ulotność zjawiska refleksja teoretyczna nad tłumaczeniem ustnym pozostaje jednak daleko w tyle za obszerną literaturą dotyczącą tłumaczenia pisemnego. Dopiero możliwość nagrywania tłumaczonych rozmów umożliwiła ich analizę.

Tłumaczenie ustne różni się od pisemnego pod kilkoma istotnymi względami. Bodajże najważniejsza jest **jednoczesność sytuacji**, to znaczy fakt, że tłumacz uczestniczy w tej samej sytuacji komunikacyjnej, co nadawca i adresat komunikatu (co do wyjątków **► TYPY MIESZANE TŁUMACZENIA**). Umożliwia to wgląd w sytuację, a nawet ewentualną konsultację z uczestnikami rozmowy. Nie zachodzi zatem konieczność rekonstrukcji pierwotnej sytuacji komunikacyjnej, często niezwykle trudnej w przypadku tłumaczenia pisemnego. Ta jednoczesność sprawia jednak, że tłumacz ustny jest w bardzo znacznym stopniu zdeterminowany **czynnikiem czasu**. Konieczne rozstrzygnięcia podejmować musi błyskawicznie i zazwyczaj są one ostateczne, bo na poprawki i uzupełnienia czy pytania skierowane do uczestników rozmowy można sobie pozwolić jedynie w ostateczności; szczególnie trudne jest to w sytuacjach oficjalnych. Presja czynnika czasu sprawia, że absolutny priorytet ma **treść i intencja** komunikatu, jego **postać** jest mniej istotna i nie zostaje dokładnie odwzorowana w procesie tłumaczenia, bo jest to po prostu niemożliwe. PISARSKA i TOMASZKIEWICZ (1996:193) przytaczają w tym kontekście interesującą wypowiedź SELESKOVITCH, dotyczącą tłumaczenia ustnego: „Jest ono łatwiejsze do zanalizowania niż tłumaczenie pisemne, bo jest to pierwszy odruch, tłumaczenie jakby nie oczyszczone, nie poddane żadnym zabiegom postredakcyjnym. Dobre tłumaczenie ustne odzwierciedla dokładnie proces całego przekładu”. Z ostatnią tezą można wprawdzie polemizować, bo jest zbyt uogólniająca i nie uwzględnia skomplikowanych procesów zachodzących w umyśle tłumacza, dla naszych rozważań istotne jest jednak, że tłumaczenie ustne w swej spontaniczności i jednorazowości siłą rzeczy odrzuca aspekty mniej istotne i koncentruje się na komunikacyjnej wartości przekazu. Obserwując tłumaczenie ustne, obserwujemy teksty oryginału i przekładu *in statu nascendi* (WAWRZY尼亚K 1991:81). Zasada procesu tłumaczenia: „**od tekstu do sensu i od sensu do tekstu**” (por. PISARSKA i TOMASZKIEWICZ 1996:195) nabiera w przypadku tłumaczenia ustnego szczególnej wyrazistości. Tłumacza ustnego w znacznie mniejszym stopniu możemy rozliczać z niuansów, jakże ważnych w przekładzie pisemnym. Wspomniana „tolerancja” okupiona jest jednak innymi niedogodnościami. Tłumacz ustny posia-

dać powinien określone cechy charakteru, inaczej mówiąc – predyspozycje psychofizyczne, które DZIERŻANOWSKA (1988:15) – w odniesieniu do tłumacza konferencyjnego – przedstawia następująco: „Powinien on umieć błyskawicznie reagować na każdą sytuację, potrafić natychmiast wczuć się w strukturę psychiczną człowieka, którego słowa przenosi w danej chwili na inny język, odznaczać się znakomitą pamięcią i zdolnością koncentracji, aby nie pominąć żadnego ważnego elementu tłumaczonej wypowiedzi, a jednocześnie posiadać umiejętność syntetyzowania cudzych myśli. I, rzecz oczywista, mieć tzw. żelazne nerwy”.

Powyższy *passus* zwraca uwagę na istotne aspekty: szybkość reakcji, odporność na stres, zdolność empatii, umiejętność syntetyzowania sensu wypowiedzi (czyli oderwania się od jej powierzchniowego kształtu) oraz pojemną pamięć krótkotrwałą. Pozostaje sprawą otwartą, na ile rzeczony cechy i predyspozycje psychofizyczne są w danym wypadku wrodzone, a w jakim stopniu nabyte drogą ćwiczeń i wieloletniej praktyki.

W ramach tłumaczenia ustnego dokonuje się podstawowego rozróżnienia na tłumaczenie **SYMULTANICZNE** i **KONSEKUTYWNE**. Tłumaczenie symultaniczne jest – zgodnie z określeniem – **tłumaczeniem równoczesnym**. W praktyce absolutna równoczesność nie zachodzi, ponieważ już poniżej poziomu zdania występują najczęściej inwersje (przestawienia) odpowiadających sobie elementów, tak że tłumaczenie albo **spóźnia się** w stosunku do mówcy (tłumacz czeka np. na istotny dla treści wypowiedzi element, który pojawi się dopiero na końcu zdania, np. tzw. klamra w języku niemieckim), albo go **wyprzedza**. Wyprzedzanie myśli mówcy oryginalnego wiąże się z ryzykiem „nietrafienia” w jego intencje, jest jednak w przypadku wypowiedzi stereotypowych możliwe. Pozwala uniknąć irytujących przerw w toku wypowiedzi, jak to ma miejsce w kolportowanej w środowisku tłumaczy anegdocie: „Mówca do tłumacza: – Dlaczego pan przestał mnie tłumaczyć? Tłumacz: – Czekałam na orzeczenie”. Tłumacz symultaniczny, nawet nie uświadamiając sobie zbytnio tego faktu, niczym prestidigitator „operuje” czasem wypowiedzi, dokonuje skrótów i syntez (substytucje, generalizacje, opuszczenia), przyspiesza lub opóźnia, zwalniając tempo wypowie-

dzi, aby „czekanie na orzeczenie” nie stało się zbyt widoczne. Do równoczesności wypowiedzi najbardziej zbliża się tłumacz > **KABINOWY**, który dzięki słuchawkom może słyszeć i mówić równocześnie, ale nawet on spóźnia się o parę sekund w stosunku do mówcy oryginalnego, musi bowiem usłyszeć określoną treściowo samodzielną jednostkę tekstu, zrozumieć ją i odnaleźć ekwiwalent w języku docelowym. Wszystko to – nawet przy dużym stopniu automatyzacji – wymaga kilku chwil. Tłumacze symultaniczni pracujący bez słuchawek – tłumaczenie różnych wystąpień „na żywo” – dokonują w zasadzie tłumaczenia „minikonsekutywnego”, następczego, to znaczy przekładają konsekutywnie małe, znaczeniowo samodzielne całości wypowiedzi, części zdań lub krótkie zdania swojego mówcy. Idealnym partnerem jest mówca, który zgadza się na układ typu: „Panie ministrze (pośle, prezydencie, prezesie), proszę mówić krótkimi, prostymi sekwencjami i po chwili – albo gdy dam panu znak – przerwać. Inaczej i tak panu wszystko pozmieniam”. Ta groźba jest prawdziwa. Skomplikowane, wielokrotnie złożone zdania, ukwiecone dobrą lub – częściej – złą retoryką, w tłumaczeniu symultanicznym ulegają istotnym deformacjom, są tak czy owak redukowane do sensów, przy czym złożona struktura wypowiedzi taką konieczną redukcję jedynie utrudnia. Naiwny mówca ulega złudzeniu, że jego elukubracje (tak się właśnie te niedonieszone płody retoryczne określa) docierają niezakłócone do słuchaczy. Nic bardziej błędnego. Prosto i logicznie sformułowany tekst, podany tłumaczowi w małych, „strawnych” dla jego pamięci porcjach, dotrze do odbiorców znacznie mniej zniekształcony i wywoła lepszy efekt. Zmorą tłumaczy są mówcy używający okazjonalizmów, idiomów, obrazowych (często niejasnych) porównań czy metafor – wystarczy przypomnieć Wałęsowskie „puszczanie w skarpetkach” albo „Jestem za, a nawet przeciw”. Jeżeli mówca w ferworze wypowiedzi zapomni, że jest tłumaczony, i jego wypowiedź trwa zbyt długo, tłumaczenie z symultanicznego zamienia się, chcąc nie chcąc, w tłumaczenie **KONSEKUTYWNE**, czyli następcze. Polega ono na tym, że tłumacz przekłada dłuższe sekwencje mówcy po ich zakończeniu, co sprowadza się zazwyczaj do syntezy i streszczenia wypowiedzi. Im dłuższa wypowiedź, tym bardziej przekład oddala się od konkretnej postaci tekstu wyjściowego. Tłumacz konseku-

tywny robi zazwyczaj podczas wypowiedzi mówcy **NOTATKI**. Nie należy uznawać tego za dowód braku pamięci, lecz za oznakę odpowiedzialności. Z robienia notatek należy jednak zrezygnować w sytuacjach bardzo podniosłych i oficjalnych. Wtedy tłumacz musi zdać się na swoją niezawodną (?) pamięć. Na pociechę można jednak dodać, że w tego typu sytuacjach mówcy posługują się stereotypami językowymi, w znakomitej większości przez doświadczonego tłumacza **zautomatyzowanymi**. Oba wspomniane zagadnienia – **technika robienia notatek** i **automatyzacja użycia określonych stereotypów językowych** – są dla tłumaczenia ustnego bardzo istotne. Zacznijmy od stereotypów. Większość sytuacji oficjalnych „obsługiwana” jest przez skonwencjonalizowane wyrażenia i zwroty. W rozmowach, negocjacjach, a nawet dyskusjach naukowych powtarzają się utarte schematy językowe, nie mówiąc już o sytuacjach z życia codziennego, a i takie przecież zdarza się tłumaczyć. Doświadczony tłumacz nie tłumaczy „słowa po słowie”, zapamiętuje jedynie charakter aktu językowego i znajduje dla niego w sposób niemal bezrefleksyjny adekwatne, stereotypowe sformułowanie w języku docelowym. Przyjrzyjmy się dwunastu dowolnie wybranym „zadaniom językowym”:

- | | |
|---------------|------------------|
| ■ powitanie | ■ pożegnanie |
| ■ żal | ■ radość |
| ■ odmowa | ■ niezadowolenie |
| ■ poparcie | ■ polemika |
| ■ wdzięczność | ■ współczucie |
| ■ pochwała | ■ wątpliwość |

Pamiętając o celu, który chcemy osiągnąć za pomocą wypowiedzi językowej, sięgamy przede wszystkim do utartych, stereotypowych rozwiązań. Każdy z podanych „celów” ma odpowiedni zasób skonwencjonalizowanych sformułowań i to na różnych poziomach stylistycznych. Interesującym zadaniem jest „rozwiniecie” takich haseł-celów i kontrastywne ich zestawienie w różnych językach. Jako przykład przytoczymy tutaj kilka stereotypowych sformułowań polskich. „Chciałbym bardzo serdecznie powitać...”, „Witam bardzo serdecznie...”, „Żegnając się z państwem...”, „Jest mi niezmiernie przykro,

że...”, „Niestety, zmuszony jestem odmówić”, „Przykro mi bardzo, ale...”, „...jest szczególnym powodem do dumy”, „Możemy z satysfakcją spoglądać na dokonania...”, „Nie chciałbym pani urazić, jednak...”, „Mimo wszystko nie mogę się w pełni zgodzić z poglądami kolegi X...”, „W przedstawionej argumentacji pewną wątpliwość może budzić...”, „Jeżeli mam być szczerzy...”, „Całkowicie zgadzam się z przedstawionymi przez panią minister тезami, ale...”, „Należy z pełną stanowczością stwierdzić, że zaproponowane przez firmę X rozwiązanie jest...”, „Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia”. Niestety, tak właśnie mówimy, zwłaszcza w sytuacjach oficjalnych – stereotypowo, szablonowo, w sposób pozbawiony cech indywidualnych. Ale użycie tych gotowych „prefabrykatów” odciąża mózg, który może zająć się innymi, ważniejszymi sprawami, właściwym sensem wypowiedzi. Stereotypowość wypowiedzi jest też z tego samego powodu dużym ułatwieniem dla tłumacza. Przypomina mi się symultaniczne tłumaczenia wystąpienia Michaiła Gorbaczowa (z rosyjskiego na niemiecki), które śledziłem w telewizji. Tłumacz był bardzo dobrym fachowcem. Gdy tłumaczył stereotypowe sformułowania, w które zrytualizowany język polityki radzieckiej – nawet w okresie „pierestrojki” – był szczególnie bogaty, jego przekład był pod każdym względem perfekcyjny. Kiedy jednak Gorbaczow odchodził od językowej sztampy, tworzył własne, indywidualne konstrukcje językowe, tłumacz zaczął nabierać rosyjskiego akcentu. Jednostki w pełni zautomatyzowane wymawiał absolutnie poprawnie. W momentach, gdy maksimum uwagi musiał skoncentrować na skomplikowanej treści wyrażanej w sposób niekonwencjonalny niejako „zapominał” o fonetyce. Trudno jest robić dobrze dwie rzeczy na raz.

Jak już wspomniano, tłumacz konsekwentny robi podczas wypowiedzi mówcy **NOTATKI**. Notując, zwraca uwagę przede wszystkim na sensy i konkretne treści, a nie na słowa i sformułowania, chyba że są one wyjątkowe. Ponieważ zapis manualny jest kilkakrotnie wolniejszy od mowy, tłumacz – jeżeli nie zna stenografii – musi posługiwać się skrótami i symbolami. Większość tłumaczy wykształca z czasem własny system notacji; wszystkie te indywidualne systemy mają pewne cechy wspólne. Jean Francois ROZAN wyróżnił siedem podstawowych zasad tworzenia takich systemów (por. SNELL-HORNBY 1998:368n.):

- 1) prymat sensu nad konkretną postacią tekstu,
- 2) reguły tworzenia skrótów,
- 3) zaznaczanie wzajemnych powiązań elementów wypowiedzi,
- 4) zaznaczanie negacji,
- 5) zaznaczanie akcentuacji,
- 6) przejrzystość zapisu (np. w sposób wertykalny, „jedno pod drugim”),
- 7) reguły opuszczania powtarzających się terminów.

ROZAN zaproponował około dwudziestu prostych, ogólnie zrozumiałych symboli, typu: „, znaczy – powiedział, wypowiedział się, zgłosił się do dyskusji; ; znaczy – uważa, jest zdania; > znaczy – wynikanie, konsekwencję, ? – znaczy – pytanie, problem, itp. System taki można poszerzyć o powszechnie używane symbole matematyczne lub fizyczne (wzrost, spadek, dąży do, suma, wynik, równoważność, zaprzeczenie, minus, plus, równa się w przybliżeniu, nie jest tożsame z itd.).

Wysoko wyspecjalizowaną grupą tłumaczy ustnych są tłumacze **KABINOWI**. Tłumaczą zwykle konferencje, sympozja i spotkania polityków, stąd używane często określenie „tłumacz **KONFERENCYJNY**”. Kabina stosowana w tłumaczeniach konferencyjnych jest – wbrew pozorom – z perspektywy użytkownika urządzeniem technicznie nieskomplikowanym, jej podstawowe wyposażenie składa się bowiem z mikrofonu, regulatora głośności i słuchawek. Powinna być równocześnie dźwiękoszczelna i mieć dobrą wentylację, co nie zawsze idzie ze sobą w parze. Istnieją też przenośne parawany, przynajmniej częściowo odgradzające tłumacza od niekorzystnych bodźców akustycznych płynących z sali. Niezwykle ważne jest takie usytuowanie kabiny, aby tłumacz miał kontakt wzrokowy z mówcą – aby go po prostu widział i mógł śledzić jego zachowanie. Niestety, nie zawsze jest to możliwe. Kontakt wzrokowy niezbędny jest jednak do śledzenia **MOWY CIAŁA**, inaczej mówiąc – wysyłanych przez mówcę sygnałów niewerbalnych, gestykulacji, mimiki, postawy i w ogóle całej sytuacji. Na co dzień nie uświadamiamy sobie znaczenia **sygnałów niewerbalnych** – uniesienia brwi, na wpół ironicznego uśmiechu, akceptujących lub negujących ruchów dłoni i korpusu, spojrzeń, westchnień; ukło-

nów, nieświadomych skinięć głową, grymasów niezadowolenia, mimiki przyzwalającej akceptacji czy hamowanej agresji, oznak sugerujących dominację, zbratanie, podporządkowanie, zachętę, odrzucenie, strach. Są one atawizmami, odziedziczonymi po wspólnych przodkach, prymatach, bądź też znakami skonwencjonalizowanymi przez daną kulturę. Wyprostowana postawa i uniesiona wysoko głowa z zadartym podbródkiem sugeruje chęć dominacji, prezentacji własnej osoby, pochylenie do przodu, przyczajenie się – gotowość do podjęcia walki, skrzyżowanie ramion na piersi – obronny dystans; objęcie partnera za ramiona i poklepywanie po plecach, przyłożenie drugą dłonią podanej ręki – dominującą akceptację, dotykanie nosa zaś – zakłopotanie. Można by się tutaj dopatrywać > **UNIWERSALIÓW** mowy ciała, sygnały tego typu są jednak także zróżnicowane kulturowo. W Chinach pokazanie języka oznacza zdziwienie, w Bułgarii skinięcie głową w dół – zaprzeczenie. Dla tłumacza ustnego, nie tylko kabinowego oczywiście, są to ważne elementy uzupełniające treść komunikatu. Sama sytuacja również zawierać może wydarzenia, które tłumacz powinien widzieć. Pewien znany radziecki polityk posunął się na forum ONZ tak daleko, że z braku argumentacji słownej zdjął but i uderzał nim w mównicę. Może się też zdarzyć, że gestykulując w trakcie wypowiedzi o treści „należy się liczyć z sytuacjami nieprzewidywalnymi”, mówca przewróci szklanekę z wodą. Wywoła to oczywiście śmiech publiczności i jeżeli tłumacz nie będzie mógł śledzić tej scenki, niespodziewana reakcja sali może go wybić z konceptu. Chwilowa utrata koncentracji i panowania nad tłumaczonym tekstem jest dla tłumacza ustnego, a zwłaszcza kabinowego, poważnym niebezpieczeństwem. Ten ostatni nie może po prostu poprosić mówcy o uściślenie lub powtórzenie wypowiedzi. Wynika stąd ogromne napięcie psychiczne. Dlatego w trakcie prestiżowych konferencji w każdej kabinie znajduje się dwójka tłumaczy, którzy wymieniają się co 20–30 minut. Jeden z nich tłumaczy wypowiadany tekst, drugi zaś śledzi proces tłumaczenia i czeka w pogotowiu, aby w razie potrzeby odpowiedzieć właściwy termin albo odnaleźć go w przygotowanych materiałach. Większość konferencji, zwłaszcza tych wysoko specjalistycznych, naukowych, wymaga bowiem **uprzedniego przygotowania**. Myli się ten, kto

sądzi, że tłumacz konferencyjny zjawia się ze swoją absolutną wiedzą specjalistyczną i filologiczną pięć minut przed rozpoczęciem obrad i tłumaczy wszystko *a vista*. Idealne przygotowanie międzynarodowej, zwłaszcza multijęzykowej konferencji zakłada zaznajomienie się tłumaczy z poszczególnymi referatami ze specjalistycznym słownictwem, sporządzenie odpowiednich glosariuszy i zestawów terminów oraz „obczytanie” się w literaturze zagadnienia, i to na kilka tygodni wcześniej. Proza życia sprawia jednak, że jest to rozwiązanie rzeczywiście idealne, w praktyce spotykamy zatem także tłumaczy przekładających przez wiele godzin w dusznej kabinie bez kontaktu z mówcą niezwykle specjalistyczne wypowiedzi, z których terminologią i materiałem zetknęli się po raz pierwszy. Konferencje, w których uczestniczą mówcy władający kilkunastoma językami, zwłaszcza tymi bardziej egzotycznymi, z konieczności posługują się tłumaczeniem „z drugiej ręki”, typu *relais*. Wypowiedź po litewsku bywa na przykład przekazywana do kabiny tłumacza na angielski, a stamtąd, na podstawie wersji angielskiej, tłumaczona na przykład na węgierski, co wynika z faktu, że organizatorzy konferencji nie dysponują tłumaczem przekładającym z litewskiego na węgierski. Oczywiście straty i wypaczenia związane z takim procederem są jeszcze większe, niż w przypadku zwykłego tłumaczenia międzyjęzykowego.

Niejako na zakończenie uwag dotyczących tłumaczenia ustnego chciałbym podać kilka życiowych, praktycznych wskazówek. Tłumacz ustny (pomijając kabinowego, pracującego w swej specyficznej „wieży z kości słoniowej”) jest uczestnikiem bardzo różnorodnych sytuacji międzyludzkich. Może się zdarzyć, że politycy o mniejszym formacie człowieczeństwa potraktują tłumacza jako rodzaj mówiącego urzędnika, niezastępującego nawet na podanie ręki. Nie należy się wtedy obrażać, lecz „robić swoje”. Specyficznym rodzajem „zemsty” jest tłumaczenie idiotyzmów wypowiedzianych przez takie osoby bez łagodzącego retuszu. Z drugiej jednak strony tłumacz nie powinien ingerować w tekst rozmowy – powinien „znać swoje miejsce”, nie wyróżniać się zachowaniem, strojem i gestykulacją. W sytuacjach nieformalnych, często zakrapianych alkoholem, spoczywa na nim pewna odpowiedzialność łagodzenia konfliktów i umiejętnego „pilotowania” swojego klienta, tłumaczki powinny zaś

w sposób delikatny, lecz stanowczy, odpiesać ewentualne erotyczne ataki rozmówców, bo i takie się zdarzają. Zwłaszcza w rozmowach kularowych i niewymuszonych bardzo przydaje się ► **KOMPETENCJA** kulturowa, socjalna i towarzyska tłumacza. Podczas spotkania przedstawiciele wielu różnych wspólnot komunikacyjnych może dojść do wielu niezamierzonych (!) napięć.

Przed bankietem czy kolacją, w których mamy uczestniczyć jako tłumacz, dobrze jest zjeść „Małe Conieco”, ale nie za dużo. Głodny tłumacz może przeżywać istne męki Tantala, widząc opychających się różnymi frykasami uczestników obrad. Im „wolno” mówić z pełnymi ustami czy milknąć na czas konieczny na przeżucie i przetłknięcie smakowitości. Tłumacz musi swoją jamę ustną zarezerwować do innych celów. Zdarzają się jednak „kulinarni przyjaciele tłumacza”, którzy na widok pustego talerza wołają pełni współczucia: „A nasz biedny kolega tłumacz! Przecież on nic nie je, nic nie pije! Pan się powinien wzmacnić!” Wzmocnienie powinno przebiegać jednak na tyle małymi porcjami, aby w każdej chwili można było powrócić do pracy.

typy... Typy mieszane tłumaczenia

Oprócz tłumaczenia pisemnego i ustnego istnieją typy mieszane: tłumaczenie ustne tekstu pisanego i przekład pisemny wypowiedzi ustnej. Wbrew większości pozycji teoretycznych zajmujących się translatoryką, nie są one bynajmniej zjawiskiem marginalnym. W praktyce bardzo często zdarza się, że tłumaczymy np. list, na zasadzie polecenia czy prośby: „Proszę mi powiedzieć, co oni tam do mnie napisali”, nie troszcząc się zbytnio o formę i streszczając jedynie meritum sprawy. Podobnie przekładamy instrukcję obsługi niedawno zakupionego urządzenia, wyjaśniając na podstawie tekstu funkcjonowanie maszyny, pokazując odpowiednie czynności; na wycieczce zagranicznej tłumaczymy treść tablicy pamiątkowej czy epitafium uczestnikom nieznanym języka, w restauracji przekła-

damy a *vista* kartę dań (wbrew pozorom trudne zadanie, wymagające znajomości wielu realiów), w filharmonii wyjaśniamy istotne punkty programu, co niemożliwe jest bez znajomości terminów z dziedziny muzyki, w muzeum tłumaczymy tytuły obrazów i komentarze do ekspozycji. Jeżeli w grupie turystycznej (np. polskojęzycznej) towarzyszy nam „nasz” cudzoziemiec, zmuszeni jesteśmy wycofać się na jej obrzeże i tam szeptem (aby nie przeszkadzać innym) dokonywać „cichego indywidualnego przekładu”. Zdarza się to czasem w teatrze lub kinie, graniczy jednak z niegrzecznością, jeśli przeszkadza innym uczestnikom imprezy (a zazwyczaj niestety przeszkadza). Nawet tłumacz kabinowy – z definicji reprezentant tłumaczenia ustnego – może posługiwać się wcześniej opracowanym tekstem wygłaszanego właśnie referatu albo przygotowanymi zestawami terminów, a więc źródłami pisаныmi. Z kolei dziennikarz, który nagrał wypowiedź albo rozmowę, spisuje ją z dyktafonu „kawałek po kawałku”, a następnie dokonuje tłumaczenia pisemnego. Tak samo tłumacz znający stenografię utrwała na piśmie wypowiedź ustną w celu późniejszego przekładu. Opracowujący napisy tłumacz dialogów filmowych korzysta równocześnie z utrwalonej na piśmie listy dialogowej i z samego obrazu filmowego zawierającego wypowiedzi aktorów oraz inne informacje konieczne do zrozumienia całości. Tłumaczenie reklam wymaga oprócz uwzględnienia samych tekstów zwrócenia uwagi na tło socjologiczno-kulturowe i **multimedialność** wypowiedzi.

wybrane...

Wybrane typy tekstów a proces przekładu

Już tych kilka przykładów pokazuje, że kategorie i rozróżnienia teoretyczne, aczkolwiek w zasadzie słuszne, są wobec praktycznej rzeczywistości nieostre. Tak samo rzecz się ma z podziałem tłumaczonych tekstów ze względu na ich charakter. Znany podział na teksty literackie i nieliterackie jest – jak wielokrotnie wspominałem – dalece niewystarczający. Z jednej strony teksty użytkowe

zawierają często środki wyrazu typowe dla literatury (publicystyka, reklama, teksty prasowe, wystąpienia polityczne), z drugiej zaś powieść realistyczna czy zbiór reportaży literackich zawierać mogą terminy fachowe i odniesienia do **WIELOŚCI ŚWIATÓW** techniki, nauki i codzienności. WAWRZY尼亚K (1991:45n.) przytacza (za: W. BOROWYM) „obszary leksykalne”, które musiał opanować Boy, tłumacząc literaturę francuską:

Terminy teologiczne (w *Prowincjałkach*)
terminy filozoficzne (w *Kartezjuszu*),
terminy prawnicze (w *Skapenie* Moliere),
terminy bankierskie (w *Balzaku*)
terminy lekarskie i aptekarskie (w *Molierze* i *Rabelais*)
terminy drukarskie (w *Dwóch poetach* Balzaka)
terminy fechtunku (w *Mieszczaninie szlachcicem*)
terminy taktyki i strategii (w *Rabelais*)
terminy z zakresu nawigacji (w *Rabelais*)
terminy łowieckie (tamże)
terminy rolnicze (tamże)
terminy koniarskie (tamże)
nazwy różnych ptaków i ryb (tamże)
terminy rzeźnicze (tamże)
terminy kucharskie (tamże)
terminy z zakresu dialektyki (tamże)
terminy z zakresu gry w pikietę (w *Natrętach* Moliere)
nazwy różnych zabaw (w *Rabelais*).

Boy stanowi wyjątek, jeśli chodzi o terminologiczną rozległość. Ale każda powieść może zawierać specyficzne słownictwo, np. *Na zachodzie bez zmian* E.M. Remarque'a – terminologię wojskową i charakterystyczny dla środowiska żołnierzy język potoczny, w *Procesie* Kafki istotna jest terminologia prawnicza Austro-Węgier. Nie należy jednak zapominać, że mamy tu do czynienia z zastosowaniem terminów fachowych **w tekście literackim**, a zatem najczęściej fikcjonalnym (pomijając reportaże, autobiografie itp.), niemającym „konkretnych zobowiązań” wobec realnie istniejącej rzeczywistości. Katharina REISS wyróżniła, opierając się na podziale funk-

cji języka zaproponowanym przez BÜHLERA (symboliczna [opisowa], ekspresywna, impresywna [por. WAWRZYNIAK 1991:93], przedstawiania, wyrażania, apelu [por. KIELAR 1988:34]) teksty o charakterze **treściowym, formalnym i apelującym**, dodając jeszcze czwartą kategorię – teksty **audiomedialne**. Również i ten podział ma charakter jedynie orientacyjny. Przyporządkowanie danego tekstu do kategorii „formalnej” nie oznacza, że nie przekazuje on żadnej treści i że **każdy** aspekt formalny tegoż tekstu jest dla komunikatu istotny; z drugiej strony tekst apelatywny może posługiwać się konkretnymi treściami. Wymienione kategorie oznaczają, że w określonych typach tekstów **przeważa** aspekt treściowo-logiczny, estetyczno-formalny, dialogowo-apelatywny. Dla tłumacza wiąże się to ze **specyficznymi trudnościami, związanymi z rodzajem tekstu**. W celu zilustrowania tego typu trudności zajmiemy się kilkoma wybranymi typami tekstów; poniższy komentarz ma jednak z natury rzeczy bardzo ogólny charakter.

Teksty typu **prawnego** stanowią grupę bardzo łatwo wyróżniającą się na tle innych wypowiedzi. Cechuje je specyficzna stylistyka, składnia, frazeologia, operują właściwą dla siebie terminologią, która mimo pozornych podobieństw różni się znacznie od normalnojęzykowych zastosowań. Nawet bardzo duża kompetencja językowa natury ogólnej nie wystarcza do tłumaczenia tekstów prawniczych, wymagają one bowiem także znajomości systemów i instytucji prawnych dotyczących obu krajów – oryginału i przekładu. Struktury systemów i instytucji prawa wiążą się bowiem nie tyle z językiem, co z **państwem** właśnie. Mimo że i Austriacy, i Niemcy mówią po niemiecku, w Niemczech tzw. sentencja wyroku rozpoczyna się od słów *Im Namen des Volkes*, w Austrii zaś *Im Namen der Republik*; po polsku analogiczne sformułowanie brzmi: „W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej”. Na obszarze anglojęzycznym różnice w nomenklaturze prawniczej oraz instytucjach prawnych pojawiają się, gdy porównamy systemy prawne Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii, Nowej Zelandii, a także krajów postkolonialnych, uznających język angielski za urzędowy. Analogicznie rzecz się ma w przypadku innych języków, używanych w wielu państwach, takich jak francuski czy hiszpański. Zakres wiedzy tłumacza tekstów prawnych B. KIELAR charakteryzuje następująco (za: DZIERŻANOWSKA 1988:40):

Tłumacz taki powinien znać aparat pojęciowy poszczególnych dziedzin prawa i systematykę prawa; relację przepisu prawnego do normy prawnej; zagadnienie wykładni i stosowania prawa; warunki funkcjonowania prawa w społeczeństwie; zagadnienia państwa. Każdy z tych tematów powinien być ujęty w aspekcie prawa obowiązującego i z punktu widzenia teoretycznego. Prawo i nauka o nim mają charakter systemów, których elementy determinują się wzajemnie.

Tłumaczenie tekstów prawnych wymaga **tożsamości skutków prawnych**. Jest to wobec częstej nieprzystawalności systemów prawnych różnych krajów zadanie bardzo trudne. Od tekstu powodującego określone skutki prawne wymagać należy **jednoznaczności**. Czasami jednak nawet ustawy danego kraju są niejednoznaczne i pozostawiają margines interpretacyjny. Odpowiedzialny tłumacz powinien mieć świadomości tego typu niuansów.

Dla czytelników znających niemiecki przytaczam za WAWRZY-
NIAKIEM (1991:45) kilka ekwiwalentów polskich terminów prawnych: „akt prawny – *die Rechtsurkunde*; prawny właściciel – *der rechtmäßige Eigentümer*; opinia biegłych – *das Sachverständigen-gutachten*; zwrócić poniesione koszty – *die Kosten ersetzen*; odszkodowanie za straty moralne – *eine Entschädigung für moralische Einbußen*; zastrzeżony numer telefonu prywatnego – *gedeckte Privatnummer*; prawem kaduka – *unbefugterweise*; [...] recydywista – *der Rückfalltäter*”.

I – na koniec – jeszcze jedna niebagatelna trudność. Schematyczne w zasadzie teksty prawnicze – umowy, wyroki, orzeczenia, ekspertyzy, protokoły itp. – zawierają „miejsca puste”, luki, w które wstawić należy istotną treść konkretnego dokumentu, np. „Wykonawca zobowiązuje się do...”, „Przedmiotem umowy zawartej dnia... pomiędzy... a... jest...”, „Oskarżony Michał W. przyznaje się do tego, że...”, „Świadek Onufry B., przebywający w miejscu zdarzenia, stwierdził, co następuje...” We wspomnianych lukach pojawić się mogą wszystkie wyobrażalne i niewyobrażalne elementy rzeczywistości. Przedmiotem umowy może być wysoko wyspecjalizowana technologia naszpikowana terminologią, protokół z miejsca zdarzenia zawierać może opisy arcyrzadkich dzieł sztuki czy kolekcji dawnej broni myśliwskiej albo dotyczyć specyficznych realiów. Wypowiedzi świad-

ków mogą być sformułowane w prowincjonalnym dialekcie. Wynika stąd, że tłumacz tekstów prawniczych i sądowych również może napotkać wszystkie niemal trudności opisywane przez translatologię.

Rozważania na temat tłumaczeń **technicznych** można by zacząć od sentencji: „Każda maszyna jest światem”. Jest światem powtarzalnym, dzięki seryjności produkcji, a równocześnie światem samym w sobie, unikatowym i niepowtarzalnym, ze względu na funkcję, działanie i zastosowanie. Bardzo podobne – wręcz identyczne – części składowe dwu różnych urządzeń mogą pełnić różne funkcje i różnie się nazywać. To właśnie przede wszystkim w sferze techniki spotykamy się z zaskakującą **WIELOŚCIĄ ŚWIATÓW**. Wspominałem już o glosariuszu dotyczącym produkcji butów, zawierającym cztery tysiące jednostek. Wobec liczby części składających się np. na samolot odrzutowy to jednak bardzo mało. W świat komplikowanej maszyny nie wejdziemy za pomocą ogólnych słowników technicznych, nawet używając tekstów paralelnych i innych ułatwień. Trzeba ją poznać bezpośrednio, konsultując się z jej użytkownikami. Niestety, praktyka tłumaczeniowa odbiega od tego idealnego wyobrażenia. Tłumacze otrzymują teksty bez możliwości skonfrontowania ich z danym urządzeniem i – ufając przede wszystkim własnej intuicji – przekładają „na ślepo”, bez kontaktu z realnym światem urządzenia. Może to czasem doprowadzić do bardzo karkołomnych rozwiązań. Dla ilustracji posłużę się przykładami z książki A. VOELLNAGLA (1980:20n.) *Jak nie tłumaczyć tekstów technicznych*, która – mimo rozwoju techniki – nie straciła na aktualności. Autor słusznie zauważa, że „tłumacza niebędącego w ogóle fachowcem w danej dziedzinie absolutnie nie rażą krańcowe absurdy wynikające z układanki słów niesłusznie zwanej tłumaczeniem” i podaje następujący przykład, dotyczący koparki hydraulicznej:

*Bucket capacity 1,24 m³, fuel
210 litres, engine oil 20 litres,
converter and power shift oil 55
litres, hydraulic system oil 65 litres*

Pojemność łyżki 1,24 m³, zużycie
paliwa 210 litrów, oleju silnikowego

20 litrów, oleju przekładniowego i napędowego 55 litrów i oleju do układu hydraulicznego 65 litrów.

Najważniejszy błąd w tym „tłumaczeniu” polega na ignorowaniu zasady, że zużycie zawsze musi mieć ułamkowe miano, a więc litry/kilometr, gramy/godzinę, tony/rok, itp. Jeżeli więc w tekście występują „gołe” litry, to trzeba sprawdzić, czy zastosowany termin „zużycie” ma tu rzeczywiście sens.

Drugi punkt to liczby określające tę wielkość. W polskiej praktyce motoryzacyjnej podaje się zwykle liczbę litrów paliwa potrzebnych do przejechania 100 km i wartość 210 l wygląda zupełnie nieprawdopodobnie, powinna być więc zaalarmować również tłumacza. Dalsze liczby są już całkowicie oderwane od rzeczywistości, bo np. w układzie hydraulicznym najmniejsze wycieki oleju są skrupulatnie usuwane, a tu – zużycie 65 litrów!

Trzecie dziwo to postawienie obok siebie oleju przekładniowego, służącego jako smar, i oleju napędowego, który jest paliwem, nie mówiąc już o dość swobodnym przekładzie słów „converter” i „power shift”.

Prawdziwe dane techniczne owej koparki wyglądają następująco:

„Pojemność łyżki 1,24 m³, zbiornika paliwa 210 litrów, miski olejowej 20 litrów, zawartość oleju w przemienniku momentu obrotowego i skrzynce przekładniowej ze wspomaganiami zmiany biegów 55 litrów, pojemność układu hydraulicznego 65 litrów”. (VOELLNAGEL 1980:20n.)

No cóż, nic dodać, nic ująć. Jeszcze bardziej interesujący przykład dotyczy tekstu napisanego pierwotnie po włosku, po czym przetłumaczonego na angielski, a następnie z angielskiego na polski. Tekst angielski brzmiał:

...180 travelling cranes, the most powerful of 250 tons capacity, capable of lifting weights up to 450 tons.

Jego polski odpowiednik wyglądał z pozoru zupełnie dobrze:

...180 suwnic, z których największa ma udźwig znamionowy 250 ton i może podnosić ładunki o ciężarze do 450 ton.

Oddajmy jednak głos kompetentnemu tłumaczowi technicznemu:

Tego tylko brakowało, żeby dwukrotne niemal przeciążenie suwnicy spowodowało awarię, a może nawet ofiary w ludziach. [...] Rzeczywiście odpowiadałby chyba tłumacz, tylko nie wiadomo który, czy ten, co niejasno przełożył włoski oryginał, czy ten, co napisał jasny i wyraźny nonsens po polsku. [...] W tekście chodzi o to, że ciężar przekraczający udźwig jednej suwnicy można podnieść przy użyciu dwóch suwnic, pozostawiając pewien dodatkowy margines bezpieczeństwa w stosunku do sumy obu udźwignów ($450 < 250 + 250$). Z angielskiego tekstu nie wynika, czy określenie „the most powerful” odnosi się do jednej czy większej liczby suwnic, ale z poprzedniego zdania widać, że musiała jednak wchodzić w grę liczba mnoga. (VOELLNAGEL 1980:26n.)

Oba przytoczone przykłady ilustrują dobitnie, jak istotna jest fachowa kompetencja tłumacza. Przykład z przeciążoną suwnicą zwraca uwagę na aspekt **ODPOWIEDZIALNOŚCI** wobec użytkowników tłumaczenia. Tłumaczenia tekstów prawnych rodzą określone skutki prawne, tłumaczenia tekstów technicznych odnoszą się często do drogich i skomplikowanych urządzeń, których awaria wynikająca z błędnego przekładu może nie tylko spowodować straty materialne, ale i groźny wypadek. W jeszcze większym stopniu dotyczy to np. aparatury medycznej i w ogóle tekstów z zakresu medycyny. Tłumaczone teksty opisują nierzadko procesy technologiczne, w których najmniejszy błąd czy odejście od reżimu technologicznego może mieć niewyobrażalne skutki (np. w produkcji farmaceutycznej). We wszystkich tego typu przypadkach konsultacja ze specjalistą jest po prostu koniecznością.

Niejako na drugim – przeciwnym – biegunie znajduje się tłumaczenie **literackie**. Generalnie rzecz ujmując, teksty literackie zaliczają się do tekstów nacechowanych formalnie, jest to jednak – jak wielokrotnie podkreślałem – jedynie bardzo ogólna charakterystyka. Nie każdy tekst literacki i nie każda jego partia wykazuje estetyczną funkcjonalizację formy, a nawet jeżeli tak, nie jest to jedyna i nie zawsze najważniejsza cecha danego tekstu literackiego. Na czym zatem polega specyficzna różnica między tekstami literackimi i nieliterackimi? Wbrew pozorom, pytanie to jest trudne i podchwytliwe, sama definicja tekstu literackiego jest bowiem nieostra. Kategorie, takie jak wspomniane nacechowanie formalne, fikcjonalność, typowe cechy gatunku czy rodzaju literackiego, są wyznacznikami ważnymi, jednak nie zawsze wystarczającymi. Autentyczne ogłoszenie prasowe czy protokół sądowy, powstałe jako teksty nieliterackie, włączone do powieści, stają się literaturą, nie zmieniając bynajmniej swoich obiektywnych cech. Fikcjonalność fikcjonalnością, ale np. powieść Zoli, której akcja toczy się w okresie II Cesarstwa we Francji, zawiera mnóstwo realiów i odniesień do rzeczywistości tamtego okresu. To samo dotyczy powieści współczesnej, która rozgrywa się na Śląsku, w Warszawie czy Nowym Jorku. Z kolei dawne teksty o charakterze użytkowym, np. średniowieczne kazania, zaliczane są obecnie do zabytków literatury. Aby wybrnąć z tego zaułka, proponuję następujące robocze rozróżnienie – teksty literackie to teksty, które są postrzegane przez użytkowników jako należące do tego właśnie typu. Znika wówczas paradoks zacytowanego powyżej przykładu protokołu sądowego, „zaanektowanego” przez autora dzieła literackiego. Czytając go jako fragment powieści, postrzegamy go i odbieramy zupełnie inaczej, niż tekst wyciągnięty z teczki aktów sądowych opatrzonych napisem: „Sprawa 26/10/98, kryptonim «Naukowiec», dot. morderstwa przy ul. Śliskiej”, bo być może zainteresowani jesteśmy wykryciem albo niewykryciem sprawy.

Na podstawie moich dotychczasowych doświadczeń mogę się pokusić o sformułowanie następujących cech charakteryzujących teksty typu literackiego, istotnych dla procesu tłumaczenia (oczywiście nie wyczerpują one problemu).

- Wzajemne **uwarunkowanie** treści i formy, to znaczy **funkcjonalizacja postaci komunikatu** w stosunku do jego przesłania. Ważne są tutaj relacje **intringwalne**. Tego typu wzajemna relacja nie jest tożsama z jedynie formalnym nacechowaniem tekstu.
- Szczególna rola informacji **implicitnie** zawartych w komunikacie oraz treści konotatywnych (znaczeń **pragmatycznych**), to jest informacji pojawiających się – tradycyjnie mówiąc – „między wierszami”.
- **Intertekstualność**, to znaczy odniesienia do innych tekstów, znanych odbiorcy, zawarte w komunikacie w postaci jawnych i ukrytych **cytatów**. Teksty te niekoniecznie muszą mieć proveniencję literacką.
- Potencjalne znaczenie dla przesłania komunikatu dotyczące wszystkich **poziomów** i cech tekstu – od poziomu fonemów/ /grafemów do poziomu całości tekstu.
- **Wieloznaczność** (*ambiguity*), w tekstach typu informacyjnego absolutnie niepożądana, w tekstach typu literackiego stanowi ważny instrument oddziaływania na czytelnika, pobudzania jego fantazji. Taka wieloznaczność domaga się jednak często w przekładzie ostatecznej interpretacji.
- „Zanurzenie” w **tradycji literackiej** wspólnoty dzieła oryginalnego, zawierające odniesienia nie tylko do treści, ale również tradycji rodzajów, gatunków literackich, wersyfikacji itp. (por. także **intertekstualność**).
- Liczne i – *a priori* – w swojej mnogości w wielowarstwowości nieprzewidywalne odniesienia do kulturowego, socjologicznego, filozoficznego, religijnego etc. **MAKROKONTEKSTU** danego utworu.
- Wielość możliwych i w zasadzie równoprawnych **rozwiązań**, poddyktowana szeregiem obiektywnie i subiektywnie umotywowanych decyzji tłumacza.

Zasadnicza trudność związana z tłumaczeniem literackim wynika z faktu, że wspomniane wyżej dylematy występują w przypadku arcydzieł literatury światowej, a także ponadczasowych „dokumentów ludzkości” (*Biblia, Koran, Boska Komedia, Hamlet, Faust*), „**wszystkie**

naraz". Ponieważ ich równoczesne uwzględnienie nie jest zazwyczaj możliwe, tłumacz zmuszony jest – na podstawie obiektywnej analizy czynników danego procesu przekładu i wypracowanych przez siebie **hierarchii** różnych aspektów (cech) komunikatu – dokonywać **wyborów**, które wobec **relatywności** (względności) priorytetów są istotnie „męką wyboru”, jak to określił WAWRZYNIAK (1991:40).

Aby zilustrować trudności i dylematy związane z tłumaczeniem literackim, przytoczę trzy przykłady, dotyczące kolejno: ekwiwalencji w dziedzinie systemów metrycznych, intertekstualności oraz wielości możliwych rozwiązań w tłumaczeniu poezji.

Wszyscy wiemy, że *Pan Tadeusz* napisany został trzynastozgłoskowcem. Jest to polskie „metrum epickie”, dostosowane do prozodii języka polskiego, brzmi naturalnie i w dłuższych partiach tekstu umożliwia swobodny tok wypowiedzi. Automatyczne, bezrefleksyjne przeniesienie tego metrum na grunt innego języka i innej prozodii daje rezultaty co najmniej negatywne. Doświadczył tego Siegfried Lipiner, który pod koniec XIX wieku przełożył Mickiewiczowski epos na język niemiecki, zachowując miarę wersu. Wynik był estetycznie niezadowolający, niemczyzna – wtłoczona niejako przemocą w prozodycznie obce metrum – wyglądała nieco dziwnie, co w połączeniu z polsko-szlacheckimi i litewskimi realiami potęgowało jeszcze efekt obcości. Właściwą drogę zaproponował Hermann Buddensieg, który zamiast trzynastozgłoskowca zastosował heksametr. To antyczne metrum w odniesieniu do „Ostatniego zajazdu na Litwie” nie powinno bynajmniej dziwić. Heksametr – wers z natury epicki – co najmniej od czasów *Mesjady* Klopstocka (1748) dobrze zadomowił się w literaturze niemieckojęzycznej. Także istnienie długich i krótkich samogłosek w języku niemieckim, inaczej mówiąc – prozodycznej duszy heksametru i innych miar antycznych – powodowało, że metrum to dźwięczało o wiele bardziej naturalnie niż „importowany” bez zastanowienia trzynastozgłoskowiec. Ostatnim – koronnym – argumentem jest fakt, że Mickiewicz podjął pracę nad *Panem Tadeuszem* zainspirowany *Hermanem i Dorotą* Goethego, eposem napisanym właśnie heksametrem. Reasumując – Buddensieg zastosował **metryczny ekwiwalent funkcjonalny**.

Drugi przykład dotyczy **INTERTEKSTUALNOŚCI**. To przenikanie się tekstów występuje zresztą nie tylko w tekstach o charakte-

rze ściśle literackim, ale także w reklamie, tytułach prasowych, tekstach kabaretowych, parodiach itp. Nasz przykład (który podają za: TĘCZA 1997:164n.) pochodzi z tłumaczenia *Dzienników gwiazdowych* Lema na niemiecki. W oryginale możemy przeczytać następujący wierszyk z życia robotów:

Cóż to za robot piękny i młody,
Cóż to za robotniczka,
Ona mu z dzbana daje pentody
A on jej – wtyczki z koszyczka,

z komentarzem sugerującym wręcz intertekstualność: dziwnie mi to przypominało skądinąd znane poezje, ale nie mogłem sobie przypomnieć ich autora. Oczywiście, każdy polski czytelnik wie, że chodzi o *Świteziankę*. Cóż miał jednak począć tłumacz na niemiecki, z góry wiedząc, że jakiegokolwiek skojarzenia dotyczące *Świtezianki* u jego czytelnika na pewno nie powstaną? Tłumacz zastosował **funkcjonalny ekwiwalent intertekstualny**, to znaczy posłużył się powszechnie znanym tekstem Heinego, przekształcając go w stylu „wyznania miłości robotów”:

*Es liebte dereinst ein Roboter
Die schöne Roboterin,
Er sang ihr eine Kathoter,
Da war ihre Spule dahin.
Es ist eine alte Geschichte,
Doch lebt sie wie neu,
Und wem sie just passieret,
Dem bricht die Feder entzwei.*

Analogicznie do zastosowanej przez Lema trawestacji tłumacz potraktował wiersz Heinego, zmieniając niektóre „ludzkie” atrybuty i zachowania na określenia techniczne, np. w ostatnim wersie zamiast „serca” (jak u Heinego) pęka sprężyna.

Trzeci z przykładów ilustrujących specyfikę tłumaczenia literackiego dotyczy wielości możliwych rozwiązań w tłumaczeniu po-

ezji. Znany wiersz Goethego – *Wanderers Nachtlied II* – jest z pozoru bardzo prostym utworem:

*Über allen Gipfeln
Ist Ruh,
In allen Wipfeln
Spürest du
Kaum einen Hauch.
Die Vögelein schweigen im Walde.
Warte nur, balde
Ruhest du auch.*

Urzeka on jednak zarówno naturalnością obrazowania, jak i paralelizmami dźwiękowymi, zawartymi nie tylko w rymach, ale rozszanymi po całym tekście tak gęsto, że echa różnych dźwięków w tym wierszu (mówiącym przecież o ciszy), tworzą przedziwne, jedyne w swoim rodzaju konstelacje:

Ü – a – i eln
i st – u
l – a – i eln
ü est – u
a – ei – a uch
ö – ei – a lde
a – u – a lde
u est – u – a uch.

Wprawne ucho tłumacza natychmiast te konstelacje rejestruje. Przystępując do przekładu, musi zdecydować się, czy ważniejsza jest warstwa treściowa, czy foniczna. A może uda się przekazać obie, ale za cenę pewnych ustępstw, dokonanych tu i ówdzie zmian? Każda z decyzji jednak – wybór rymu, zachowanie samogłoski, konkretnego obrazu – pociąga za sobą szereg innych. Ostateczny rezultat jest sumą różnych wyborów. A oto trzy wersje – każda inna, własna, dokumentująca wspomnianą mękę i zarazem sztukę wyboru, akcentująca inne elementy oryginału, za cenę różnych transformacji, opuszczeń, dodatków, zmian:

Wierzchołki wzgórz
Spowite w ciszę;
Drzew żaden już
Wiew nie kołysze;
Śpi las
I ptactwo w gęstwinie. –
I tobie ninie
Spocząć już czas.
(Leopold Staff)

Cisza w wyżynie,
Ze szczytów drzew
Żaden nie płynie
Ku tobie wiew;
Wśród sennej mgły
Ptactwo w gęstwinie przycichło.
Zaczekaj, rychło
Spocznieś i ty.
(Gabriel Karski)

Góry spoczęły w ciszy,
Pośród drzew ledwo słyszysz
Tchnienie, co drży.
Ptaszęta milczą w borze.
Poczekaj – wkrótce może
Spocznieś i ty.
(Maria Dąbrowska)

Nawet nieznający niemieckiego czytelnik może porównać trzy polskie przekłady – jako samoistne wiersze, różnice między nimi, siłę estetycznego oddziaływania.

Powyższe uwagi dotyczące tłumaczenia literackiego służą jedynie zasygnalizowaniu rozległości i skomplikowania problematyki. Zainteresowanego czytelnika odsyłam przede wszystkim do dwóch prac opublikowanych po polsku: WAWRZYNIAKA (1991) oraz KRYSZTOFIAK (1996), zawierających podsumowanie dociekań teoretycznych, ciekawe przykłady oraz bibliografię.

Na zakończenie naszych rozważań na temat relacji pomiędzy typem (rodzajem) tekstu a specyficznymi problemami przekładowymi kilka uwag dotyczących tłumaczenia tekstów stawiających tłumacza przed bardzo szczegółowymi zadaniami. Posłużymy się tutaj następującymi rodzajami tekstów: reklamą, tytułem, dubbingiem i napisami filmowymi.

Tłumaczenie **REKLAM** – kilkakrotnie wspomniane w tym wywodzie – jest w zasadzie przekładem multimedialnym. Zazwyczaj bowiem sam **tekst** jest jedynie jednym z elementów przesłania. Na poziomie tekstu reklama posługuje się bez ograniczeń środkami zaczerpniętymi z poezji i literatury, metaforą, grą słów, intertekstualnością, wieloznacznością, konotacjami itp. Kiemliczowskie „Ociec, prac?” wykorzystuje dwuznaczność określenia „prac” i jest równocześnie sygnałem intertekstualnym, odnoszącym do znanej powieści. Podobnie pytanie: „Co Tygrysy lubią najbardziej” odnosi się do ulubionego przez generację *Kubusia Puchatka*, a zdanie: „Nie ze mną te numery, Brunner!” do równie popularnej *Stawki większej niż życie*. Jeżeli w reklamie telewizyjnej czy filmowej występują aktorzy grający niegdyś odpowiednie role, jej działanie zostaje wzmocnione, taką samą rolę odgrywa znany motyw muzyczny lub graficzny. Podstawowym celem reklamy jest zdobycie nabywcy dla określonego wyrobu i to za cenę nieprzebierania w środkach, to znaczy nawet odwoływania się do treści tabuizowanych lub sygnałów oddziałujących na podświadomość. Reklama piwa przedstawiona na dużym billboardzie kusila sloganem: „Jedyna przyjemność, z której nie musisz się spowiadać”, przy czym plakat przedstawiał perlisty, srebrny strumień piwa, wylewający się z butelki. Freudysta dostrzeże tu bez trudu aluzję do *ejaculatio*. Podobnie rzecz się miała z hasłami: „Jedyna przyjemność, którą możesz mieć, nie zdejmując ubrania” albo „Nieprawda, że mężczyźni myślą tylko o jednym” (na plakacie przedstawiono **dwa** piwa). W przedstawionych przykładach charakterystyczne jest odwołanie do tabuizowanej i uznawanej za grzeszną (a równocześnie przyjemną) sfery seksualnej. Przekład takiej reklamy na teren kultury nietabuizującej seksu, nieznającej instytucji spowiedzi, zakłada całkowitą zmianę odniesień. Reklamy apełują także do zwyczajów środowiskowych i regionalnych. Reklama piwa LECH wytwarzanego w Poznaniu zawiera sentencję: „Po godzinach – LECH”. Dla mieszkańców innych części Polski jest to niezbyt zrozu-

miała. O co zatem chodzi? „Po godzinach” oznacza „po pracy”, w Wielkopolsce wykonanej zazwyczaj solidnie. LECH po godzinach jest nagrodą za dobrze wykonaną pracę, podsumowaniem dnia. O takich niuansach zapominali tłumacze reklam zachodnich, którzy w pierwszym okresie postkomunizmu tłumaczyli jedynie tekst dialogów, nie uwzględniając faktu, że realia danego filmiku reklamowego, stroje, wyposażenie wewnątrz, sposób zachowania występujących osób zupełnie nie przystawały do polskiej rzeczywistości i osiągały skutek wręcz odwrotny.

TYTUŁ, zarówno publikacji książkowej, jak i filmu, a nawet prasowy, spełnia rolę analogiczną do sloganu reklamowego – przyciąga uwagę czytelnika (widza), sugeruje to, co „jest w środku” – w filmie, powieści, artykule, jest jak gdyby podsumowaniem, równoważnikiem tekstu, który sygnalizuje. Posługuje się przy tym również podobnymi środkami – intertekstualnością, grami słownymi, odniesieniami do innych tytułów. *Nie-Boska komedia* Krasińskiego jest oczywistym odniesieniem do *Boskiej Komедии* Dantego, ale nawet zwykły tytuł prasowy, typu: „Galicja w krainie czarów” może odnosić się do innego tytułu (*Alicja w krainie czarów*, równocześnie gra słów) lub powiedzenia o charakterze historycznym: „Nie oddamy ani Kuryła” („Nie oddamy ani guzika”), „O dwóch takich, co ukradli mięso” (*O dwóch takich, co ukradli księżyc*). W przypadku *Nie-Boskiej komедии* zadanie jest stosunkowo proste, ponieważ utwór Dantego jest zazwyczaj znany w kulturze docelowej i należy go tylko odpowiednio zanegować. Gorzej z tytułami, których intertekstualne i konotatywne odnośniki nie mają odpowiednika we wspólnocie komunikacyjnej języka, na który tłumaczymy. Tak rzecz się ma na przykład z tytułem *Widzę i opisuję*, jednoznacznie wskazującym na Inwokację *Pana Tadeusza*, który jednak w innych kulturach może brzmieć zupełnie banalnie (por. LEBIEDZIŃSKI 1981:68n.). Wobec tego typu nieprzystawiania kultur tłumaczenie tytułów polega nierzadko na takiej zmianie ich postaci, aby od razu sugerowały treść utworu. WAWRZYŃIAK (1991:106n.) przytacza interesujące przykłady takich operacji:

Placówka = *Der Bauer Ślimak. Ein Kulturroman aus dem polnisch-deutschen Siedlungskampf*

O człowieku, który się kulom nie kłaniał = *Der Arbeiter-General*

W przypadku tłumaczenia tytułów nadrzędną funkcją jest przyciąganie uwagi odbiorcy. W związku z tym tłumacz musi często dokonać daleko idących zmian, aby osiągnąć analogiczny efekt. Film Agnieszki Holland opowiadający o losach Szymona Perela wyświetlany był w Polsce pod tytułem *Europa, Europa*, w Niemczech zaś jako *Hitlerjunge Salomon*. Oba tytuły kładą nacisk na różne aspekty filmu. Właśnie tytuły filmowe ulegają podczas transferu filmu na inny obszar kulturowy bardzo znacznym metamorfozom. Natomiast tytuły dzieł literatury światowej są najczęściej w danym języku skonwencjonalizowane i tłumacz powinien je znać – np. *Zmyślenie i prawda*, *Poskromienie żłośnicy*, *Jak wam się podoba*, *Komu bije dzwon*, *Zbrodnia i kara*, *Życie snem*.

Wróćmy jednak do branży filmowej. Istnieją dwa sposoby przekazywania warstwy językowej filmu, będące specyficznym rodzajem tłumaczenia: tzw. **DUBBING**, czyli synchronizacja, oraz **NAPISY**. Trzecią możliwością, do której przyzwyczała widza Telewizja Polska, jest czytanie listy dialogowej przez lektora w trakcie projekcji filmu – zabieg dość prymitywny, ale tani i łatwy w realizacji. **DUBBING** jest natomiast operacją kosztowną i niekiedy bardzo trudną. Tekst przekładu powinien mieć taką postać fonetyczną, aby zgadzała się ona z czasem wypowiedzi i ruchami warg aktorów. Treść jest w tym wypadku drugorzędna, tym bardziej, że wiele informacji widz odbiera bezpośrednio z ekranu. Czasem jednak niezwykle trudno jest idealnie dostosować postać przełożonej wypowiedzi do specyficznych dla języka oryginału ruchów warg, a nawet mimiki aktora, zwłaszcza ukazywanej w zbliżeniu. Większość filmów dociera do nas ze sfery anglojęzycznej – wyraźnie widać tu np. realizację „th” i dubbing polski nie zatrze wrażenia obcości. Dubbing pozbawia aktora jego naturalnego głosu, a więc części jego aktorskiego dokonania. **NAPISY** pozwalają na zachowanie stuprocentowej kreacji aktora. Mają także wadę – odwracają uwagę widza od obrazu, powinny więc być możliwie krótkie i oddawać kwintesencję wypowiadanych kwestii. Skróty takie konieczne są zwłaszcza w filmach o rozbudowanych dialogach. W takim przypadku nie jest to tłumaczenie tekstu wypowiedzi, lecz stworzenie – w korelacji z obrazem – takiego ekwiwalentu, który umożliwi widzowi śledzenie akcji (szerzej o dubbingu i napisach – por. PISARSKA i TOMASZKIEWICZ 1998:206–209).

Rozdział V

kompetencja... Kompetencja tłumacza

Uświadamiając sobie wielość problemów występujących w procesie przekładu i adekwatną do nich liczbę możliwych rozwiązań, nie sposób nie zapytać, jaką **KOMPETENCJĄ** powinien dysponować tłumacz, aby takim zadaniom podołać, i czy to w ogóle możliwe, aby konkretna osoba wykazała się taką wiedzą i umiejętnościami. Wobec **WIELOŚCI ŚWIATÓW i SYTUACJI** rzeczywiście nie jest możliwe **aprioryczne przewidzenie wszystkich problemów**, które mogą się pojawić w trakcie tłumaczenia i żadna instytucja kształcąca tłumaczy nie przygotowuje absolwenta znającego z góry wszystkie właściwe rozwiązania. Równałoby się to żądaniu typu: „Proszę mnie nauczyć sztuki życia”. Można jednak nauczyć **różnych sposobów rozwiązywania pojawiających się problemów**. Tłumacz powinien też dysponować pewnym niezbędnym minimum wiedzy i umiejętności, aby w ogóle zabrać się do pracy.

Kompetencja językowa jest warunkiem koniecznym, ale nie jedynym. Idealem jest tłumacz, który język obcy opanował w sposób niemal doskonały, porównywalny z kompetencją w języku ojczystym. Zjawisko takie określamy mianem **BILINGWIZMU**, inaczej mówiąc – dwujęzyczności. Absolutna dwujęzyczność zdarza się bardzo rzadko. Najczęściej wyróżnia się dwie postaci bilingwizmu: kulturowy i naturalny. „Pierwszy jest wynikiem pobierania nauki określonego języka obcego w szkole, drugi nie; pierwszy odnosi się ponadto do tzw. standardowych form określonych języków, drugi do ich nieskodyfikowanych postaci. Zwykle jednak poszczególne osoby określonej wspólnoty przyswajają sobie w warunkach naturalnego kontaktu językowego tylko częściowo określony drugi język, tak że bilingwizm naturalny rzadko posiada cechy **AMBILINGWILIZMU**” (GRUCZA, za: DZIERŻANOWSKA 1988:28). Kompetencja językowa osób dwujęzycznych jest zazwyczaj odbiciem ich biografii i edukacji. Czł-

nek mniejszości narodowej opanuje w domu rodzinnym fonetykę języka ojczystego i jego struktury gramatyczne oraz zastosowanie w sytuacjach codziennych. Jeżeli jednak pobierał będzie edukację w języku większości albo w języku oficjalnym, w tym właśnie języku przyswoi sobie pojęcia abstrakcyjne i terminy związane z daną dziedziną wiedzy. Żeromski podaje w *Szyfowych pracach* przykład nauczyciela matematyki, Rosjanina, który tak intensywnie wpajał przedmiot swoim – w większości polskim – uczniom, że po latach odpowiadali oni w myśli na pytanie: „Ile jest osiem razy pięć” nie „czterdzieści”, lecz „sorok”. Mniej czy bardziej doskonale opanowanie języka zakłada umiejętność stosowania go adekwatnie do sytuacji, kontekstu, konwencji tekstowej itp. To wszystko jednak nie wystarcza. Od tłumacza wymaga się również kompetencji kulturowej, socjologicznej, terminologicznej, fachowej, możliwie rozległej wiedzy na temat obu wspólnot komunikacyjnych, kreatywności językowej i odpowiednich cech psychofizycznych. Dopiero suma tych wszystkich czynników, **doświadczenie** i trudna do zdefiniowania umiejętność rozwiązywania problemów kreują profesjonalnego tłumacza.

nieprzetłumaczalność

Nieprzetłumaczalność

Dyskusja dotycząca problemu nieprzetłumaczalności jest dyskusją typowo akademicką, to znaczy polegającą nie na konfrontacji teoretycznych argumentów z rzeczywistością, lecz na konfrontacji argumentów z argumentami. Wszyscy biorący udział w tym prowadzonym od starożytności sporze uważają, że posiadli rację absolutną. I już to jest pierwszym grzechem głównym przeciwko zasadom krytycznego myślenia, nie mówiąc już o wykazie siedmiu grzechów głównych, który – jeśli dobrze pamiętam – zaczyna się właśnie od: „pierwsze – pycha...” Jeżeli wsłuchamy się w argumentację zwolenników nieprzekładalności, powinniśmy im właściwie przyznać rację. Granice mojego języka są granicami mojego świata (WIT-TGENSTEIN), języki są zasadniczo nieprzekładalne (SAPIR/WHORF),

poezja jest absolutnie nieprzetłumaczalna, świat języka ojczystego zakreśla granice, których przekroczyć nie można. Wszystkie te twierdzenia i tezy są słuszne tylko wówczas, gdy przyjmiemy, że tłumaczenie dąży do możliwie dokładnego odwzorowania postaci tekstu oryginalnego w języku przekładu. I tutaj rzeczywiście tłumacz zawsze poniesie klęskę, oryginał i przekład nigdy nie są bowiem identyczne pod względem swej postaci językowej. Nawet tak hołubiona przez wielu obrońców wierności **DOSŁOWNOŚĆ** nie zapewnia identyczności. A zatem wszyscy, którzy za kryterium adekwatności przekładu przyjmują porównanie konkretnej postaci obu tekstów na poziomie struktur powierzchniowych, muszą dojść do wniosku, że istnieje wiele tekstów nieprzekładalnych. Tej bardzo rygorystycznej tezie przeczy praktyka tłumaczenia. Jeżeli istotnie tak rzecz by się miała, jak twierdzą zwolennicy nieprzekładalności, ludzkość od dawna rozpadłaby się na izolowane getta informacyjne i zapewne przestałaby istnieć jako całość cywilizacji.

Argumentów na rzecz ogólnej przekładalności dostarcza skoncentrowanie się nie na postaci językowej komunikatu, lecz na istocie jego przesłania. Okazuje się wówczas, że większość przypadków tzw. nieprzekładalnych to przypadki „względne”. Nie wszystkie bowiem cechy komunikatu są dla jego przesłania równie istotne. Wprowadzenie wśród tych cech (elementów) komunikacyjnie zorientowanej hierarchii pozwala na takie rozlokowanie koniecznych zmian, aby „straty” były jak najmniejsze. Te „straty” nie zawsze są rzeczowymi stratami, jak starałem się wykazać na wielu przykładach. **RÓŻNICE między tekstem ORYGINAŁU i tekstem PRZEKŁADU** są niezaprzeczalnym faktem i wynikają z samej istoty procesu tłumaczenia. Istotne jest to, czy – i na ile – wpływają one na podobieństwo w odbiorze oryginału i przekładu.

Na przeciwległym do tego o absolutnej nieprzekładalności biegunie znajduje się koncepcja **UNIWERSALIÓW**, właściwości wspólnych dla wszystkich języków, podobieństw wynikających z tego, że wszyscy jesteśmy ludźmi, mamy podobne problemy, podobne doświadczenia, sposób myślenia, podobnie funkcjonujące organizmy. Jak dalece te wspólne wyznaczniki są rzeczywiście wspólne, a na ile zależne od kultury i języka, pozostaje nierozstrzygniętym problemem (a może nierozwiązywalnym). Wszystkie kultury dostrze-

gają Słońce, Księżyc i gwiazdy. To tak zwane realia kosmogoniczne. Ale w języku i w mitach te obiektywne elementy zewnętrznego świata funkcjonują różnie – gwiazdozbiory japońskie różnią się od starogreckich. Jak się więc okazuje, z tej samej mozaiki gwiazd można wyczytać różne rzeczy – czyżby wróżenie z kosmicznych fusów? Jak już wspomniałem, Słońcu i Księżycowi różne języki i kultury przypisują różną płęć, to samo ciało ludzkie podlega zróżnicowanej segmentacji, ze spektrum barw wyławiamy dowolne w sumie segmenty. Większość języków wyróżnia takie zjawiska, jak **przedmiot, zdarzenie, cecha, relacja** (STOLZE 1994:37), błędem byłoby jednak założenie, że w każdym języku odpowiadają im te same lub podobne kategorie gramatyczne. Mimo wszystkich zastrzeżeń wysuwanych pod adresem koncepcji uniwersaliów o ich niewątpliwym istnieniu świadczy empirycznie wciąż i wciąż potwierdzany fakt dokonującej się komunikacji pomiędzy ludźmi różnych języków i kultur. Być może, istotną rolę odgrywa tu istnienie prototypów w naszym postrzeganiu świata. Tzw. **SEMANTYKA PROTOTYPU** zwróciła uwagę na fakt, że sposób opisu świata utrwalony w naszych umysłach koncentruje się na kilku typowych cechach danego zjawiska czy przedmiotu, znanych z codziennego doświadczenia. A więc prototyp ptaka to wróbel czy gołąb – kura, pingwin już od tego wzorca odbiegają. Przeprowadźmy następujący eksperyment – kilkadziesiąt osób ma narysować – nie realistycznie, lecz schematycznie – dom, drzewo, kota, psa, stół itp. Rysunki te zazwyczaj będą do siebie bardziej podobne niż rzeczywiście istniejące domy, drzewa, koty i psy. Właśnie ze względu na siłę oddziaływania prototypu wieloryb jest wielorybem, a nie „wielkossakiem”, choć to drugie rozwiązanie byłoby z punktu widzenia systematyki zoologicznej słuszniejsze.

Interesującym pomysłem, odwołującym się pośrednio do teorii uniwersaliów, jest koncepcja **TERTIUM**, od łacińskiego *tertium comparationis* – trzeci człon porównania umożliwiający relatywizujące odniesienie do dwóch pozostałych elementów. W tym ujęciu tłumaczenie przebiega w ten sposób, że poprzez medium języka oryginału znajdujemy istotę jego przesłania i następnie tę właśnie istotę przesłania ubieramy w medium języka przekładu. Ta istota przesłania to właśnie „ta trzecia”, czyli **TERTIUM** (STOLZE

1994:40). A więc wszystko jest co najmniej wytłumaczalne, nawet siedem rodzajów angielskiej mgły – *fog, brume, haze, mist, smaze, smog, vapour* (DZIERŻANOWSKA 1988:39), kilkanaście rodzajów bieli śniegu u Eskimosów, bigos i barszcz. Nie oczekujemy jednak, że język docelowy zawsze dostarczy nam gotowego ekwiwalentu w postaci słowa. Przepływ informacji dokonujący się drogą tłumaczenia posługuje się instrumentarium znacznie bardziej rozbudowanym. Pozostając przy dogmacie nieprzetłumaczalności, nigdy nie zostalibyśmy chrześcijanami, nie mielibyśmy nawet sumienia!

Na zakończenie rozważań o nieprzetłumaczalności proponuję czytelnikom następujące ćwiczenie. Każdy zna jakiś dowcip, mówiąc popularnie – kawał. **DOWCIPY** to – jeśli chodzi o problematykę przekładoznawczą – bardzo pouczające teksty, są bowiem z natury „zanurzone” w konkretnej sytuacji i wspólnocie komunikacyjnej, operują gramami słownymi, odwołują się do konotacji, a więc stanowią dla tłumacza zaiste „twardy orzech do zgryzienia” (to także idiom). W poufnej sytuacji kularowej niejedynemu tłumacz ustny dobrze się napocił, przekładając opowiadane przez uczestników bankietu (?) dowcipy, czasem zupełnie oderwane od rzeczywistości. A zatem, drogi Czytelniku, przypomnij sobie kilka dowcipów i zastanów się, czy są one przetłumaczalne, czy nie, i dlaczego, a może tylko „wyjaśnialne”, jak poniższy.

Na podwórzu spotykają się kogut i kura. Pan ze mną na serio? – pyta kura. Odpowiedź koguta: Nie, dla jaj. Żart opiera się na dwuznaczności. „Dla jaj” oznacza w języku potocznym „dla zabawy, nie na serio”, ale kontekst (kura, jaja) przywraca wypowiedzi koguta znaczenie referencyjne. Typowa gra słów. Wszystko da się wytłumaczyć w dowolnym języku. Ale czy ktoś się zaśmieje? Chyba że znajdziemy inne zwierzęta i inne jaja, które pasują do frazeologii.

Teoria tłumaczenia, wiedza o przekładzie, to dziedzina stosunkowo młoda, mimo iż sama refleksja nad procesem tłumaczenia sięga starożytności. W niniejszym podrozdziale nie zamierzam omawiać trendów w przekładoznawstwie, jest to bowiem materiał na osobną książkę. Zainteresowanego czytelnika odsyłam przede wszystkim do KIELAR (1988) oraz PISARSKIEJ i TOMASZKIEWICZ (1998), a także prac Franciszka GRUCZY (patrz: bibliografia). Problem, który pragnę tu zasygnalizować, to wzajemna relacja teorii i praktyki przekładu. Mimo obszernej literatury zagadnienia tłumacze praktycy rzadko po nią sięgają, niektórzy nawet – a jest ich niemało – negują w ogóle przydatność ustaleń teorii dla praktyki tłumaczeniowej.

Wynika to z pewnej zasadniczej sprzeczności między **celami** teorii a **oczekiwaniami** praktyki. Teoria, czy raczej teorie, jest ich bowiem wiele, dążą do opisania zjawisk ogólnych, powtarzających się, ważnych dla wszystkich konkretnych aktów translacyjnych; znaczna część z nich ujmuje zagadnienia systemowo. Jest to święte prawo teorii, ale przeciwnicy takiego podejścia (są to przede wszystkim praktycy) mówią: „Wasze ustalenia są być może słuszne, ale dla mnie mało przydatne, bo zbyt ogólne. Ja potrzebowałbym konkretnych recept, jak tłumaczyć, a jeżeli teoria mi ich dostarczyć nie może, to po co mi taka teoria?” Rzeczywiście, teoria rzadko podsunąć może konkretne rozwiązania, a to ze względu na ► **RELATYWNOŚĆ** ustaleń dotyczących procesu przekładu. Przypomina to nieco zasadę nieoznaczoności Heisenberga – przed wykonaniem eksperymentu nie jesteśmy w stanie przewidzieć zachowania się cząstek, dopiero *ex post*. Istotnie, łatwiej skomentować wyniki danego procesu przekładu, niż przewidzieć wszystkie problemy i ich rozwiązania *a priori*. Inną trudnością w połączeniu teorii z praktyką jest fakt, że akty translacyjne przebiegają na poziomie *parole*, konkretnych aktów mowy, a teorie w swych ustaleniach odnoszą się często do poziomu *langue*, czyli abstrakcyj-

nie pojętego systemu językowego. Nie do końca określone jest również miejsce lingwistyki w teorii przekładu. Nie sposób zanegować, że to właśnie lingwistyka (JAKOBSON, NIDA, KADE, NEUBERT) dała istotne impulsy do zbudowania nowoczesnej teorii przekładu. Traktowanie nauki o przekładzie jako dyscypliny jedynie lingwistycznej jest jednak zawężeniem, nawet jeżeli przyjmemy bardzo szeroką koncepcję lingwistyki, z zagadnieniami pragmatycznymi i kognitywnymi, psycho- i socjolingwistycznymi włącznie. Oczywiście, że ustalenia lingwistyki są dla teorii przekładu niezbędne. Proces przekładu determinowany jest jednak także przez zjawiska pozajęzykowe, leżące poza sferą opisu ściśle lingwistycznego – fenomeny kulturowe, estetyczne, psychiczne i inne. I na tym właśnie polega autonomia nauki o przekładzie.

Nie należy też zapominać, że poszczególni teoretycy koncentrują się w swych rozważaniach na różnych aspektach procesu przekładu. **Teoria skoposu** akcentuje na przykład cel, inne teorie koncentrują się na **transferze kulturowym**, **procesach mentalnych** zachodzących podczas tłumaczenia, **rodzajach tłumaczonego tekstu**, **strategiach** translatorycznych, hierarchizacji czy wyborach dokonywanych przez tłumacza, osobie **adresata** bądź **krytyce** przekładu. Żadnej z tych optyk nie należy zbytnio uogólniać, zdarza się bowiem często, że w jednym akcie przekładu dominuje kwestia celu i adresata, w innym problem doboru właściwych priorytetów przekładu, a w jeszcze innym nieprzystawalność kultur.

relatywność

Relatywność

Relatywność to – inaczej mówiąc – względność, zmienność, zależność od wielu czynników na raz. Tak właśnie rzecz się ma z samym procesem przekładu i ustaleniami na jego temat. Nie ma tutaj prawd absolutnych, często nie ma nawet ostatecznych rozwiązań, istnieje jedynie ich potencjalna wielość. Proces przekładu jest (bywa) niezwykle skomplikowany, o nieprzewidywalnej a *priori* ilości determinujących go czynników. Gdyby tłumaczenie polegało je-

dynie na przyporządkowywaniu określonym sekwencjom w języku A gotowych, istniejących sekwencji w języku B, już dawno **TŁUMACZENIE MASZYNOWE** stałoby się „rybą powszednią”. Mimo istotnych osiągnięć w tej dziedzinie, tłumaczenie maszynowe sprawdza się tylko tam, gdzie istnieje **jednoznaczność** przyporządkowania elementów języka A i B. Jest to możliwe w tekstach o bardzo precyzyjnej terminologii, skostniałej frazeologii, inaczej mówiąc – skrajnie stereotypowych i stereotypowo używanych. Pojawienie się takich czynników, jak sytuacyjność, wieloznaczność, konieczność wyboru, interpretacji, kreatywności językowej, informacje implicytne, konotacje, konieczna wiedza merytoryczna itp., wymaga już współpracy człowieka z tłumaczącym komputerem, który oczywiście może dostarczyć wielu potencjalnych ekwiwalentów, ostateczna decyzja należeć jednak będzie – przynajmniej na razie – do człowieka. Przypomina mi się pewna anegdotka. Uчени radzieccy skonstruowali maszynę tłumaczącą. Pewien angielski ekspert przyjechał do Moskwy, aby obejrzeć to cudo techniki. Próba polegała na tłumaczeniu z angielskiego na rosyjski. Anglik pomyślał o tym, że jest daleko od domu i zadał maszynie następujące zdanie: *Out of sight – out of mind*. Maszyna zabrała się do pracy i po chwili eksperti radzieccy z uwagą pochylili się nad wydrukiem zawierającym rozwiązanie. Anglik jednak nie znał rosyjskiego, zapytał więc, w jaki sposób i on może sprawdzić poprawność tłumaczenia. – To żaden problem, dokonamy retranslacji – odpowiedzieli towarzysze radzieccy. Maszyna ponownie została włączona i po chwili Anglik przeczytał, nie bez pewnej konsternacji, tekst retranslacji: *invisible idiot*. Powyższe nieporozumienie jest zupełnie prawdopodobne, maszyna nie mogła bowiem wiedzieć, co sobie pomyślał angielski ekspert, a zatem jak należy zinterpretować *out of sight* i *out of mind*. Ukazuje to dobitnie, jak ważna jest kwestia kontekstu i interpretacji. A oto inny, całkiem konkretny przykład dotyczący interpretacji i kontekstu. Wbudowana w niniejszy program funkcja kontroli poprawności ortograficznej tekstu polega na tym, że komputer niejako sam z siebie podkreśla czerwonym wężykiem słowa, których pisownię „uważa” za błędną. Oczywiście, podkreśla jako błędne wszystkie nazwiska o niekonwencjonalnej pisowni i wyrazy obce. Ale w zacytowanym na początku fragmencie „Ojczyzna” –

panem nostrum quotidianum – podkreślił jedynie *nostrum* i *quotidianum*, bo *panem* zinterpretował jako narzędnik słowa „pan”. Wspomniany program funkcjonuje bowiem jedynie na poziomie słowa i kontroluje tylko jego postać. Zupełnie bezsensowne, najeżone błędami zdanie, ale składające się z poprawnych „kawałków”, pozostanie niepodkreślone, np. „Zależny do wynikanie parówki psucie odpywa odwrotnie”.

Konieczność interpretacji i wyboru, zależność od różnych czynników sprawia, że na wiele praktycznych i teoretycznych pytań dotyczących tłumaczenia nie sposób odpowiedzieć w sposób wiążący. Przyjrzyjmy się kilku takim typowym pytaniom:

- Czy przekład może być lepszy od oryginału?
- Czy przekład na język ojczysty zawsze jest łatwiejszy?
- Czy poprawiać błędy autora oryginału?
- Co robić z cytataми zawartymi w tekście?
- Czy dosłowność jest w tłumaczeniu zjawiskiem pożądanym?

Odpowiadając pokrótce na powyższe pytania, będziemy musieli poczynić każdorazowo kilka relatywizujących zastrzeżeń. Co to znaczy „lepszy”? Według jakich kryteriów? Której wspólnoty komunikacyjnej (mogą być różne)? Gdy zgodzimy się co do kryteriów, odpowiedź może brzmieć: tak, ale zdarza się to rzadko. Dlaczego rzadko? Bo z oczywistych powodów tłumacz tworzący swój tekst nie jest całkowicie swobodnym kreatorem, jest „tancerzem w kajdanach”, jak to ujął pewien chiński tłumacz. Tekst przekładu jest wynikiem kompromisów i wspomnianej już męki wyboru, bywa nie-spójny, niejednorodny stylistycznie. Ale może się zdarzyć także korzystna metamorfoza. Niektóre teksty filozoficzne napisane po francusku zyskały dzięki przekładowi na niemiecki na precyzji, język filozofii niemieckiej wykształcił bowiem instrumentarium pojęciowe zmuszające tłumacza z innych języków do istotnych uściśleń.

Pytanie drugie może brzmieć nawet absurdalnie, bo łatwość tłumaczenia na język ojczysty wydaje się rzeczą oczywistą. Spotkałem jednak tłumaczy, ustnych i pisemnych, którzy twierdzili, że w wielu sytuacjach łatwiej im przychodzi tłumaczenie na język obcy. Nie jest to całkowicie pozbawione podstaw. Z każdym z obu kierunków

tłumaczenia (j. obcy → j. ojczysty; j. ojczysty → j. obcy) wiążą się specyficzne trudności. Z chwilą, gdy mamy do czynienia z tłumaczem zbliżającym się do ideału bilingwizmu, trudności te w pewnym stopniu się równoważą. Trudność tłumaczenia na język obcy polega przede wszystkim na stworzeniu tekstu bezbłędnego, ogólnie poprawnego w języku obcym. Dla początkujących adeptów sztuki jest to zadanie bardzo trudne. Ale dla (prawie) bilingwalnego tłumacza, i to w przypadku tekstu stereotypowego, nie stanowi to większego problemu. Trudność tłumaczenia na język ojczysty polega na **niecałkowitej** penetracji **METAKONTEKSTU** oryginału. Wyobraźmy sobie np. Anglika, nawet długo mieszkającego w Polsce i znającego wiele realiów, który w trakcie tłumaczenia symultanicznego, a więc wymagającego natychmiastowej reakcji, usłyszy zdanie: „Byłem wczoraj na bazarze w Cieszynie. Różne pepiki, hanysy i inni krewni Kargula”. (Mój „mądry” komputer podkreślił mi większość tej wypowiedzi jako błędną). Dla Polaka wszystko jest jasne, może więc *ad hoc* tworzyć parafrazy, omówienia i wyjaśnienia, tzn. „pepiki” = Czesi, „hanysy” = Ślązacy, „krewni Kargula” = repatrianci ze wschodu (odwołanie do bohaterów filmu komediowego *Sami swoi*).

Czy poprawiać błędy oryginału? Jednoznaczna odpowiedź na to pytanie nie jest możliwa. Bywają bowiem błędy i błędy. Bywa, że błąd jest zamierzonym efektem artystycznym albo ważnym świadectwem dotyczącym autora (pochodzenia, wykształcenia, używanego dialektu). Wiele zależy tu również od rodzaju tekstu i jego przeznaczenia. Przede wszystkim tłumacz musi być pewien, że istotnie chodzi o błąd, dopiero wtedy może się zastanowić, czy i jak go skorygować albo skomentować. A może należy wykreować analogiczny błąd w języku przekładu? Inne znaczenie miał będzie błąd dotyczący daty w tekście historycznym (tu prosi się przypis), inne zaś w tekście parodiującym niedouczonego funkcjonariusza partyjnego z awansu, który zamiast „firmament” mówi „firnament”. Na zakończenie tej refleksji na temat błędu proponuję dla intelektualnej rozrywki odpowiedź na pytanie, czy poniższe zdanie jest prawdziwe, czy fałszywe:

To sdanie zafiera trzy błędy.

Cytaty z innych źródeł, pojawiające się w przekładanym tekście, mogą sprawić tłumaczowi wiele kłopotu. Zasadniczo są one przejawem **intertekstualności** i jeżeli zostały przetłumaczone na język docelowy, tłumacz powinien posłużyć się gotowymi, istniejącymi już odpowiednikami, o ile znajdują się one w powszechnym użyciu. Dotyczy to zwłaszcza cytatów w danej kulturze skonstruowanych, na przykład cytatów czy nawet pojedynczych sformułowań zaczerpniętych z *Biblii*. Nie można tłumaczyć ich na własną rękę – należy poszukać ich odpowiednika. „Kość niezgody”, „drzewo wiadomości”, „złoty cielec”, imiona, takie jak Nabuchodonozor czy Noe, nie są we wszystkich przekładach *Biblii* identyczne, to samo dotyczy biblii katolickich i protestanckich, ekumenicznych czy zmodernizowanych. Tłumacz powinien być świadomy, z jakim rodzajem tekstu biblijnego ma do czynienia i w jakim kontekście. Tłumaczeniu *Biblii* dokonaneemu przez Lutra odpowiada w Polsce kulturowo w pewnym sensie tłumaczenie Wujka, jeśli chodzi o dawność języka, jeśli zaś chodzi o wyznanie, ekwiwalentami będą przekłady niekatolickie (np. tzw. *Biblia brzeska*), wersjom zmodernizowanym odpowiada zaś przekład benedyktynów tyńskich.

Zdarza się jednak, że tłumacz nie może dotrzeć do źródła cytatu i przekłada go na własną rękę. W przypadku *Biblii* czynić tego nie należy, ale coś zrobić, gdy jest to cytat mało rozpowszechniony, nie znamy numeru wersetu, nie mamy pod ręką konkordancji biblijnej, a ma być przetłumaczone na jutro?

O dosłowności mówiliśmy już wiele. Zazwyczaj nie jest ona gwarantem dobrego przekładu, wręcz przeciwnie – prowadzi na manowce. Bo co w istocie oznacza dosłowność? Identyfikacja pojęć, kategorii gramatycznych? Jak słusznie zauważa WAWRZYŃIAK (1991:43), „tłumacz nie może zakładać, iż każdemu rzeczownikowi w oryginale będzie odpowiadał rzeczownik w translacji, przymiotnikowi – przymiotnik, zaimkowi – zaimek itd. Taka kategorialna i leksykalna równobieżność obu tekstów jest niekiedy możliwa, najczęściej konieczne są jednak odejścia od formy językowej oryginału, by uzyskać optymalnie jednakową wartość treści i stylu”. Nawet najbardziej zdecydowani zwolennicy dosłowności nie bardzo wiedzą, gdzie kończy się dosłowność, a zaczyna funkcjonalna i sytuacyjna adekwatność. Czy tłumaczenie *Festkörperphysik* jako „fizy-

ka ciała stałego”, to tłumaczenie dosłowne? Z drugiej jednak strony bywają teksty wymagające w tłumaczeniu fotograficznej wręcz rekonstrukcji ich postaci językowej, przede wszystkim tam, gdzie posługujemy się retranslacją w celu możliwie dokładnego przedstawienia postaci językowej wypowiedzi (teksty naukowe, z zakresu językoznawstwa i glottodydaktyki, tzn. nauczania języków obcych).

Relatywność ustaleń teoretycznych i rozwiązań praktycznych sprawia, że wyroki ferowane przez **KRYTYKĘ TŁUMACZENIA** są podobnie niejednoznaczne (pomijam tu, rzecz jasna, oczywiste błędy). Krytycy nie dysponują bowiem absolutnymi kryteriami oceny przekładu, a jeżeli myślą, że tak jest, to się mylą. Rzetelna ocena danego procesu przekładu i – co ważniejsze – jego rezultatu możliwa jest jedynie po uwzględnieniu wszystkich uświadomionych czynników wpływających na konkretny akt translacji, czyli jest – inaczej mówiąc – względna. Przekład stanowi wynik szeregu przymusów i wyborów, jest procesem zdeterminowanym przez czynniki obiektywne i subiektywne, mówiąc obrazowo – równaniem o wielu niewiadomych. Dlatego też najczęściej tłumacz znajduje się wobec krytyków w sytuacji podobnej do psa ze znanej bajki Krasickiego:

Pies czekał na złodzieja, całą noc się trudził,
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał,
Ten dom skradł; psa obili za to, że nie czekał.

Każda droga, także wspólna wędrówka, czyli *Vademecum*, ma jakiś – mniej lub bardziej przyjemny – koniec. Starłem się w miarę możliwości przedstawić wieloaspektowość zjawiska zwanego tłumaczeniem, podzielić się z czytelnikiem własnymi doświadczeniami i przemyśleniami. Wiele z istotnych zagadnień jedynie zaakcentowałem, mając świadomość, że niemal wszystkie analizowane problemy warte są osobnej książki, pragnąłem jednak zachować jak najszerszą perspektywę, nawet za cenę skrótów czy uproszczeń. Z natury zjawiska wynika brak ostatecznej konkluzji, każdy bowiem tłumacz pozostaje w efekcie sam na sam z tłumaczonym tekstem, z własnymi wątpliwościami, umiejętnościami i decyzjami. W takiej sytuacji pomocna może być jedynie bardzo ogólna refleksja.

Żegnając się z czytelnikiem, pozostawiam mu do przemyślenia następujące tezy:

- Tłumaczenie jest procesem, w wyniku którego powstaje nowy tekst.
- Zarówno sam proces, jak i ostateczna postać tekstu tłumaczenia zdeterminowane są przez wiele – często nieprzewidywalnych – czynników, wynikających z „zanurzenia” oryginału w sytuacji komunikacyjnej A i koniecznego „dopasowania” przekładu do sytuacji komunikacyjnej B. (Jest to zadanie znacznie trudniejsze od zadań szkolnych na temat pociągów wyruszających ze stacji A do stacji B.)
- Proces tłumaczenia wymaga nie tylko optymalnej znajomości obu języków, zbliżonej do bilingwizmu lingwistycznego i kulturowego, ale także specyficznej kompetencji translatorycznej,

wiedzy merytorycznej i terminologicznej, a także wiedzy dotyczącej konkretnego procesu przekładu.

- W trakcie procesu tłumaczenia translator dokonuje szeregu rozstrzygnięć określonych przez dany proces przekładu, co jest swego rodzaju sztuką. Proces ten wymaga hierarchizacji elementów komunikatu (na wszystkich poziomach) i wypracowania odpowiednich strategii. Wiele decyzji zdeterminowanych jest przez normę języka docelowego, sytuację i rodzaj komunikatu, oczekiwania adresata, niektóre jednak zależą od subiektywnej oceny dokonującego przekładu.
- Teksty oryginału i przekładu nigdy nie będą identyczne. Tak zwana dosłowność jest w tym przypadku kryterium prowadzącym na manowce. Pożądana jest tożsamość efektu komunikacyjnego (we wszystkich możliwych do osiągnięcia aspektach), realizowana często za pomocą bardzo różnych środków językowych.
- Wszelkie ustalenia teoretyczne mają w praktyce jedynie charakter pomocniczy, niemożliwe jest bowiem stworzenie teorii przekładu przewidującej *a priori* wszelkie możliwe problemy. Mimo to pewna powtarzalność określonych trudności może ostrzec tłumacza przed popełnieniem typowego błędu.
- Mimo koniecznych i nieusuwalnych różnic między oryginałem i przekładem tłumaczenie jest jedynym możliwym – i w rezultacie bardzo pożądanym – sposobem komunikowania się ludzi posługujących się różnymi językami i należącymi do różnych kultur.

- Barchudarov Lew: *Sprache und Übersetzung. Probleme der allgemeinen und speziellen Übersetzungstheorie*. Moskau, Leipzig 1979.
- Berdychowska Zofia: *Polsko-niemiecka terminologia gramatyczna*. Kraków 1996.
- Dzierżanowska Halina: *Przekład tekstów nieliterackich na przykładzie języka angielskiego*. Warszawa 1988.
- Grucza Franciszek: *Zagadnienia translatoryki*. [w:] tenże: *Translatoryka i glottodydaktyka*. Warszawa 1981.
- Grucza Franciszek: *Translatorik und Translationsdidaktik. Versuch einer formalen Bestimmung und Abgrenzung ihrer Gegenstände*. [w:] Wilss W., Thome G. (wyd.): *Die Theorie des Übersetzens und ihr Aufschlußwert für die Übersetzungs- und Dolmetschdidaktik*. Tübingen 1984.
- Grucza Franciszek: *Zum Forschungsgegenstand und – ziel der Übersetzungswissenschaft*. [w:] Arntz R., Thome G. (red.): *Übersetzungswissenschaft. Ergebnisse und Perspektiven*. Tübingen 1990, 9–18.
- Jakobson Roman: *Językowe aspekty tłumaczenia*. [w:] Pollak S. (wyd.): *Przekład artystyczny. O sztuce tłumaczenia. Księga druga*. Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk 1975, 109–115.
- Kielar Barbara Z.: *Tłumaczenie i koncepcje translatoryczne*. Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańk, Łódź 1988.
- Koller Werner: *Einführung in die Übersetzungswissenschaft*. Heidelberg, Wiesbaden 1992 (wyd. 4.).
- Krysztofiak Maria: *Przekład literacki we współczesnej translatoryce*. Poznań 1996.
- Lebiedziński Henryk: *Elementy przekładoznawstwa ogólnego*. Warszawa 1981.
- Levy Jiri: *Die literarische Übersetzung. Theorie einer Kunstgattung*. Frankfurt am Main, Bonn 1969.
- Lipiński Krzysztof: *Übungstexte zur Methodologie der literarischen Übersetzung*. Kraków 1986.

- Lipiński Krzysztof: *Goethes „Faust” als Übersetzungsvorlage*. Rozprawy Habilitacyjne Uniwersytetu Jagiellońskiego, nr 182, Kraków 1990.
- Pisarska Alicja, Tomaszewicz Teresa: *Współczesne tendencje przekładoznawcze*. Poznań 1998.
- Reiss Katharina, Vermeer H.J.: *Grundlegung einer allgemeinen Translationstheorie*. Tübingen 1984.
- Sapir Edward: *Kultura, język, osobowość*. Warszawa 1978.
- Savory Theodore H.: *The Art Of Translation*. London 1957.
- Snell-Hornby Mary i in. (wyd.): *Handbuch Translation*. Tübingen 1998.
- Teęcza Zygmunt: *Das Wortspiel in der Übersetzung. Stanisław Lems Spiele mit dem Wort als Gegenstand interlingualen Transfers*. Tübingen 1997.
- Voellnagel Andrzej: *Jak nie tłumaczyć tekstów technicznych*. Warszawa 1980.
- Wawrzyniak Zdzisław: *Praktyczne aspekty translacji literackiej na przykładzie języków niemieckiego i angielskiego*. Warszawa 1991.
- Whorf Benjamin L.: *Język, myśl i rzeczywistość*. Warszawa 1982.
- Wilamowski Maciej, Wnęk Konrad, Zyblikiewicz Lidia A.: *Leksykon polskich powiedzeń historycznych*. Kraków 1998.
- Zimmer Dieter E.: *So kommt der Mensch zur Sprache. Über Spracherwerb, Sprachentstehung, Sprache & Denken*. Zürich 1986.

- adekwatność 118, 119
- adresat 21, 22, 23, 175
- analogon 52
- archaizmy 105
- archaizacja 14
- aspekt socjolingwistyczny 19
- Biblia 92
- bibliografia 5
- bilingwizm 169
- błąd autora oryginału 177, 178
- brak ekwiwalentu 18, 21, 47, 48
- cechy stylistyczne tekstu 55
- cel 7, 16, 118
- cytaty 21, 161
- czy przekład może być
 - lepiej od oryginału? 23
- dosłowność 9, 22, 23, 119, 122, 171
- dowcipy 173
- dubbing 168
- dylematy tłumacza 14
- efekt komunikacyjny 22, 24
- ekwiwalencja
 - absolutna 117
 - dynamiczna 117
 - funkcjonalna 23, 126
- elipsa 127
- encyklopedie 141
- entymatyczność 39, 130, 134
- falszywi przyjaciele
 - tłumacza 80, 107
- funkcjonalizacja postaci
 - komunikatu 161
 - generalizacja 42, 70, 126
- gramatykalność
 - versus* akceptabilność 91, 99, 127
- gry słów 26
- heterotypy 100, 101, 114
- hierarchia 25, 86, 162
- identyczność
 - oryginału i przekładu 22
- idiomy 91, 92, 114
- informacje
 - eksplicytne 17
 - implicitne 17, 19, 21, 24, 161
- intencja nadawcy 16
- interferencja
 - wewnętrzna 110
 - zewnętrzna 109
- intertekstualność
 - 17, 21, 23, 161, 162, 179
- inwersje 124
- inwariant 25, 26, 86, 117
- Jakobsona reguła 75
- jednoznaczność 80, 156, 176
- kalka językowa 51
- kolokacja 89, 90, 109, 122
- kompensacja 67, 106, 115, 126
- kompetencja tłumacza 136, 152, 169
- konkretyzacja 42, 70, 126
- konotacja 17, 23, 58, 127
- konsultacja 136, 142
- konwencja językowa 100
- kreatywność 9, 98
- krytyka tłumaczenia 180

- leksykony 141
- łatwość tłumaczenia
 na język ojczysty? 21, 22
- makrokontekst 20, 118, 161
- maksymy 10, 11, 12
- model 27, 87, 118
- modyfikacja 22
- mowa ciała 16, 112, 149
- nadawca 16, 21, 22
- nadmiar informacji 24
- napisy filmowe 168
- nazwiska znaczące 76
- neologizmy 52, 95, 96
- neosemantyzacja 96
- niedmiar informacji 24
- nieprzetłumaczalność 26, 99, 116, 170
- norma języka docelowego 24, 126
- notatki 147, 148
- obscena 18, 102
- odbiorca 16
- odpowiedzialność tłumacza 142, 159
- okazjonalizmy 53, 101, 114
- opuszczenia 128
- podręczniki akademickie 141
- postać komunikatu 80, 144
- poziomy ekwiwalencji 51, 117, 125
- produkcja komunikatu 22
- pragmatyka 19, 54
- przekład reklam 17, 79, 166
- przysłowia 94
- realia 18, 47, 52, 95
- rejestr stylistyczny 56
- reklamy 9, 17, 19, 166
- relatywność 162, 174, 175
- retranslacja 133
- rodzaje tłumaczenia 126, 128, 168
- różnice między tekstem oryginału
 i tekstem przekładu 171
- Sapir – hipoteza 32, 45, 170
- semantyka prototypu 172
- skoposu teoria 118, 175
- skrót 78
- słowniki 136, 139
- strategie 16, 19, 26, 27, 136, 175
- stereotypia językowa 19, 100, 101, 147
- substytucje 69, 126
- sygnały niewerbalne 149
- szok kolokacyjny 91
- sytuacje 17, 19, 111
- środki
 gramatyczne 75
 leksykalne 75
- „środowiskowość” 18, 114
- substytucje 69, 126
- teksty
 apelatywne 17, 80
 audiomedialne 155
 informacyjne 9, 68, 80, 88, 161
 literackie 5, 6, 9, 154
 nacechowane formalnie
 83, 88, 155
 paralelne 136, 141
 prawnicze 155, 156
 techniczne 157
- teoria i praktyka tłumaczenia 174
- terminologia 77
- tertium 39, 65, 172
- tłumacz
 kabinowy 146, 149
 konferencyjny 149
- tłumaczenie
 interlingwalne 128
 intersemiotyczne 128, 134
 intra lingwalne 19, 128, 129, 134

konsekwentne 145, 146
literackie 126, 160
maszynowe 176
pisemne 136
reklam 17, 79, 166
symultaniczne 145
ustne
 20, 27, 104, 114, 136, 143
 wyjaśniające 51
transfer kulturowy 47, 175
transformacje 27, 123
transkrypcja 49, 50
transliteracja 50, 120
typy mieszane
 tłumaczenia 144, 152
typy tekstów
 a proces przekładu 142, 153
tytuły 167
uniwersalia 45, 150, 171
uwarunkowania pozajęzykowe 9
uzupełnienia 22, 67, 126
uzus 100
Whorf – hipoteza 32, 42, 45, 46, 170
wielosapektowość 16
wielość możliwych rozwiązań 83
wielość światów 142
wspólnota komunikacyjna 44
wulgaryzmy 56, 57, 58, 78, 81, 102
wydawnictwa fachowe 141
zapożyczenia 48, 51
zabarwienie emocjonalne 58
znaczenia
 intralingwalne 45, 72, 81
 pragmatyczne 19, 54, 65, 161
 referencyjne 32, 39

Vademecum tłumacza

WYŻSZA SZKOŁA LINGWISTYCZNA
w Częstochowie



10016278

- książka nie tylko dla profesjonalistów
- „wykład” z poczuciem humoru
- dowcipne rysunki
- teoria i praktyka tłumaczenia
- system odniesień oraz indeks

O Autorze

Krzysztof Lipiński, urodzony w roku 1957, ukończył studia filologii germańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, profesor historii literatury, obecnie dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej UJ. Zainteresowania naukowe zwraca ku literaturze austriackiej XX wieku, zwłaszcza liryce, literaturze niemieckiej XVIII wieku oraz teorii i praktyce przekładu literackiego. Tłumacz na język niemiecki i polski. Od 1993 r. członek Związku Literatów Polskich, a od 1999 Austriackiego Pen Clubu.

Od Autora

Vademecum tłumacza jest próbą monograficznego zarysu najważniejszych zagadnień teorii i praktyki translacji, które zostały przedstawione w formie wykładu, prowadzącego Czytelnika poprzez zasadnicze dla tej dziedziny wiedzy pytania.

Książka nie podpowiada gotowych rozwiązań problemów translatorskich, bo jest to a priori niemożliwe, stara się jednak usystematyzować powtarzające się dylematy, przed którymi stają tłumacze od czasu biblijnego pomieszczenia języków, jest próbą uświadomienia wielości czynników, także pozajęzykowych, wpływających na proces przekładu.

Vademecum można posługiwać się także jak poradnikiem, co ułatwia system odniesień oraz indeks. Główną intencją autora jest pobudzenie czytelników-tłumaczy do twórczej refleksji nad wykonywanym zawodem, nie należącym przecież do najłatwiejszych.